ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom XCII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.

1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 27 grudnia 1898 r.

Qui amant...

(KTÓRZY KOCHAJĄ...)

Pannie Anieli A..wiczównie z Ladawy.

I.

Ucisz się ziemio... niech mi nic nie zmąca
Tego snu duszy... Gdzieś za okrąg słońca
Zszedłem, gdzie światło przejrzyste i senne
Jak szklanną gazę niebo rzuca z góry
I jakieś wielkie obszary przestrzenne
W krąg się rozlały bez końca, bez końca...
A morze, z kwiatów bieli i purpury,
Toczy się w bezmiar falami wielkiemi
I nic prócz pustki niéma dookoła,
I nic prócz kwiatów nie widać na ziemi.

Pustynia, głusza, a jednak coś woła:
Coś w mojéj duszy odzywa się zcicha,
Coś tak cichego, jak kwiat, gdy oddycha.

Słucham i słyszę. Jestto jedno Imię:
Leci przez świata roztocze olbrzymie,
W przejrzystém świetle brzmi, przez kwiatów morze
Płynie—w dal płynie, jak łódź po jeziorze.
Widzę jak na nich kołysze się zwolna,
Jak się te kwiaty chylą, gdy przechodzi;
One Je czują, kiedy po ich toni
Płynie, podobne do rozchwianéj łodzi.
Żadna muzyki téj wygrać niezdolna
Lutnia ni cytra, jaką owo Imię
Wokoło siebie rozrzuca i dzwoni...
Pustynie od niéj zabrzmiały olbrzymie,
I gaza światła zabrzmiała po cichu,
Jak rój much złotych w liliowym kielichu.

*
* *

Zamykam oczy... Przed oczyma memi
Obraz dalekiéj rozwija się ziemi:
Wielkie jezioro błękitną przestrzenią
Odbija niebo; nad niém się zielenią
Mirty i róże z kwiatami białemi,
A gór dalekich śnieg, co w niebo wzlata,
Jest jakby wzlotném zadumaniem świata,
Jest jakby świata zachwyceniem cichem,
Jest jego pieśnią, modlitwą, uśmiéchem...
Na błękit wody zchodzi cisza śniegów,
Złocista cisza podobna bogini,
A fala dzwoniąc u zakwitłych brzegów,
Grające stopom jéj sandały czyni,
I po muzyce wodnéj śnieżne cisze
Stąpają zwolna i idą błękitem — —
Na brzegu gaj się różany kołysze
I mirt w toń kwieciem prószy srebrnolitém.

*
* *

Nad wodą ową, nad jeziorem owém,
Nad owém niebem ziemi szafirowém,

W które się z gajów kwiat pachnący prószy;
Nad szklanną szybą téj cichéj otchłani:
Tam chodzi Pani jasna, cudna Pani,
Tam chodzi Pani, Pani mojéj duszy.

*

*　　　　　*

Pani méj duszy gdzie obróci oczy
Czystość i cisza rodzą się z Jéj oczu.
Łabędź tak biało skrzydeł nie roztoczy,
Jak Ona myśli rozpościéra czyste.
Róże, co tkwiły w Jéj ciemnym warkoczu,
Pod Twoje stopy godne upaść, Chryste...

*

*　　　　　*

Wśród ciemnych świerków jest kapliczka z drewna,
Mała kapliczka w podgórskiéj ustroni.
Tam, jak cudowna z legendy królewna,
Przyszła, uklękła i śliczną twarz w dłoni
Ukryła klęcząc. Było rano: świeże
Srebrzyły rosy gałęzie i trawę;
Daleko góry błyszczały jak wieże
W szafirze nieba ciemne i złotawe.
Przez drzewa słońce przeświecało z boku
Pękami jasno różanych promieni,
Lub do złotego podobne potoku,
Lało się z gąszczu po ziemnéj zieleni.
Rzeźwy szedł powiew od gór. W téj kaplicy
Półmrocznéj, światłem rozwidnionéj słońca
I blaskiem smutnéj w ołtarzu gromnicy:
Ona, ze skronią na dłoniach klęcząca,
Duszą wzniesiona w niezmierne niebiosy:
Wydała mi się snem, widzeniem, zjawą— —
I nigdy tego rana nie zapomnę,
Tych gór w przestworzu świecących złotawo,
Jak piramidy i gmachy ogromne,
I Jéj klęczącéj i téj świeżéj rosy.

*
* *

Byliśmy razem w kamiennéj dolinie,
Gdzie się piętrami ścieżka w górę winie,
Wbiegając wężem na ścięte urwisko.
Na dole głazy, a w otchłani nizko
Staw, ciemna bezdeń, tak ponura oku,
Jak las o późnym przeddeszczowym mroku.
Wokół złom, dzikie poszarpane skały
Podobne fali huraganu w biegu
Zaklętéj w kamień. Na urwiska brzegu
Głaz, prosto w przepaść pochylony cały.
Tam, po tym progu skalnym, co ucieka
Z pod nóg i z sobą porywa człowieka,
Patrząc Jéj w oczy, przewiodłem Ją, w ręku
Czując Ją całą, pełną zaufania,
A razem pełną niewieściego lęku.
Tam czułem serce Jéj przy sobie blizko,
Serce przy sercu... W górze się rozsłania
Mgła, płyną szczyty... Skalne uroczysko
Zdaje się lecieć w strop... Królewno moja!
Jabym Cię jeszcze poprowadził wyżéj,
Gdzie wieczne Światło słonecznego zdroja
Przez złote kłęby się zlewa obłoku;
Na łąkę taką, gdzie się nie przybliży
Nic, co się w Światła nie skąpie potoku.
Tam ciała nikną, lub stają się raczéj
Duchami: Ognia przepalone błyskiem
Nędz, brudu, wstrętu nie są już siedliskiem,
Ani przyczyną śmierci i rozpaczy.
Królewno moja! Na Mistycznéj Łące,
W tym duszy mojéj ogrodzie tajemnym,
Patrząc na mgłami przesłonięte słońce,
Daleki klęskom i boleściom ziemnym:
Gdybym u kolan Twych mógł oprzéć czoło
I na świat patrząc z daleka, z daleka,
Zapomniał o tém, że jest życie w koło
I że w méj piersi jest serce człowieka...

*
*   *

Ciszo! Przestrzeni! Światło! O wy święte
Miłości duszy méj, nieogarnięte,
Nieokrężone żadną zmysłów siłą,
Najwyższe, czyste; wy, w których geniusze
Czaru dom mają i ojczyznę świętą:
Oto mi serce znów w piersi zabiło,
Jak ku wam bije, kiedy w górskie głusze
Wtopiony cały duchem, z piersią wzdętą
Niewysłowionych uczuć płomieniami,
Wchłaniam Was w siebie, żyję w Was i z Wami!
Wyście méj duszy życiem!... Ile zdolna
Ma dusza kochać Cię, Przestrzeni wolna,
I Ciebie, Światło! i Ciebie, o Ciszy!
Ile tęsknoty wybucha z jéj wnętrza
Ku wam, gdy w więzach i okowach dyszy,
W jarmarcznym gwarze i w toni ciemnoty:
Tyle miłości i tyle tęsknoty
Teraz się w potok w niéj szalony spiętrza!...

*
*   *

Patrzcie na twarz Jéj! Czyście Ją widzieli?
Tak piękną duszę Bóg raz tylko stwarza.
Wierzę, że mogą być w niebie anieli
I że Bóg kształt ich na ziemi powtarza
W wybranych duszach. Wierzę, że są kwiaty,
Które się rodzą z spojrzeń ludzkich oczu;
Wierzę, że krążą po nad ziemią światy
Tęskniące ku niéj w niezmierném przezroczu.
Wierzę, że jedno ludzkie krótkie życie
Może za sobą poprowadzić ludy;
Wierzę w natchnienia z ognia, wierzę w cudy
I wierzę w Bóstwo z promieni w błękicie...

*
*   *

Kocham Cię za to, że Cię kochać muszę,
Kocham Cię za to, że Cię kochać mogę,
Kocham Cię za to, żeś Ty mi jedyna
Piękną kobiecą objawiła duszę,

Że się przed Tobą kolano ugina
I myśl o Tobie każda niesie trwogę
I niepokoi się tém i pamięta,
Żeś może dla niéj za czysta za święta.

*
*   *

Morza pięknością, gór i łąk urokiem
Chciałbym zasłonić świat przed Twojém okiem.
Niech nigdy Prawda swojéj strasznéj twarzy
Przed Twoją jasną nie stawia źrenicą;
Niechaj Ci życie będzie tajemnicą,
Niech Ci się tylko śni i tylko marzy...
W zaczarowanym Swéj duszy ogrodzie
Żyj, jak królewna od świata odcięta.
Niech Ci na czoło kwiatem mirtu prószy
Psyche, ta, któréj zmysłem niedotknięta
Dusza ni jednéj zmazy nie pamięta.

*
*   *

Bo chciałbym Ciebie widziéć zawsze Panią
Błękitnych myśli państw i snów z kryształu;
Chciałbym byś jasno szła i tylko za nią,
Za tą, co wziąwszy panowanie ciału
I najpiękniejszą duszę biorąc w siebie,
Najczystszą była na ziemi i w niebie.
Przez mistrzam widział wykute jéj lice;
Schylone na dół łagodne źrenice
I głowę cicho ku piersi schyloną,
Ku piersi, gdzie się światło rodzić może,
Objętéj białą, dziewiczą zasłoną;
I usta czyste, jak kwiat na jeziorze,
I czoło niebu podobne, gdzie ciągiem
Złotym obłoki suną się powoli.
Tak mistrz ją w piękna zamknął aureoli
Na wieki wieków... Przed owym posągiem
Zbudujmy ołtarz i w blask owionięta,
Bądź mi kapłanką jéj, Ty moja Święta!...

II.

Kocham Cię! tęsknię! wołam Cię do siebie!
Świat cały Twojém nazywam Imieniem!
Tyś mi jest wiarą na wysokiém niebie,
Tyś mi jest całéj ludzkości wcieleniem..
Przez Ciebie kocham, nienawidzę... w Twojem
Istnieniu źródło mojego istnienia;
Ty jesteś mojém sercem, krwi méj zdrojem
I duszy mojéj Tyś harfą z płomienia!

* * *

Śpiewaj mi, śpiewaj!... Nie! Niéma przestrzeni!
Widzę Cię! Słyszę!... Cóż choć między nami
Kraje są całe? Myślą połączeni
Jesteśmy razem! Śpiewaj... tu w méj duszy,
Głos Twój brzmi, dźwięczy, drży nabrzmiały łzami...
Śpiewaj—jak wówczas... Głos Twój mię przenika
Wskroś, wskroś przez serce... On mnie rwie i kruszy!
W las jakiś rzuca mię wznak ta muzyka!
W otchłań, co dyszy za memi plecami...
Śpiewaj, ach śpiewaj! Głos Twój świeci łzami,
Głos Twój się cały błyszczy łez strumieniem,
Jak sznur ze złota wstęgą dyamentów...
Śpiewaj! siéj łzami!... Nad lasu milczeniem,
Nad straszną głuszą przepastnych odmętów,
Nad straszną nocą i grozą otchłani:
Śpiewaj—straconych i ginących Pani!...

* * *

Jak Demon śpiew Twój krąży mi nad głową,
Jak Demon z ognia rozpościéra pióra,
Chmurą mię żaru owija ogniową,
W bezmiar mię, w zaświat porywa ta chmura —
Ah! Gdyby rzucić te cielesne pęta!
Ojczyzna nasza, patrz! nieogarnięta!

Ojczyzna nasza, patrz, te wichry kwiatów!
Te kłęby tonów, te światła orkany!
Ojczyzna nasza ocean wezbrany
Wszystkim płomieniem, wszystkiém pięknem światów!
Pójdź! Niech się wali na druzgi strzaskany
Krąg ziemi! Niech się w proch zapada cała!
Pójdź! Ramionami owinę Cię, biała — —
Pójdź ze mną... w niebo czy w przepaść podziemną,
Serce przy sercu, w dłoni dłoń—pójdź ze mną!...

*
*   *

Śpiewaj... błękitu kołyszą się fale...
Jak słodko usnąć... ciche, jasne pola...
Błękit je falą słoneczną okola...

Jak słodko usnąć... Po kwietnéj dąbrowie,
Pomiędzy krzewy zawisłe omdlale,
Spokojnéj śmierci idą aniołowie...

*
*   *

Pod gorzkim smutkiem opada mi głowa —
Weź ją w Twe ręce, w białe ręce Twoje,
Patrz na mnie słodko... Świat we mgłę się chowa
I wieją po nim niebieskie pokoje
I tonie cały w głąb cichego dźwięku,
Jak w blask księżyca. Bez żalu i lęku
Oddałbym ducha mego w ręce Twoje.

*
*   *

Pamiętasz świerków tę aleję ciemną,
Gdziem Ci do ręki usta me przycisnął?
Na moim krzyżu jam wówczas zawisnął
Bolesném sercem. Tam skrzydła nademną
Roztoczył anioł bólu ciemnopióry
I twarz milczącą mi ukazał w zmroczach,

A jam, źrenice podniósłszy do góry,
Na wieczność mu się ofiarował cały
I dał mu palcem dotknąć mego czoła.
Tyś niewidziała, ale w twoich oczach
Dwie łzy zabłysły, dwa smutne kryształy—
Tyś nie widziała, lecz zgadła anioła.

*
* *

Z łez, które dla mnie mgliły Twoje oczy,
Różaniec w mojéj uwiłem pamięci.
Kiedy mię cisza wieczorna otoczy
I spokój lasów tatrzańskich okoli:
Idąc, jak ludzie od świata odcięci
Ofiarą duszy i Bóstwa miłością,
Pod cieniem lasów i nieba cichością
Różaniec z łez Twych przesuwam powoli.

*
* *

Na niebie gwiazdy. Las ciszą objęty,
Stoi spokojny, głuchy i zaklęty,
Ni jeden powiew wiatru go nie trąca.
U skraju lasu świécą oniemiałe
Drzewa pół jasne, błękitnawobiałe,
Zda się posągi drzew w blasku miesiąca.
Nad góry wschodzi powoli Syryusza
Błękitna gwiazda. Martwota i głusza.
Suchemi liśćmi tylko szemrzą gaje
I szum strumienia w księżycu migota.
Za mną kaplica z drewna. Zwolna wstaje
W méj piersi cicha, głęboka tęsknota..
Patrzę na leśną milczącą ciemnicę,
Na białych świerków posągi olbrzymie;
Patrzę na świata wieczną tajemnicę,
Którą na gwiazdach niemi aniołowie
Dzierżą przykutą... Patrzę na to imię,
Co w sobie całą wszechistność zamyka,
Na wszechmoc w jedném utajoną Słowie...

Patrzę na światów obrotu potęgę
I na ćmę leśną, co cicho przemyka...
Na mlecznéj drogi niezmierzoną wstęgę
I spadającéj gwiazdy złotą pręgę ..
Słyszę, jak owad u nóg moich szepce
I jak wre ogień w czarném wnętrzu ziemi;
Jak czas po grobach niezliczonych depce
I w tajemnicę zstępuje bezdenną,
Którą na gwiazdach aniołowie niemi
Dzierżą przykutą... Pod ciszą kamienną
Granitów: patrzę, słucham... Już jaśnieje
Księżyc nad lasem i srebrem go rosi...
Tęsknota moja rośnie, olbrzymieje,
Na cały przestwór świata się podnosi...
Pusto... Gaj prószy liściami suchemi,
Srebro księżyca lśni na świerków korze—
W taką noc niegdyś pomyślałeś Boże:
Źle człewiekowi samemu na ziemi...

*

* *

Szukałem Ciebie pośród kobiét roju,
Czekałem Ciebie o każdéj godzinie
I pełen byłem trwóg i niepokoju,
Że zanim przyjdziesz, życie moje minie.
Bo nie wątpiłem, że jesteś, że moje
Oczekiwanie nie jest czczém złudzeniem,
Że niedaleko gdzieś od Ciebie stoję
Z tęsknotą moją, z nadzieją, z pragnieniem...
Od lat już całych niewidzialnym cieniem
Byłem przy Tobie, szukając daremnie
W kobiétach Ciebie, coś istniała we mnie.
Ciebie przeczułem w ową noc przed laty,
Gdy głos mi słodki zabrzmiał ponad głową,
I zdało mi się, że się sypią kwiaty,
Że kwiatem na mnie pada każde słowo.
Lata tęskniłem za taką rozmową,
I latam czekał, aż się znów powtórzy—
Przyszła—przebrzmiała, jak więdnie liść róży

Z kochanéj ręki, który barwą bladą
Długo swój dawny szkarłat przypomina,
Z którym się kończy dzień i dzień zaczyna
I z którym wreszcie na sercu w grób kładą.

*

* *

Bronzowy księżyc lśni wśród mgieł powodzi...
Zda mi się, płynę w kruchéj, małéj łodzi
Przez wielkie morze w noc ciemną i niemą—
Fala z szelestem pod łódź mą podchodzi
I znów się pod nią rozpościéra niemo.
Przeciągły wicher w żaglu moim wieje—
Płynę przez morza głębokie rozchwieje...
Za mną, przedemną nie widać wybrzeży;
Pustynia wody... wiatr łódkę popycha:
Posłuszna idzie zadumana, cicha—
Ster mój i wiosło nieruchomo leży.
Za mną, przedemną: ciemność. Mgła z ołowiu
Wilgotna, ciężka, po wodném pustkowiu
Błądzi i w smutne wije się obrazy,
Jakby nad tonią groźne i ponure
Leciały błędne anioły zarazy
I strasznéj śmierci... Płynę w mar tych chmurę — —
Płynę, a one biorąc się za ręce
Straszliwe wiążą koło łodzi wieńce...
Płynę, w dantejski jakiś krąg rzucony—
Z mgieł księżyc wydarł się krwawo-czerwony
Z twarzą szatana, co przeklina... Płynę...
Tam, dokąd łódź ma po przestworzu zmierza,
Altana z bluszczu stoi u wybrzeża
O skał oparta łagodną ruinę.
W altanie święta, jasna, marmurowa
Ziemi i Nieba Pani i Królowa,
Biała Madonna. U Jéj stopy płonie
Oliwna lampka o blasku różowym;
Złożone trzyma do modlitwy dłonie,
Róże Jéj wieńczą dyadem i skronie,
Bóstwo w uśmiéchu świéci marmurowym.

W nogach od kolan wyżłobiona płyta
I pęki kwiatów.—Tam, kogo doniesie
Łódź i różowa lampka go powita:
Serce mu z piersi w zachwyceniu rwie się!
I na kamienne rzucając się progi
Całuje święte marmurowe nogi,
A potém w kwiaty i we łzy je wieńczy...
Tam płynę... Wicher w żaglu moim jęczy—
Płynę, lecz lampki zobaczyć nie mogę—
Wiem tylko, że jest i wskazuje drogę;
Wiem tylko, że tam, promienna i cicha,
Madonna ludzkim sercom się uśmiécha
I błogosławi anielstwem swéj twarzy
Łódź, co u stóp Jéj na morzu się waży
I odpoczywa po długiéj podróży.
Wiem to—a wkoło ciemny bezkres wody,
Wilgotnych mgławic straszne korowody
I cisza grobu, straszniejsza od burzy.
Płynę—na piersi głowa mi się skłania,
Źrenice mi się zamykają zwolna—
Łódź moja w całun widm i mar się słania,
Fala nią chwieje czarna i powolna
I szepce wieści o bezdennéj głębi,
Która się pod nią przewala i kłębi...
Przeciągły wicher w żaglu mym zawodzi —
Zda mi się, płynę po śmierć w mojéj łodzi...

*

* *

Lecz choćbym wrócić mógł z ciemnego morza,
Nie wrócę, pójdę za złowieszczą falą;
Ani mię słońca już nie nęci zorza,
Ani mi gwiazdy, gdy się w noc zapalą,
Nie biorą więcéj duszy między siebie
I nic na ziemi, ani nic na niebie
Serca mojego zachwycić nie zdoła.
Głos Twój mię tylko tam za morze woła,
Głos gdzieś na przestwór w ciemnościach rzucony,
Głos, co mi serce wraz z życiem wyrywa.
Myślę, na przeszłość twarzą odwrócony,
Czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

*
*   *

I zakochałem się w téj myśli smętnéj,
Że ona z Tobą razem idzie w parze,
Że z walki życia ponuréj i wstrętnéj,
Wyjdę przez Twoje wyjść zmuszony oczy.
Bez żalu o tém i spokojnie marzę—
I jedno tylko mam w sobie pragnienie:
Aby mię głos Twój prowadził uroczy
Na Wieczną Ciszę i Wieczne Milczenie.

*
*   *

O gdybyś przyszła! Raz jeszcze dziewicze,
Czyste i jasne ujrzeć Twoje oczy!
Raz jeszcze fale uczuć tajemnicze
Widziéć w Twéj piersi i z Twoich warkoczy
Wetchnąć woń kwiatów... Raz jeszcze Twe ręce
Do ust przycisnąć... Raz jeszcze łzy Twoje
I Twoje ciche zobaczyć rumieńce...
Raz jeszcze z ust Twych słyszéć imię moje,
Raz jeszcze tylko!...

*
*   *

Szczęśliwi, którzy wierzą, że po skonie
Duchami pójdą w elizejskie błonie
I tam spotkają tych, których kochali.
Gdybym tak wierzył, chciałbym choć z oddali
Patrzéć na Ciebie i pod Twoje stopy
Za pieśnią rzucać pieśń, jak kwiatów snopy,
I takim hymnem owieńczyć Cię, droga,
Ażby z błękitu przejrzała twarz Boga...

*
*   *

Gdybym tak wierzył... Serce mi się zrywa—
Odwróć odemnie twarz i bądź szczęśliwa!...

Kaz. Przerwa-Tetmajer.

Wędrówki Iberyjskie.

I.

Czy warto jechać do Hiszpanii?

Znajomość geografii bywa zwykle poczytywaną za niezbędny warunek wykształcenia, choć najmniéj chyba rozwija umysł. Jeśli ktoś zdradzi się z tém, że Amsterdam poczytuje za stolicę Belgii, to wywoła śmiech lub współczucie, a jednak tak nieznaczna część naszych czynów może zależéć od dokładnéj znajomości nazwy stolic rozmaitych krajów! Zdaje się, że ta doniosłość towarzyska elementarnéj wiedzy geograficznéj polega na pewnéj mylnéj identyfikacyi symbolu z samym przedmiotem przez ten symbol oznaczanym. Nazwy geograficzne są symbolami miejscowości, i nieznajomość tych nazw wydaje się dowodem stanowczéj nieznajomości obcych krajów, skąd wynika brak cennego doświadczenia. Jednak w geografii, tak jak jéj nas uczą w szkołach, mało znajdujemy materyałów bogacących nasze doświadczenie życiowe. Natomiast podróże uchodzą w oczach tych, co doskonale wyuczyli się na pamięć szczegółów geograficznych, za rozrywkę niedostępną dla ogółu za przywiléj najbogatszych, szczególniéj gdy chodzi o kraje tak odległe jak Hiszpania lub Portugalia.

Tymczasem, ktokolwiek umié się wznieść po nad pewne uprzedzenia, może zwiedzić niektóre bardzo ciekawe zakątki Hiszpanii i Portugalii za 150 rubli, licząc w tém podróż i zupełne utrzymanie przez kilka miesięcy oraz powrót z Hiszpanii do Warszawy. Podróż taka dla młodego człowieka byłaby miłém wspomnieniem na starość, zbiorem

bardzo ciekawych wrażeń i doświadczeń, bogatém zródłem rozwoju umysłowego i kuracyą od wielu niedomagań fizycznych. Ten, co się odważy ją przedsięwziąć, będzie liczył o jedną zimę mniéj w swojém życiu, a starczy mu materyału na opowiadanie w ciągu lat wielu.

Przedewszystkiém trzeba naturalnie zacząć od nauczenia się po hiszpańsku. Nie trudny to język, byle tylko stosować właściwą metodę do nabycia go. Nie należy się oddawać w niewolę Ollendorffa, ani żadnego podobnego Niemca, tylko sprowadzić sobie za kilkadziesiąt kopiejek kilka dramatów Echegarraya w hiszpańskim oryginale, wybiérając takie, które są tłómaczone na jaki dostępny dla przyszłego podróżnika język. Ponieważ wiele tych dramatów tłómaczono już na język niemiecki, francuski, a nawet polski, więc wybór będzie nie trudny. Radzę zaś Echegarraya, bo dyalog tego autora jest łatwy i zajmujący, a treść patetyczna szczególniéj nadaje się do czytania głośnego. Wymawianie języka hiszpańskiego nie przedstawia najmniejszéj trudności. Wymawia się, jak się pisze—z nielicznemi wyjątkami, łatwemi do zapamiętania. Naprzykład, zawsze *j* wymawia się, jak polskie *ch*, zaś hiszpańskie *ch*, jak polskie *cz*. Zaś *g* przed *e* lub *i* także wymawia się jak *ch*; przed innemi samogłoskami jak *g*. Podobnie *c* ma podwójne wymawianie. Przed *e* lub *i* wymawia się prawie jak *s*, lub jak ostre angielskie *th*—zaś przed *a*, *o*, *u* jak *k*.

Mając tekst oryginalny i tłómaczenie, czytelnik z łatwością zrozumié większość zdań, wcale nie troszcząc się o gramatykę ani słówka. Nie jest bynajmniéj koniecznèm zrozumiéć wszystkie zdania. Za pierwszém czytaniem i wysiłek skierowany ku temu byłby stracony. Przyjdzie to samo przez częste powtarzanie. Proszę tylko spróbować następnéj metody wybróbowanéj przezemnie na wielu językach i kilku osobach.

Pierwszego dnia proszę przeczytać uważnie kilka stronic po hiszpańsku, usiłując je zrozumiéć z pomocą tłómaczenia. Czytać je należy kilkanaście razy z rzędu głośno, z przejęciem się treścią, deklamując patetycznie i wchodząc w rolę osób, których słowa się czyta. Takie czytanie oswoi czytelnika z zewnętrzną stroną języka z początku, a potém z jego duchem, i coraz mniéj zdań pozostanie niejasnych. Drugiego dnia kilka razy powtórzyć trzeba jeszcze przeczytane stronice i znowu posunąć się o kilka stronic daléj. W ten sposób co dzień posuwając się, trzeba powtarzać uparcie i wytrwale tekst poprzedni, aż każda stronica będzie przeczytana kilkadziesiąt do stu razy, zależnie od zdolności, bo chodzi o to, aby przez częste powtarzanie dojść do zupełnie biegłego czytania i bezpośredniego rozumienia tego, co się czyta. Ten cel osiągnięty zostanie tém rychléj, im z większém przejęciem się rzeczą kto czytać będzie. Najważniejszą zasadą przy uczeniu się

obcego języka jest koncentracya pracy. To znaczy, że więcéj można zrobić, pracując przez miesiąc po trzy godziny dziennie, niż pracując przez trzy miesiące po godzinie na dzień. Przy takiéj koncentracyi pracy mniejszego wysiłku potrzeba dla utrzymania całego tekstu w pamięci i oswobodzenia się od naturalnéj skłonności do tłómaczenia w myśli obcego tekstu na własny język. Każdy język należy pojmować tak bezpośrednio, jak język ojczysty, bez pomocy tłómaczeń: dopiéro wtedy można nim owładnąć.

Gdy kilka dramatów kto w ten sposób obrobi, że będzie mógł je płynnie czytać i rozumiéć bez tłómaczenia, to nagle spostrzeże, że się w jego duszy obudziła nowa zdolność, nowa siła: rozumienie hiszpańskiego języka. Zamiast budować obcy język ze słówek i zasad gramatycznych, trzeba się przejąć tym narodowym duchem, który stworzył i słówka i gramatykę, a wtedy obcy język stanie się nie martwym symbolem, ale żyjącą częścią treści duszy, istotnie nową władzą, nowym zmysłem, rozszerzającym widnokręgi umysłowe. Wtedy dopiéro, gdy kto może biegle czytać hiszpańskie dzieła, warto poznać trochę zasady gramatyczne tego języka.

A doświadczenie przekona, że płynność i łatwość czytania kilku dramatów z wielką łatwością przenosi się na inne teksty. Jeśli pierwszy dramat musiał kto przeczytać sto razy, to dla zupełnego zrozumienia drugiego wystarczy pięćdziesiąt powtórzeń, na trzeci trzydzieści, na czwarty dziesięć, a piąty lub szósty dramat tegoż autora będzie rozumiany odrazu. Ilość powtórzeń, potrzebna dla osiągnięcia celu, zależy od zdolności uczącego się i od trudności języka. Ponieważ szybkość czytania z wprawą się wzmaga, więc po dłuższéj wprawie starczą na przeczytanie całego dramatu dwie godziny czasu, mniéj niż trwa przedstawienie na scenie. Jeśli początkowe czytanie było dziesięć razy wolniejsze, to cały powyższy program da się uskutecznić w ciągu czterech miesięcy, po trzy godziny dziennie. Warto tyle czasu poświęcić, aby otworzyć sobie możliwość poznania jednéj z najbogatszych i najpiękniejszych literatur świata.

Jeśli kto pozna język hiszpański, to dla odbycia za sto pięćdziesiąt rubli podróży z Warszawy do Hiszpanii i z powrotem trzeba jeszcze złożyć kilka ofiar na ołtarzu piękna i wiedzy. Najgorsze uprzedzenie ma ogół ludzi co do potrzeby wielkiéj rozmaitości w jedzeniu. Proszę przeczytać Sieroszewskiego powieści jakuckie, by się dowiedzieć, jakim przysmakiem jest ten chléb zwyczajny, którym w kraju zboża gardzimy. Chlebem sérem i owocami można żyć kilka miesięcy, nie nadwyrężając bynajmniéj zdrowia, a nawet oczyszczając krew od wielu niepotrzebnych przymieszek, szczególniéj w klimacie południowym, gdzie samo słońce karmi przybysza z północy. Strawa taka kosztuje około

trzydziestu lub czterdziestu kopiejek dziennie prawie we wszystkich krajach Europy. Aby lepiéj smakowała, wystarczy wyobrazić sobie, że jesteśmy zamknięci w ciemnym lochu i potém otworzyć oczy, spoglądając na piękne niebo i morze południowe. Jak wtedy chléb i sér smakować będą! Przecież nasi chłopi zadawalniają się przez cały rok jeszcze skromniejszém jadłem, bo więcéj mają kartofli, niż chleba, a owoców mało przechowują na zimę. Dlaczegóż mamy być lepszymi, niż oni i więcéj potrzebować? W ten sposób o chlebie i serze odwiedziłem po raz pierwszy Hiszpanię i w ten sam sposób kilka lat późniéj podróżowałem po Stanach Zjednoczonych Ameryki, czując się zdrowszym, niż kiedykolwiek. Słońce, dobry humor, rozmaitość nowych wrażeń to są najlepsze przyprawy do skromnego wiktu.

Kto chce tanio podróżować, ten musi w podobny sposób uprościć swój bagaż, aby go mógł zawsze sam unieść. Wystarczy tornister nieprzemakalny zawiérający jedną zmianę ubrania, pantofle, kilka zmian bielizny, igły, szpilki, nici, mydło, kilka ręczników i kajet małego formatu do zapisywania wrażeń — ale broń Boże żadnych książek, bo to w podróży ciężkie i nieprzydatne. A co do ubrania, to najlepsze jest ubranie robotnika, prosta bluza, która w Hiszpanii nie przeszkodzi serdecznemu i życzliwemu przyjęciu nawet ze strony wielkich właścicieli ziemskich. Polak dobrze zrobi, jeśli nawet przy tak skromnym bagażu weźmie małą poduszeczkę puchową w drogę do Hiszpanii, bo tamtejsze twarde wełniane wałki używane pod głowę mogą być przykre, dopóki się do nich nie przyzwyczai. Także ciepły pled umocowany do tornistra przyda się, bo noce na wiosnę i jesienią bywają chłodne.

Co do czasu podróży, to najlepiéj w jesien i wczesnéj, np. we wrześniu, jeśli chodzi o krótki pobyt, a trochę późniéj, np. w Listopadzie, jeśli ktoś może zostać do wiosny. Najtańsza droga wiedzie przez Bremę. Z Warszawy do Bremy można zajechać za 20 rubli trzecią klasą. Z Bremy do La Coruña z powrotem przez Vigo kosztuje bilet trzeciéj klasy z utrzymaniem 123 marki, czyli 58 rubli. Zatém z budżetu 150 rubli na tę podróż zostaje przeszło jedna trzecia na wędrówkę po Hiszpanii, naturalnie pieszo. Licząc tanie utrzymanie wędrownego rzemieślnika, starczy na przeszło dwa miesiące, w ciągu których można zwiedzić pieszo Santiago, Pontevedra, Vigo, Oporto, spacerując przez okolice należące do najpiękniejszych na świecie.

Podróż statkiem z Bremy do Coruña, trzecią klasą nie powinna nikogo przerażać. Ma się wygodny nowy siennik i ciepłą zupę z chlebem, a jedzie się wygodniéj daleko, niż trzecią klasą na kolei. Oprócz tego statki te wiozą emigrantów do Brazylii i Argentyny, co daje ciekawą sposobność do studyów ekonomicznych, bo każdy taki emigrant chętnie

opowiada szczegóły swego życia, pobudki emigracyi, a częstokroć jedzie nie po raz pierwszy, więc umie coś powiedzieć i o zamorskich krajach. Jeśli ktoś do skromnych warunków życia pasażerów takich nie przywykł, to poznanie ich będzie dla niego nadzwyczaj pouczającém, bo otworzy mu oczy, na życie ogromnéj większości ludzi, stanowiące tajemnicę dla uprzywilejowanéj mniejszości. Gdyby każdy z naszych przemysłowców lub obywateli ziemskich odbył taką podróż, możeby wstydził się późniéj zbytku, myśląc o swych dawnych towarzyszach podróży, i oszczędziłby wiele tysięcy rubli na wydatkach osobistych, przeznaczając te kwoty na pomoc dla potrzebujących.

Istotnie żadnego wyjątkowego poświęcenia bynajmniéj nie potrzeba, żeby jechać kilka dni trzecią klasą na wielkim statku parowym. Jeden ważny warunek życia, którego biedni w miastach są pozbawieni, ma się na statku zapewniony: czyste, zdrowe morskie powietrze. Chleba także nie brak, a zupa mięsna wyda się głodnemu smaczna. Taka podróż otwiéra tym, co do zbytków przywykli, nowy świat wrażeń, z początku przykrych, a po namyśle pouczających, a nawet rozkosznych. Dla wiejskiego panicza, który pięć razy na dzień jada i przy tém nic nie robi, podróż z Bremy do Koruni zmieni punkt widzenia na życie. Okaże mu się, że to, co on traktował, jako rzecz zwykłą i należną mu, nie zasługującą prawie na uwagę, pierwsze i drugie śniadanie, obiad, podwieczorek, kolacya, to są czynności wyjątkowe, wkładające nań obowiązek wyjątkowéj także pracy. Dowié się przytém o wewnętrznych wrażeniach i uczuciach tych ludzi, którzy go otaczają, jako słudzy i pomocnicy, gdy dozna zazdrości względem pasażerów wyższéj klasy na jednym i tym samym statku jadących.

Podróż morzem ma jeszcze oprócz tego wielkie znaczenie moralne. Ten okręt, kołyszący się pod nogami, daleko wierniéj nam przedstawia życie ludzkie, niż twarda ziemia, po któréj chodzimy. Wprawdzie na stałym lądzie różne nieoczekiwane wypadki, pozbawiające zdrowia i życia, nie są bynajmniéj rzadsze, niż na morzu, ale kto do stałego lądu przywykł, ten dopiéro na oceanie może wzbudzić w sobie pełną świadomość niepewności naszych przedsięwzięć. Nie potrzebuje to osłabiać naszych sił, i owszem ta właśnie oczywista niepewność powiększa jeszcze odwagę, gdy się pojmie, że największe niebezpieczeństwo jest prawie równie blizkiem przy największéj śmiałości, jak i przy hańbiącém tchórzostwie. W razie takiego niebezpieczeństwa, nie stanowi żadnéj różnicy, czy kto bogaty, czy biédny, czy chłop, czy szlachcic lub magnat, natomiast ten, co się nie boi śmierci, ma największe szanse pozostania przy życiu.

Choroba morska jest także doświadczeniem bardzo pouczającém, bo nie grozi na seryo zdrowiu, a daje tanim kosztem poznać wysoki

stopień cierpienia fizycznego bez wyraźnego bólu w żadnéj części ciała. I tutaj znowu śmiałość i odwaga bywa nagradzaną. Kto się słabości poddaje i leży bezczynnie, ten cierpi dłużéj, niż ten, co wbrew téj słabości używa ruchu, przechadzając się najwięcéj po pokładzie.

Podróż do Hiszpanii z pomiędzy mniéj odległych podróży morskich, jest dla nas najciekawszą i daleko milszą, niż wycieczki na północ. Mało słońca widzimy jesienią u nas i stopniowe posuwanie się na południe, ku światłu i ciepłu, dziwnie orzeźwia i odmładza. Zresztą Hiszpania daleko więcéj zasługuje na naszą uwagę, niż niektóre bliższe kraje, np. Szwajcarya lub Włochy. O krajach tych zbyt wiele słyszeliśmy, żeby nie doznać rozczarowania, gdy je odwiedzamy. Przytém Szwajcarzy i Włosi wcale do nas nie są podobni, i trudno jest nam do nich się zbliżyć serdecznie. Natomiast Hiszpanie, jeszcze nie zepsuci przez turystów, przyjmują każdego cudzoziemca z wielką życzliwością i serdecznością, nawet choćby się zbliżał w bluzie i z tłomokiem w ręku.

W Hiszpanii spotykamy ludzi niezmiernie pod wieloma względami do nas podobnych, a przytém tak, jak my serdecznych i gościnnych. Wyzysk, który kwitnie w krajach często odwiedzanych, tam jeszcze nie rozwielmożnił się tak, jak w środkowéj Europie. Literatura bogatsza jest i dawniejsza, niż literatury innych narodów. Krajobrazy przedstawiają daleko większą rozmaitość, niż we Włoszech lub Szwajcaryi. A co najważniejsza, Hiszpania jest zawsze jeszcze tak mało znana i opisywana, że z książek i rysunków trudno jest sobie o niéj wytworzyć tak dokładne wyobrażenie, jak o bliższych krajach.

Dla wszystkich tych powodów godzi się gorąco zalecać młodzieży tanią wycieczkę do Hiszpanii, nawet jeśli środki nie pozwolą na obszerniejsze wędrówki. Północno zachodni zakątek Galicyi hiszpańskiéj, od Coruña do Vigo, jest krajem tak pięknym i oryginalnym, że nawet, jeśliby ktoś miał poprzestać na zwiedzeniu téj Galicyi hiszpańskiéj, podróż by mu się opłaciła sowicie. Wskutek obecnego urządzenia środków komunikacyi, Galicya hiszpańska, jakkolwiek na mapie jest bardzo odległa, w rzeczywistości jest najbliższą dla nas, bo najtaniéj można do niéj morzem zajechać, gdy tymczasem podróż np. do Barcelony lub Madrytu jest dwa razy droższa.

Odwiedziwszy Hiszpanię w ciągu ostatnich dwunastu lat dziewięć razy, i bawiąc tam lata całe, zebrałem wiązkę wrażeń osobistych, które chciałbym udzielić czytelnikom, unikając wszelkich fałszywych uogólnień. Z takich osobistych świadectw składa się dopiéro pewien objektywny obraz kraju i narodu, przez różnych podróżników opisywanego. Zastrzegam wyraźnie, że nie występuję, jako geograf ani etnograf, tylko

jako podróżnik, spisujący po kilkunastu latach swoje wspomnienia i wrażenia, ze szczerą chęcią pozostania w granicach ścisłéj prawdy.

II.

Pierwsze wrażenia iberyjskie.

Pierwszy raz zetknąłem się z Hiszpanią w Dorpacie w 1884-ym r. Wracał wtedy z Hiszpanii docent uniwersytetu Woldemar Masing i zapowiedział wykłady o języku i literaturze hiszpańskiéj. Wykłady te zaciekawiły mnie szczególniéj dla tego, że Masing przyznawał Hiszpanom pierwszeństwo wśród wszystkich narodów Europy na polu najdojrzalszéj formy literackiéj, dramatu. A że oprócz tego czytałem w dzieciństwie Don Kichota, więc miałem szczególną sympatyę do Hiszpanów i pragnąłem ich bliżéj poznać. Z pomocą Masinga nauczyłem się po hiszpańsku, a okoliczność ta nawet wpłynęła po części na to, że po ukończeniu uniwersytetu udałem się do Paryża na wydział romańskich języków i literatur w *Ecole des Hautes Etudes*.

Jako student téj szkoły pod kierunkiem Gastona Paris'a, poznałem kilka innych narzeczy romańskich, oprócz hiszpańskiego i włoskiego, dawniéj mi znanych. Na wiosnę 1896-go roku otrzymałem z domu wezwanie, żeby już skończyć studya i wracać najrychléj do kraju a zabrać się do pracy zawodowéj. Widząc się zagrożonym taką niewolą, postanowiłem na pożegnanie poznać jaki nowy kawałek ziemi. Miałem zaoszczędzone w ciągu studyów około czterystu rubli i zapragnąłem z pomocą téj kwoty zajechać tak daleko, jak tylko można, choćby wypadło podróżować o chlebie i wodzie.

Wyruszyłem najprzód do Londynu, aby tam plan dalszéj podróży obmyślić. Marzyłem o Ameryce, Afryce, Australii, ale jak zacząłem rachować, przekonałem się, że żadną miarą daléj nie zajadę, jak do Gibraltaru. Zdecydowałem się tedy na Hiszpanię i wyruszyłem w drogę statkiem towarzystwa Hall et C., idącym do Lizbony. Są to statki towarowe, i byłem jedynym pasażerem. Po angielsku mówiłem tak, że Anglicy mnie wcale nie rozumieli, a ja nawzajem ich nie rozumiałem, gdy oni do mnie przemawiali. Więc w ciągu kilku dni między Londynem a Lizboną mogłem się oddać samotnym rozmyślaniom i spacerom po pokładzie statku, który się nazywał Gibraltar.

Pomimo téj samotności, nie brakło ciekawych widowisk. Szczególniéj zachód słońca na morzu co dzień był inny i co dzień wspaniały. Rozmaity układ chmurek na horyzoncie, lub lekka mgła nawet pozba-

wiająca słońce blasku, stan morza — wszystko wpływało na urozmaicenie tego widoku. Szczególniej gdy wschodni wiatr pędził obfity dym, unoszący się z kominów statku na zachód, i tworzył czarną chmurę zasłaniającą część zachodniego horyzontu, kontrast kolorów czerwonych i zielonych chmurek stawał się uderzającym i za każdym ruchem obłoku czarnego zmieniały się pozory światła tak, że cały horyzont przedstawiał jakąś walkę czarnego świata szatanów z armią różowych i zielonych duchów, przy czém nieuchronnie ciemności zwyciężały, a światło musiało pierzchnąć. Kto nazajutrz dosyć rano się obudził, ten był świadkiem odwetu. Czasem nieba od morza nie podobna było odróżnić, tak się zlewały lekkie chmurki z odległemi bałwanami. Wtedy łuna świetlana trwała długo po zachodzie słońca, tworząc fantastyczne szczyty gór, przepaście, jeziora, gdy po drugiéj stronie widnokręgu panował już mrok zupełny.

Nikt na statku nie zwracał uwagi na te piękności. Anglicy grali w karty lub pili *whisky*, jeśli nie mieli okrętowych obowiązków do spełniania.

Po pięciu dniach podróży, d. 6 Maja 1886 roku, przybyliśmy do Lizbony. Z początku widać było skały Cabo Roca najbardziéj zachodniego przylądka Europy—potém dostaliśmy się na żółte, brudne wody Tagu, i nareszcie na przeciwko miasta statek stanął, zarzucając kotwicę w niewielkiéj odległości od brzegu. Zaczęła się licytacya przewoźników, którzy nie mają stałéj taksy za odwiezienie pasażerów do miasta. Żądają cen bajecznych, np. 4,000 reisów, czyli przeszło ośm rubli za przejazd trwający pół godziny. Po długim targu zgodził się jeden z nich za połowę téj ceny—a kapitan, który nie dba o kieszeń pasażerów, upewniał, że to cena zwyczajna, choć dowiedziałem się późniéj, że można było daleko tańszą łódkę dostać. Łódka taka niewielka jest poruszaną 8-ma wiosłami przez czterech marynarzy, choć jeden lub dwóch niewątpliwie by mogli podołać téj pracy. Razem z pasażerem siada do łódki urzędnik celny, żeby dopilnować wylądowania przed komorą. Silny prąd wody od morza w górę rzeki utrudniał ruchy łódki, i trzeba było najprzód oddalić się w kierunku morza, by potém wylądować naprzeciw okrętu.

Lizbona jest miastem prawie równie pięknem, jak Neapol, tylko zamiast błękitu morza Śródziemnego ma się tu wody złotego a raczéj brudno-gliniastego Tagu. Za to więcéj pięknych placów, pełnych wonnych kwiatów, i daleko większa czystość niż w Neapolu. Położenie jest także bardziéj urozmaicone dla tego, że Lizbona wznosi się na kilku wzgórzach, tworząc więcéj wklęsłe amfiteatry, niż ogólny widok Neapolu. Koleje zębate wiozą podróżnych za kilka kopiejek na te

wzgórza, podobnie jak w Szwajcaryi wjeżdża się na Rigi. Na wielu bardzo ulicach trotuary są ułożone z małych różnobarwnych kamyków, tworząc mozaikę świadczącą o wielkiém zamiłowaniu Portugalczyków do starannego obrobienia drobiazgowych szczegółów.

Mają oni téż zamiłowanie do wielkich cyfr. Naprzykład, za jedność monetarną obrali sobie reis wartości piątéj części kopiejki i przy pewnych wyjątkowych kursach, np. w czasie ostatniéj wojny hiszpańsko-amerykańskiéj, reis spadł do wartości dziewiątéj części kopiejki. Licząc na reisy, Portugalczyk patetycznie wygłasza wielkie cyfry reisów, zapłacone za małe przedmioty. Np. kurs dorożki kosztuje w Lizbonie często tysiąc reisów a najmniéj czterysta reisów, loże w teatrze do 12,000 reisów, zaś abonament na dziewięćdziesiąt przedstawień,—przeszło milion reisów. Tak samo, jak pieniądze, Portugalczycy rachują także inne przedmioty. Naprzykład w wojsku kawalerya nie liczy się na ilość koni, lecz na ilość kopyt końskich — więc nie mówi się: tysiąc jeźdźców—tylko cztery tysiące kopyt końskich. Na wielu ulicach zamiast domów są numerowane okna, aby w ten sposób osiągnąć wysokie cyfry numeracyi. Np. dowiaduję się, że ktoś mieszka pod dziewięćsetnym numerem na jakiéjś ulicy i myślę, że będę musiał iść kilka kilometrów, nim tak daleko zajdę—a to jest zaledwie odległość kilkudziesięciu domów od początku ulicy.

Podobnie jak Włosi, Portugalczycy lubią stawiać pomniki swoim wielkim ludziom, ale otaczają te pomniki taką ilością kwiatów i roślin podzwrotnikowych, że przybysz obcy, widząc marmury w pachnących ogrodach, doznaje wrażenia jakiegoś dziwnego oderwania od pospolitéj rzeczywistości. W żadném mieście takiéj obfitości kwiatów na placach publicznych nie widziałem, jak w Lizbonie.

Napatrzywszy się na tę zewnętrzną piękność miasta, udałem się z pomocą planu do mieszkania pana Teofilo Braga, profesora literatury portugalskiéj w Curso Superior de Letras, to jest w zakładzie wzorowanym na paryskiém Collége de France. Miałem do niego list polecający od jednego Portugalczyka, którego poznałem w Londynie. Teofilo Braga jest pisarzem zdumiewającéj płodności w zakresie krytyki literackiéj. Napisał historyę literatury portugalskiéj w kilkunastu tomach, a oprócz tego jeszcze kilkadziesiąt tomów monografii o różnych autorach.

Jaki jest stan rynku księgarskiego w Portugalii, widać ztąd, że autor ten, powszechnie ceniony przez swoich ziomków, pracujący od czterdziestu lat w zakresie literatury i krytyki portugalskiéj — dotąd wydaje dzieła nie otrzymując żadnych honoraryi autorskich, prócz

skromnéj liczby bezpłatnych egzemplarzy, rad, że nakładca francuski, osiadły w Oporto (E. Chardron), ponosi koszta druku!

Teofilo Braga, jako bezinteresowny pracownik na polu literatury portugalskiéj, zasługuje na uznanie, choć używa całéj swéj wielkiéj energii i wytrwałości dla niewolniczego szerzenia przekonań obcego pisarza, Augusta Comte'a. Jest zapalonym pozytywistą i to go pozbawia nawet w znacznym stopniu bezstronności sądu. Jednak nawet ten ślepy pozytywizm jest zasługą w kraju, gdzie oddawna panowała wielka obojętność na wszelkie objawy myśli niezależnéj. Życie historyka literatury portugalskiéj nie było wcale usłane różami i dziś jeszcze wyda się nędzném w porównaniu z życiem naszych historyków. Urodził się na wyspie San Miguel de Acores w 1843 roku, jako syn oficera artyleryi, który po opuszczeniu służby wojskowéj został nauczycielem logiki i matematyki w liceum miasta Ponta Delgada na San Miguel. Mając trzy lata, utracił Teofilo matkę a dostał się pod opiekę macochy wraz z liczném rodzeństwem. W czternastym roku życia został zmuszony do samodzielnego zarobku i wstąpił do drukarni, jako zecer, poświęcając wszystkie chwile wolne czytaniu klasyków swego narodu. W piętnastym roku życia wystąpił, jako autor, z książeczką wierszy, pod tytułem: *Folhas verdes* (liście zielone), z któréj wieje nienasycone pragnienie wiedzy. Tęsknił do szerszego świata i w ciężkiéj pracy ręcznéj zarobił sobie środki na podróż do Europy, którą uskutecznił w 1861 roku, mając lat ośmnaście. Udał się do dawnego uniwersytetu w Coimbzea i tam rozpoczął studya, zarabiając jednocześnie na swoje utrzymanie lekcyami. W roku 1864 wydał nowe dzieło, p. t. *Visão dos tempos* (Wizya historyi), w którém wierszem usiłuje przedstawić główne epoki przeszłości z wielkim zapałem i silną wiarą w postęp ludzkości. Od tego czasu już bezustanku pisał nowe dzieła przeważnie treści historyczno-krytycznéj, czasem po kilka tomów na rok, w sposób zdradzający samouka i polemistę raczéj, niż bezstronnego uczonego.

W roku 1868 skończył wydział prawny uniwersytetu w Coimbrze i zaczął pracować nad swą Historyą Literatury Portugalskiéj, obejmującą najobszerniejszy inwentarz piśmiennictwa tego narodu, a w r. 1872, mając lat dwadzieścia, dziewięć został profesorem ojczystéj literatury w Curso Superior de Letras. Od tego czasu ciągle pisał, wykładał i czytał, popularyzując pozytywizm Comte'a w Portugalii i zarazem domagając się reform politycznych zasadniczych w celu ustalenia wolności prasy, wyznań, nauczania, zebrań, handlu, i przemysłu. Braga pracuje bezustanku i odznacza, się dziwną bezstronnością pod względem materyałów, które przerabia, przy równie dziwnéj jednostronności swego punktu widzenia, zapożyczonego od Comte'a.

Do tego pracownika udałem się wkrótce po przybyciu do Lizbony i zostałem nadzwyczaj gościnnie przyjęty. Do późnéj nocy rozmawialiśmy, przy czém w rozmowie brała czynny udział piętnastoletnia córka poety, Maria da Graça, wyglądająca na dziesięcioletnią dziewczynkę, a rozprawiająca o politycznych i literackich kwestyach, jak dojrzały mężczyzna. Dziwny był los tego dziecka, które stało się ofiarą błędu pedagogicznego swego ojca. Pamiętając o trudnościach, z jakiemi musiał walczyć dla zdobycia wiedzy, Braga chciał najstarszą córkę swoją od dzieciństwa uposażyć w największy zasób wykształcenia. Maria da Graça nigdy nie bawiła się, jak dzieci, tylko uczyła się i czytała. Ciągła praca umysłowa powstrzymała rozwój ciała, i widok tego uczonego dziecka kłam zadawał teoryom pozytywistycznym ojca, bo dusza rozwinęła się, kiedy tymczasem mózg prawie zanikał i nie mógł nawet ciała doprowadzić do dojrzałości. Skazana była przez takie wychowanie na śmierć przedwczesną, która wtedy, kiedy ją widziałem, już się zbliżała, bo nastąpiła kilka miesięcy późniéj. I nie było tu nawet rzeczywistego przepracowania. Dziecko to uczyło się z wielką chęcią, rwało się do nauki, odziedziczywszy po ojcu i wysoce ukształconéj matce to niepohamowane pragnienie wiedzy, które usuwa w cień wszelkie inne dążenia. Zapominało ono o ciele, i ciało téż powoli umiérało, kiedy dusza coraz to więcéj oddalała się od spraw tego życia, wędrując z ojcem przez dawne epoki historyi i różne nauki.

Z portugalskim apostołem pozytywizmu nie próbowałem nawet wszczynać dyskusyi o istocie zjawisk, bo słysząc jego zdania wygłaszane z wielką siłą, jasno pojmowałem, jak nieuleczalnie wierzy w swego mistrza. Zresztą ten portugalski pozytywizm tak wielki kładzie nacisk na postęp umysłowy ludzkości, tak pełen jest siebie i tak mało wié o innych drogach, że nie wydaje się tak pretensyonalnym, jak gdzieindziéj. Wprawdzie Braga ma słabość do energicznego potępiania kleru, ale duchowieństwo portugalskie w mniejszym stopniu zasługuje na poważanie, niż nasze, a w większym stopniu przeszkadza wszelkiemu postępowi, co tłómaczy zapamiętałość walki.

Następnego dnia (7 Maja 1886 r.) wybrałem się piechotą o cztery mile na zachód od Lizbony, do Cintry, miejscowości opiewanéj przez Byrona, jako raj ziemski, i dla tego wzbudzającéj moją ciekawość. Do raju tego prowadziła droga przez piekło, bo trzeba było po szosie pełnéj kurzu iść 27 kilometrów przy tyluż stopniach ciepła. Po drodze mija się wiele wspaniałych willi otoczonych kwiatami i pomarańczami, a rażąco odbijających na tle nędznych lepianek robotników rolnych. Przy południowém słońcu zbytek bogatych więcéj kłuje w oczy, niż pod chmurném niebem północy. Blask marmurów świéci zdaleka, rzeź-

by w kąpieli światła olśniewającego nabiérają życia, nawet metaliczne sztachetki i bramy wydają się jakby wysadzane klejnotami w oczach przybysza z Północy.

Cintra jest miejscem letniego pobytu dla bogatych obywateli Lizbony. Na górze wysokiéj wznosi się starożytny zamek królewski odrestaurowany, a poniżéj ruiny dawniejszych baszt i budowli. Zamek otoczony jest parkiem pełnym pomarańcz, cytryn, laurów i kwiatów. Na pochyłości góry wije się szosa, prowadząca w dół od zamku do miasteczka, z widokami z jednéj strony na Ocean Atlantycki, w innych miejscach na żółte wody Tagu. Cała góra usiana fantastycznych kształtów głazami, które leżą tak jakby zostały strącone przez jakiegoś olbrzyma, czasem wiszą nad szczelinami, utrzymując się od upadku w dolinę niewiadomo jaką siłą. A z pośród tych wielkich kamieni, nawet czasem na nich, wszędzie rośnie bujna roślinność, wydająca najmilsze zapachy i zdobiąca granit najpiękniejszemi barwami. Byron miał racyę, wychwalając piękności Cintry: chodzi się po tych górach, jak w krainie czarów, szczególniéj w Maju, kiedy napływ miejskiéj ludności jeszcze się nie zaczął. Co roku mnóstwo Anglików odwiedza to miejce—krótka wzmianka o niém w Don Juanie Byrona zrobiła zeń cel pielgrzymek dla wielu wielbicieli wieszcza.

Wróciwszy z Cintry wieczorem, spotkałem znowu Teofila Bragę, który mnie zapoznał w klubie z kilkoma literatam, i uczonymi portugalskimi. Ludzie ci z wielką łatwością rozprawiają o wszystkiém i słuchając ich, możnaby wierzyć, że posiadają niewyczerpane skarby szczegółowéj wiedzy. Przy bliższém zbadaniu, prawie zawsze się okazuje, że wiedza ta czerpana jest z francuskich podręczników lub encyklopedyi, które uchodzą za wyrocznie. Z ciekawością wypytywali się o ten kraj odległy, z którego przybyłem, i zdarzały się wątpliwości, czy tam mówią po niemiecku, czy po austryacku. Trzeba przyznać, że jednak wątpliwości te zostały usunięte bez mojéj pomocy przez miejscowych lingwistów, którzy słyszeli, że polski język jest narzeczem mowy rosyjskiéj. Gdy wyjaśniłem, że różnią się te dwa języki więcéj, niż hiszpański i portugalski, zdziwienie było prawie powszechne.

Po dwudniowym pobycie w Lizbonie, wróciłem na statek Gibraltar, żeby daléj jechać do Gibraltaru. Podróż ta trwała nie cały dzień, i ukazały się naszym oczom brzegi Afryki. Gibraltar położony u stóp wysokiéj skały, z któréj wyglądają armaty angielskie umieszczone wewnątrz galeryi w téj skale wykutych, jest miasteczkiem międzynarodowém. Gdy się zapytałem marynarza gibraltarskiego, mówiącego po hiszpańsku i prawdopodobnie pochodzącego z Hiszpanii, czy nie wolałby panowania hiszpańskiego w Gibraltarze, zamiast władzy Anglików,

odrzekł stanowczo, że z dwojga złego woli Anglików, ale że on nie jest ani Anglikiem ani Hiszpanem, tylko Gibraltarczykiem i że najchętniéj wygoniłby wszystkich cudzoziemców, co się na jego rodzinnéj skale rozgościli. Takich autonomistów potém często spotykałem i w innych miejscowościach Hiszpanii.

Wkrótce po przybyciu do Gibraltaru wdrapałem się na skałę, a raczéj górę El Hacho (wymawia się: elaczo), wznoszącą się nad Gibraltarem na 400 metrów wysokości. Widok ze szczytu należy do najpiękniejszych, jakie można sobie wyobrazić. Z jednéj strony morze Śródziemne, nad którém widać wysokie góry, aż do Sierra Nevada, przeszło 200 kilometrów odległego pasma w Andaluzyi; na południe wybrzeża Afryki, poczynając od miasteczka Ceuta, które widać bardzo wyraźnie choć jest odległém o dwadzieścia kilka kilometrów.

Góry afrykańskie za Ceutą są bardzo skromne i mienią się dziwnemi kolorami, pasami fioletowemi i purpurowemi wywołanemi jakąś grą światła. Na zachód widać zatokę, nad którą różne wioski i miasteczka bieleją, jak gniazda jaskółek — a wdali Tangier nad Atlantyckim oceanem. Na północ góry Ronda, zasłaniające okolice Sewilli. Widok ten przypomina widok włoskich jezior z San Salvatore nad miastem Lugano, ale o wiele przewyższa go rozmaitością i szczególniéj rozciągającym się po za zatoką horyzontem oceanu. Także bujna i wonna roślinność upaja widza i, patrząc po raz pierwszy na krajobraz afrykański, doznałem nadzwyczajnéj rozkoszy. Tu wszelki pesymizm ustaje: ta energia życia tylu kwiatów i krzewów na nieurodzajnéj skale narzuca się swoją potęgą i woła do widza, że życie może być pięknem. Patrząc na te rajskie okolice, gdzie bez pracy, bez zachodu ziemia wydaje palmy, wystarczające swym plonem daktyli dla wyżywienia mieszkańców, można się zamyśléć, co mogło skłonić naszych praojców do opuszczenia ciepłych krajów i do szukania pod północném chmurném niebem nieurodzajnéj ziemi i trudną pracą okupywanych zbiorów? A jednak, gdy dłużéj pobyłem na południu, zrozumiałem, że nie chciałbym na zawsze pozostać w tym raju, w którym rozkosz odejmuje siły do pracy i czynu. Wolę zimne poddasze, oświecone łojówką a pełne myśli, niż to niewolnictwo wrażeń, do których człowiek przykuty, staje się tworem przyrody, nie jéj panem. Za wiele piękności rozmarza i osłabia; dopiéro, gdy brak zadowolenia dla zmysłów, budzi się myśl i wznosi w świat idei niewidzialnych, nietykalnych, a jednak piękniejszych, niż wszystkie tęcze barw, niż harmonie dźwięków. Na południu życie najnędzniejszego człowieka ma jeszcze zbyt wiele uroku, by wzbudzić tę litość bezbrzeżną i chęć przemian wielkich, jakie powstają w obcowaniu z nędzą naszych miast i wsi.

Jednak człowiek nie może mieć pojęcia o tém, co się mieści w ludzkiém życiu, jeśli nie poznał południa, szczególniéj Hiszpanii, gdzie życie jeszcze płynie prawie tak samo, jak tysiąc lat temu, kiedy półwysep ten doświadczył ostatniego najścia barbarzyńców. We Włoszech zbyt wiele ludów z Północy wywierało swój wpływ i pozostawialo swoje ślady—tak, że tam nie mógł się utrzymać typ prawdziwego południowca, jak na południu Hiszpanii, napojonéj krwią arabską. Włoch częściéj rozmyśla o życiu, zaś Hiszpan, szczególniéj w Andaluzyi, żyje o nic nie pytając i niedbając o jutro, poprzestając na zmianie wrażeń i nie dążąc do urzeczywistnienia idei.

Napatrzywszy się na morze i góry ze szczytu El Hacho i doznawszy istotnie południowego zachwytu nad pięknością krajobrazu rozciągającego się pod niebem bez chmur, zacząłem schodzić z drugiéj strony góry, to jest od morza Śródziemnego aby dłużéj widziéć śnieżne wierzchołki wznoszące się nad Granadą. Ścieżka, wązka i mało uczęszczana, prowadzi nad przepaścią, a cała przepaść wysłana najbujniejszą roślinnością, wyrastającą z twardéj skały i odurzającą przechodnia swą niezrównaną wonią. Niczém kwiaty alpejskie wobec tych lotnych olejków, wyrabianych przez gibraltarskie kwiaty z powietrza, pod wpływem słońca. Te zapachy, wytworzone przez intensywne życie roślin, budzą marzyciela do życia i szepczą najgorszemu pesymiście, że czasem jednak warto żyć.

Po drodze spotkałem kilka małp, które podobno nigdzie po za skałą gibraltarską w Europie dziko nie żyją. Tutaj doznają opieki rządu angielskiego, który dba o utrzymanie ich, aby wiedziano, że nawet małpom dobrze jest pod flagą Wielkiéj Brytanii. To téż nie boją się one ludzi i można się im dobrze przyjrzéć. Zwierzęta te robią wrażenie najprawdziwszych południowców: żyją, rozkoszują się życiem, nie pracują i nie filozofują. Ścieżka, prowadząca nad morzem Śródziemném ze szczytu *El Hacho* na dół, wije się nad tak prostopadłą skalą, że za każdym zakrętem wydaje się, jakby daléj iść nie mogła. Jednak zwraca się i przechodzi, wykuta w skale, o kilka metrów niżéj, niż przy wyższym zakręcie. A na całéj drodze ta sama bujna roślinność, cierniste krzaki, zatrzymujące przechodnia, i ciągle daleko w dole piana morska, rozbijająca się o tę skałę, wzdłuż któréj się idzie. W niektórych miejscach przechodzi się przez tunele, a na całéj drodze nie spotkałem żywéj duszy. Spotkanie byłoby dosyć niemiłém, bo ścieżka zbyt wązka, aby można się wyminąć bez niebezpieczeństwa upadku w przepaść, nad którą się idzie.

Po zejściu z góry trafiłem do ogrodu publicznego Alameda, gdzie właśnie dawano koncert bezpłatny. Ogród ten, wspaniale utrzymany

jest jakby wycięty z wysp Boromejskich, tylko że jeszcze więcéj w nim kwiatów i roślin, a co ważniejsza tylu ludzi w tak ciasném miejscu zebranych nigdzie nie spotkałem. Ogród wznosi się nad zatoką *Algeciras* pięknemi tarasami, i widać w nim podczas koncertu mieszkańców dwóch części świata zgodnie używających odpoczynku. Obok wystrojonych w kosztowne koronki Angielek są bosi Negrzy; obok Arabów w turbanie— sztywni Anglicy w mundurach wojskowych; Berberzy, Hiszpanie, Żydzi spacerują po tych alejach, tak starannie utrzymanych, jak gdyby były przeznaczone dla gości wyborowych. Kobiét wschodnich nie widać, ale dwie białe rasy przeciwległe mają tu swe przedstawicielki najrozmaitsze: pełne wdzięku i prostoty Hiszpanki obok śmiesznie napuszonych i niezręcznych Angielek. Jak zewnętrzny wygląd, tak i treść rozmów, których wyrazy dolatują przechodnia, bardzo rozmaita bywa. Po hiszpańsku najwięcéj słychać zdań miłosnych, po angielsku częściéj brzmią wyrazy, oznaczające pojęcia abstrakcyjne. Rzecz dziwna, że żyjąc razem Hiszpanie i Anglicy tak mało na siebie wywierają tu wpływu: po większéj części gardzą sobą wzajemnie dla różnych powodów. Ta sama pogarda panuje także między Europejczykami a Afrykanami, którzy się tu spotykają, i między rozmaitemi odmianami ras afrykańskich. Negr gardzi Arabem a Arab Negrem—i nikt nie uznaje bezwarunkowéj wyższości innego. Patrząc na objawy téj wzajemnéj pogardy i nienawiści, ukrytych pod pozorami grzeczności, a czasem brutalnie ukazujących się, gdy namiętności zapanują nad rozumem — możnaby zwątpić o rozwoju ludzkości. Jeżeli woń kwiatów i piękne widoki ze szczytu *El Hacho* mogą służyć za lekarstwo na pesymizm, to znowu dziwnie mieszana gromada ludzka u stóp skały, choć jednozgodnie wesoła i zadowolona, musi nasuwać ponure myśli bezstronnemu podróżnikowi.

Chcąc poznać bliżéj te rasy niższe, które kiedyś panowały w Hiszpanii, a dziś podrzędne zajęły stanowisko w Marocco, wybrałem się z Gibraltaru do Tangeru (wymawia się Tancher), dokąd się jedzie statkiem cztery godziny. Tam już zaczyna się inny świat. Domy bez okien i bez dachów, a raczéj z płaskiemi dachami i z oknami od wewnętrznego podwórza, zewnętrznie cechują życie wschodnie. Wązkie uliczki bez trotuarów wiją się i nigdy nie prowadzą prosto. Po nich ludzie, osły, wielbłądy razem wędrują powolnym krokiem. Niéma nazw ulic, ani numerów na domach—widać, że nie dbają mieszkańcy o cudzoziemców. To téż mnóstwo przewodników narzuca swoje usługi każdemu Europejczykowi, co wyląduje, wabiąc go obietnicami różnych wschodnich widowisk, szczególniéj tańców, mających naśladować rozkosze oczekujące wiernych w raju Mahometa—wykonywanych najczęściéj przez młode żydówki.

Ciekawy widok stanowiła dla mnie karawana wracająca z Fezu i obozująca za miastem. Arabowie odpoczywali, siedząc na ziemi z nogami podciągniętemi pod siebie, i wielbłądy podobnie spoczywały na brzuchu, zupełnie bez ruchu żadnego. Nawet te wielbłądy, które jeszcze stały, niczém nie zdradzały życia: szyja wyciągnięta, oczy przymrużone od piasku pustyni, na grzbiecie stosy towarów, które wytrwałe te zwierzęta niosły przez całe tygodnie, nie mając napoju ani jadła. Przyglądałem się z zajęciem téj karawanie wielbłądów, która w Afryce zastępuje koleje. Ze szczególną powagą klęka wielbłąd stojący, nim zapadnie w ten stan zadumy i nieruchomości tak odpowiedni dla mieszkańca pustyni.

Zresztą wszędzie, na ulicach, w podwórzach wewnątrz domów widać ludzi siedzących tak, jak wielbłądy, to jest robiąc z własnych nóg rodzaj stołka, czy łoża. Niektórzy sprzedają rozmaite przedmioty, ale z powagą i spokojem nieznanym w sklepach Europy. Mówią językiem, w którym można czasem poznać wyrazy angielskie, francuskie lub hiszpańskie, przerobione na sposób marokański. Nawet żebracy mahometańscy dziwną się odznaczają powagą. Kilku leżało blisko fontanny. Jeden z nich, zobaczywszy mnie, podniósł rękę i wskazał niebo, dając mi do zrozumienia, że zapewni mi opiekę Allaha, jeśli go wspomogę. Jałmużna jest tu jednym z głównych obowiązków religijnych tak, że przyjęcie jéj stanowi dla dającego prawie taką samą łaskę, jak udzielenie dla potrzebującego.

Każdy datek jest jakby zadatkiem na bilet wejścia do raju, okupiony miłosiernėm i cnotliwém życiem. Ubóstwo nie jest tu przedmiotem wzgardy, jak u chrześcian, którzy zapomnieli o wielbłądzie, mającym przejść przez ucho igielne. U nas bogactwo nie ciąży nikomu tak dalece, żeby czuł potrzebę pozbawiać się znacznéj części tego, co ma, na korzyść biedniejszych. U mahometan, jak zresztą i w dawnéj Grecyi, biedni mają przywileje i żądają od bogatych jałmużny, jako należności. Pogląd taki zgadza się z południowemi warunkami życia, przy których bogactwo rzadko bywa wynikiem własnéj pracy. Dopiéro tam, gdzie przewaga ekonomiczna osiąga się wysiłkiem i pracą, budzi się prawdziwe poczucie własności osobistéj i prawa rozporządzania tą własnością. Dla południowca wszystko jest darem Bożym i komunizm stąd wynika, jako obowiązek.

Wielki kontrast z brudném i ciasném miastem stanowią angielskie hotele w Tangerze, urządzone z całym komfortem europejskim i pobiérające téż od podróżnych odpowiednie ceny. W takim hotelu przenocowałem i nazajutrz wracałem statkiem Herkules do Gibraltaru. Na po-

kładzie spostrzegłem dziwnie swojską twarz jakiegoś dygnitarza, noszącego turban fioletowy i barwne szaty. Zdziwiony zbliżyłem się do téj osoby i zapytałem, co oznacza jéj ubiór i pokorna usłużność widoczna w tych, co go otaczali. Nie łudziło mnie pierwsze wrażenie—dygnitarz był rabinem z pod Grodna, który odznaczył się znajomością talmudu i teraz podróżuje po świecie, jako nuncyusz żydowski, błogosławiąc żydów w rożnych krajach i zbierając od nich składki na utrzymanie synagogi jerozolimskiéj. Podróżuje on w szczególny sposób, zupełnie bez pieniędzy. Składki zebrane na skutek jego kazań są wysyłane osobno do Jerozolimy — a on jak prawdziwy apostół żyje w ubóstwie. Gdy opuszcza jakie miejsce, gmina w któréj na ostatku przebywał kupuje mu bilet do miejsca, gdzie jest następna gmina żydowska, którą ma odwiedzić, a wielu wiernych towarzyszy mu i opiekuje się nim. Najbogatsi uważają sobie za zaszczyt, jeśli zechce przyjąć ich gościnność, i ofiarują mu ubranie lub obuwie, jeśli potrzebuje. Lud żydowski całuje go po rękach, jak u nas biskupów. Gdzie przybędzie, zgromadza rabinów miejscowych i tłómaczy im Pismo, a czasem daje téż rozkazy treści politycznéj i innéj. Przemawia do ludu w synagogach po hebrajsku; a choć większość nie rozumie jego słów, słuchają go z uszanowaniem. Ucieszył się, gdym mu powiedział, że jestem z Polski, i rozmawialiśmy po niemiecku, bo po polsku zapomniał, a może się nie uczył. Zapytałem się go, jaki jest najmędrszy rabin na ziemi. Powiedział mi jakieś nazwisko rabina stale przebywającego w Warszawie i dodał z dumą: to mój wuj! Widać, że i ten apostół nie był wolnym od rodzinnéj próżności. Upewniał mnie, że podobni do niego emisaryusze podróżują téż po Rosyi, ale starannie ukrywają swą wysoką godność.

Powróciwszy do Gibraltaru, znowu tym samym statkiem, co mnie przywiózł z Londynu, pojechałem 12-go maja daléj, do Malagi. Teraz już nie było pusto: mnóstwo pasażerów wsiadło w Gibraltarze i toczyła się ożywiona rozmowa. Miałem tu ciekawy przykład kontrastu między Anglikami a Hiszpanami. Ktoś opowiadał bardzo nieprawdopodobne awantury morskie, co wywołało z mojéj strony mimowolny okrzyk: *It is impossible*" (To jest niemożliwe!). Jeden z Anglików, słuchających dotąd biernie rozmowy, natychmiast odciął mi: „*There is nothing impossible, Sir*" (Niéma nic niemożliwego, mój panie). Trzeba było słyszéć świst tych nagromadzonych współgłosek, wykrztuszonych z energią przez barczystego marynarza, aby pojąć całe znaczenie, jakie w jego ustach miało to zdanie. Nic niéma niemożliwego dla Anglika, bo czuje on w sobie siły, by wszystkie przeszkody zwyciężyć, i obmyśla ciągle nowe środki dla osiągnięcia swoich celów. Śmiało wyzywa nieskończoność ten prosty obywatel Wielkiéj Brytanii, bez wielkiego wykształ-

cenia, może nawet bez osobistego doświadczenia usprawiedliwiającego to śmiałe wyzwanie. On nie w swojém tylko imieniu twierdzi, że nic niéma dla człowieka niemożliwego; w imieniu całéj rasy anglosaksońskiéj dumnéj i niezwyciężonéj, powołuje się na dawne zwycięstwa. To krótkie zdanie przypominało mi wszystkie dziwy energii ludzkiéj, jakie oglądałem w Londynie. Zaniechawszy dyskusyi z Anglikiem, zwróciłem się z rozmową do kilku Hiszpanów obok siedzących. Tu znowu jakaś fantastyczna opowieść wywołała moje powątpiewanie. Wtedy młoda i pełna wdzięku Hiszpanka, pierwsza przezemnie spotkana córka Andaluzyi, zwróciła ku mnie swe błękitne oczy pełne marzeń i rzekła: „*Quien sabe*“ (kto wié?). To „*Quien sabe*“ nie brzmiało, jak energiczne „*There is nothing impossible*“ Anglika. To było melodyjne westchnienie, świadczące, że i dla Hiszpanki wszystko jest możliwém, ale inaczéj możliwém, niż dla Anglika. Wierzy ona w możliwość wszystkiego, nie żeby śmiała to wszystko przedsięwziąć, ale że jéj wyobraźnia żywa wszystko sobie umié przedstawić. Często potém słyszałem w Hiszpanii to rozmarzone i ciche: „*Quien sabe?*“, jako protest uczucia i wyobraźni przeciwko ograniczeniom możliwości, stawianym przez rozum. Nie jest to wyraźne zaprzeczenie jakiéjkolwiek niemożliwości, ani wyzwanie skierowane nazewnątrz, tylko nieśmiałe wewnętrzne uchwycenie się nadziei, że wszystko to, czego nie mamy ani zdobyć nie umiemy, będzie nam dane przez zrządzenie losu. Dlatego w Hiszpanii i we Włoszech tak powszechny jest udział najuboższych ludzi w olbrzymich loteryach państwowych, których ciągnienie odbywa się kilka razy na miesiąc, a główna wygrana wynosi na Boże Narodzenie miljon pezet. (Pezeta równała się frankowi przy normalnym kursie; ale w ciągu ubiegłych kilku lat wskutek wojny na Kubie kurs pezet ulegał wielkim zmianom tak, że w pewnych epokach miewały zaledwie dwie trzecie nominalnéj wartości). Ten milion pezet spadający znienacka na biedną rodzinę — bogaci rzadko kupują losy na loteryę — urzeczywistnia tak wiele marzeń bez trudu i wysiłku, że wszystko wydaje się możliwém.

Opowiadano mi charakterystyczny fakt o téj sile nadziei, cechującéj mieszkańców Andaluzyi. W pewnym kościele co dzień gorąco modliła się jedna cyganka, głośno błagając Matkę Boską o cud. „Zrób cud, Najświętsza Panno, błagam Cię dokonaj cudu, a postawię Ci katedrę piękniejszą niż Sewilska; pokaż twoją siłę i zrób cud dla biednéj cyganki, a ona Ci będzie wdzięczną całe życie“... Organista, co dzień patrząc na te modły ciągle domagające się cudu, słysząc czasem głośne wyrzuty i jęki, skargi na zatwardziałość Matki Boskiéj, że cudu nie czyni—zbliżył się do cyganki i zapytał się, czemu wyraźnie Matce Boskiéj nie powie, jakiego cudu żąda. — „Jakże Matka Boska nie miałaby

wiedziéć, jakiego? Naturalnie, żebym wygrala wielki los na loteryi. — A jaki macie numer?—Cóż to ja mam tracić pieniądze na numera, to nie byłby wcale żaden cud, żebym wtedy wygrała, ale ja chcę wygrać z pomocą Matki Boskiéj, nie kupując żadnego numeru". Na takie cuda wszyscy w Hiszpanii po trochu liczą i dla tego tak mało sami się przyczyniają do cudów postępu. Wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe przeważnie są w ręku cudzoziemców, a młodzież nie szuka innego fachu, jak miłość. Ta miłość u Hiszpanów dziwnie dużo czasu zajmuje, bo nie prędko dąży do urzeczywistnienia swoich celów. Młody człowiek umié lata całe ubóstwiać platonicznie pannę, którą spostrzegł po raz pierwszy na ulicy i o któréj z początku nic prócz jéj zewnętrznego wyglądu nie wiedział. Rozmawiają z sobą wieczorem przez kraty żelazne, przed któremi stoi na ulicy aspirant, kiedy panna ostrożnie za niemi wewnątrz domu stoi lub siedzi. Czasem tak rozmawiają z drugiego piętra i nikt im nie przeszkadza, ani téż oni się nikogo nie wstydzą. Ten stosunek dziwny ma odrębną nazwę, nie odpowiadającą pojęciom innych narodów. Kochanek nazywa się *novio*, kochanka *novia*, i wcale przez to jeszcze nie są narzeczonymi, ani téż nie uważa się za pewne ich małżeństwo. *Novio* prawi o swéj miłości, jako o uczuciu oderwaném od życia, a *novia* przyjmuje hołdy, nie zobowiązując się do niczego, tylko dając po prostu okazyę swemu wielbicielowi do wykazania wymowy, trwałości uczuć i innych zalet. Jeśli po krótkiéj lub długiéj próbie uznają, że sobie nie odpowiadają, to stosunek ustaje i przez to panna nic nie traci na reputacyi, gdyż nigdy sam na sam ze swoim *novio* nie była, a poufne rozmowy prowadzili przez kraty. Czasem *novio* w ten sposób przez długi czas przestaje ze swoją *novią*, wcale nie dążąc do tego, żeby zostać przedstawiony jéj rodzicom. Cały stosunek dwojga młodych osób nie jest żadną tajemnicą: wiedzą o nim wszyscy ich znajomi i nie naglą do ostatecznéj decyzyi. Gdy *novio* zostanie wprowadzony do domu rodziców panny, nie pytają go się natarczywie o zamiary. Pozwalają kochać się, ile zechce, bo wiedzą, że lepiéj będzie, jeśli się młoda para doskonale pozna, nim postanowi wspólne pożycie. Panny bardzo rzadko dostają posag, nawet gdy pochodzą z bogatego domu, więc interesowność jest wykluczona ze starań matrymonialnych. Bogata panna, gdy za mąż wyjdzie, dostaje najczęściéj od swego ojca drobną kwotę corocznie na osobiste swoje fantazye, a mąż jéj musi zapewnić wszystkie potrzeby. Trafiają się naturalnie wyjątki, ale w większości wypadków kawaler, który odważyłby się zagadnąć przyszłego teścia o posag, jak to u nas bywa, zostałby odprawiony bez posagu i bez panny, a w dodatku zwymyślany i może nawet fizycznie uszkodzony za chciwość swoją.

Powyższe wiadomości, usłyszane na statku między Gibraltarem a Malagą, zostały potwierdzone przez wiele późniejszych świadectw, zebranych w różnych okolicach Hiszpanii. Rozmyślając, o nich, marzyłem już o tém, żeby w tym poetycznym kraju znaleźć dozgonną towarzyszkę i wywieźć sobie w tym kształcie trochę tego światła i ciepła południowego na Północ.

Statek zbliżał się do Malagi, i miasto rozłożone u podnóża wysokich gór ukazało się naszym oczom. Góry te zapewniają Maladze klimat niezrównany, chroniąc ją zupełnie od północnych wiatrów. Szkoda tylko, że brak zupełny lasów nadaje tym górom wygląd szczególnie martwy. Widać gdzieniegdzie drzewa figowe, winnice, pola trzciny cukrowéj, kaktusy, aloesy i wiele innych roślin.

Wstępując po raz pierwszy na ziemię hiszpańską, zaraz natrafiłem na te objawy, które mi potém często dolegały: zupełne lekceważenie czasu podróżnika i przygnębiająca formalistyka przedstawicieli władzy. Mały mój pakunek rewidowano trzy razy z rzędu. Najprzód odbyła się rewizya celna w imieniu króla Alfonsa; potém rewizya municypalna, by się przekonać, czy do miasta nie wwożę jakich produktów spożywczych; nareszcie kontrola poprzednich rewizyi, by udowodnić, że nie przekupiłem pierwszych rewizorów. Za każdym razem przerzucili wszystko, a nie wiedziałem wtedy jeszcze, że za jedną pezetę mogłem kupić sobie spokój. Kto chce z przyjemnością podróżować po Hiszpanii, ten musi dokonać psychologicznéj metamorfozy czasowéj, by stać się do Hiszpanów podobnym: utracić wszelkie poważanie czasu, uzbroić się w arabską obojętność na przeciwności, nie brać na seryo wymagań, które mu stawiają, i żartować przyjaźnie z tymi, których w duszy przeklina. Trzeba nie dbać o dalsze cele, upająć się powietrzem wonném i widokiem gór i morza, i żyć w czasie teraźniejszym bez rozmyślań o przeszłości, ani téż bez obaw o przyszłość. Wtedy dopiéro poznanie Hiszpanii otworzy nam ciekawe nowe horyzonty, które wzbogacą nasze doświadczenie, wcale nie narażając nas na stałe zhiszpanienie. Zresztą dla Polaka nie trudno udawać Hiszpana, bo i my lubimy mówić „jakoś to będzie”.

W jednéj Hiszpanii wśród wszystkich łacińskich narodów utrzymały się zabawy ludowe dawnych Rzymian w postaci walki byków. Na wstępie do Hiszpanii spotkałem się z tém widowiskiem. Ośm byków i kilkanaście koni było zabitych; nawzajem jeden torero niebezpiecznie raniony. Tłumy zalegały obszerną arenę, choć najtańsze miejsca kosztowały dziesięć pezet od osoby. Zwycięzcy toreros byli odprowadzani przez lud do domu z okrzykami zapału, jak gdyby wroga z ojczyzny wygnali co najmniéj. Ta namiętność do krwi rozlewu ma swoich

wymownych obrońców. Według ich zdania, jest to kult odwagi, zręczności i śmiałości — a dodajmy, że jest to także, jak było w Grecyi, kult kształtów płci brzydkiéj—bo matador występuje w obcisłym stroju, uwydatniającym potężne muskuły, i bywa zarzucany kwiatami, ciskanemi z drobnych rączek płci pięknéj. Strój cały lśni od srebra, złota i jedwabiu—prawdziwe brylanty zdobią szyję lub piersi bohatéra—bo dobry matador zarabia więcéj, niż tenor, i może sobie pozwolić na wszelkie zbytki. Na ogół są to ludzie bez ogłady towarzyskiéj, tylko wielkiéj siły fizycznéj. Jeśli który jest żonaty, to żona jego modli się przez cały czas walki, by uchronić go od nieszczęścia. Jednak, sądząc z ilości poważnych uszkodzeń, niebezpieczeństwo to nie jest tak wielkie, i większość matadorów umiéra nie na placu bitwy, lecz w łóżku, jak marynarze. Co mnie najwięcéj dziwiło, gdym patrzył na walki byków w Hiszpanii, i co chyba każdego przybysza z Warszawy musi szczególniéj dziwić, to zupełny brak totalizatora przy tych zabawach. Choć wszyscy tak się przejmują widowiskiem, nie przychodzi im na myśl zakładać się o ilość minut, w ciągu których każdy byk zostanie zabitym, lub o ilość koni, które weźmie na rogi. Hiszpanie są widzami bezinteresownymi i nie chcą robić pieniędzy na powodzeniu lub niepowodzeniu byków, koni lub toreros. Wstrzemięźliwość ta jest wielce godną uwagi w kraju, gdzie wszyscy prawie grają na loteryi. Wykształceni Hiszpanie potępiają zwyczaj narodowy walki byków, jako barbarzyństwo, lecz głos ich przebrzmiewa bez echa, bo te krwawe walki mają jeszcze więcéj namiętnych zwolenniczek niż zwolenników. Hiszpanka stroi się na walkę byków ze szczególném upodobaniem, bo tam lepiéj, niż gdziekolwiek, może być zauważoną i podziwianą, a czasem pozyskać hołd matadora, który zabija często jakiegoś byka na cześć i zdrowie najpiękniejszéj damy. Samo widowisko nie może robić wrażenia wielkiego na cudzoziemcu, który widział jatki. Zarznięcie wołu koszernym nożem nierównie jest krwawsze, niż zakłucie go sztyletem przeszywającym kark. Amatorzy byków mają tu sport odrębny, trudny do zrozumienia dla cudzoziemca. Znają oni doskonale różne gatunki ruchów wobec rozjuszonego zwierza i dokładnie oceniają trudność każdego poruszenia, jak wytrawni szachiści zapatrzeni w grę dwóch mistrzów. Łakną oryginalności bądź w ruchach byka, bądź w ruchach matadora i jego pomocników: oklaskują takie oryginalne zwroty za to, że są nowe, czego cudzoziemiec nie spostrzeże. Jak w każdém ćwiczeniu, wytwarza się tu zawiła technika. Komu te tajemnice nie są znane, ten patrzy na walkę, jak na grę w ślepą babkę, bo byk jest oślepiony przez krzyki, nagłe światło i rany otrzymane.

Znawcy wiedzą, że i byk ma duszę, która go od innych byków różni i czasem przykre niespodzianki sprawia przebiegłym zabójcom, czyhającym na jego śmierć. Żeby byk miał rozum ludzki, niewątpliwie pozabijał by wszystkich swoich przeciwników, choć oni w stal uzbrojeni, a on ma tylko rogi i kopyta. Śmiertelne pchnięcie jest trudne do uskutecznienia, bo punkt karku, gdzie trafić trzeba, jest jeden tylko, a ten sam nóż nie wiele uszkodzi, gdy trafi gdzieindziéj. Cała więc wyższość matadora polega na tém, że jest on ciągle chroniony przez kilku toreros, zręcznie odwracających uwagę byka—gdy tymczasem biedny byk sam jeden walczyć musi przeciwko całéj zgrai ludzi i koni. To téż bardzo rzadko udaje mu się gruntowne ubodzenie któregokolwiek z przeciwników, i mając statystyczne dane takich wypadków, trudno jest na seryo wierzyć w niebezpieczeństwo grożące zabójcom. Ale publiczność na takich zebraniach o statystyce nie myśli, tylko cała tonie w bezpośrednich swoich wrażeniach: wzrusza się, gdy byk draśnie matadora; oburza się, gdy matador nie trafi byka; śmieje się, gdy go źle trafi; płacze, gdy byk zabije matadora; klaszcze, gdy matador zabije byka. Wierny to obraz wielu innych wystąpień publicznych, w których na opinię ludzką działają pozory, nie zaś to, co za pozorami się ukrywa.

Tegoż dnia miałem inny przykład południowego zamiłowania pozorów i zjawisk, wrogich filozoficznym dążeniom ku istocie rzeczy. Wieczorem nadbrzeżny bulwar miejski, tworzący półkole od latarni morskiéj do gmachu celnego, długości mniéj niż kilometr, roił się od ludzi. Jedna nieprzerwana ława kamienna nad morzem, ciągnąca się przez całą długość bulwaru—była zajęta przez widzów. A widowisko było szczególne. Mnóstwo powozów jechało rzędami, a gdy który dojechał do blizkiego końca, zawracał i znowu jechał napowrót, powtarzając ten manewr z powodu krótkiéj odległości co dziesięć lub kilkanaście minut. W powozach siedziały wystrojone panie i mężni panowie. Widocznie towarzystwo to woli stępa jechać w kółko na uprzywilejowanym modnym bulwarze, niż pojechać sobie kłusem za miasto; mając wypasione konie i zbytkowne powozy, najbogatsi malażanie wolą, żeby się na nich pieszy tłum gapił, niż żeby oni mieli podziwiać naturę, oddychać powietrzem bez kurzu i urozmaicać tradycyonalny spacer.

Wszak widać coś podobnego i w Warszawie w pewnych okazyach — ale tutaj jest to sport codzienny, jakby nabożeństwo jakie, i przy szczupłości miejsca to kręcenie się w kółko nad morzem szczególniéj bije w oczy.

Po ciszy i samotności oceanu, tłumy te nużyły mnie i wzbudzały chęć ucieczki. Wybrałem się za miasto, by przyjrzéć się okolicom,

i szukałem miejsca, gdzieby można się wykąpać w morzu. Choć już zaczynała się druga połowa Maja, a słońce piekło więcéj, niż u nas w najgorętszym Lipcu, miejscowi mieszkańcy nie myśleli jeszcze o kąpielach, a zanurzenie ciała w morzu w téj wczesnéj porze roku uważali za czyn większéj odwagi, niż stawienie czoła bykowi. Ostrzegali mnie nawet rybacy, że narażam się na śmierć pewną, kąpiąc się tak wcześnie,—ale doświadczenie okazało, że te obawy były płonne, a późniéj nawet na północy Hiszpanii zdarzało mi się kąpać w morzu w styczniu, bez żadnéj szkody dla zdrowia. Po kilku dniach pobytu w Maladze, postanowiłem wyruszyć w dalszą drogę ku Granadzie, by poznać Alhambrę, któréj część widziałem odmodelowaną w Pałacu Kryształowym w Londynie.

III.

Granada.

Droga żelazna z Malagi do Granady prowadzi przez wysokie góry i należy do najpiękniejszych dróg górskich. Rozmaitość widoków i dzikość krajobrazu oraz bujność wegetacyi robi tę podróż o wiele ciekawszą, niż przejazd przez Semmering lub Brenner, jeśli chodzi o porównanie ze znanemi u nas i mniéj odległemi kolejami. Z początku droga wznosi się znacznie nad poziom morza, ukazując krajobrazy wybrzeży, potém przecina pasmo gór przechodząc przez wiele tuneli i wiaduktów, nareszcie wchodzi w dolinę rzeki Genil, która płynie ze Sierra Nevada i rzuca się o kilkaset kilometrów daléj do Guadalkwiwiru. Dolina ta, nadzwyczaj urodzajna, przypomina dolinę Adige pod Meranem, bo tu i tam widać trzy piętra wegetacyi jedno nad drugiém. Najwyżéj wznoszą się drzewa owocowe, które pod Meranem dają jabłka, a pod Granadą pomarańcze, granaty i inne owocowe. Pod temi drzewami ciągną się rozpięte na nizkiém rusztowaniu krzewy winne, a nareszcie starczy jeszcze słońca na trzeci rząd plonów jarzyn bezpośrednio pokrywających powierzchnię ziemi. Pod tym względem wyzyskania gruntu, powietrza i słońca obie doliny są do siebie podobne, ale pod Meranem więcéj tkwi w tém pracy ludzkiéj, pod Granadą więcéj korzystnych warunków klimatycznych. Przytém dzisiejsi mieszkańcy doliny Genilu i wielu innych okolic Hiszpanii korzystają jeszcze z olbrzymich prac Arabów, wykonanych blizko tysiąc lat temu dla równomiernego podziału wody z gór spływającéj za pomocą godnego podziwu systemu irygacyi. Deszcze są tu latem bardzo rzadkie, w wielu latach od Czerw-

ca do Września jest zaledwie trzy lub cztery dni deszczu, więc bez irygacyi umiejętnéj słońce by wysuszyło wszystkie plony.

Tymczasem przy pierwotnéj irygacyi arabskiéj, bardzo mało udoskonalonéj przez współczesnych rolników, urodzajność gleby jest zdumiewająca. Na niektórych polach zbiéra się kilkanaście plonów do roku, a ziemia nigdy nie próżnuje. W zimie temperatura dochodzi w dzień do ośmnastu lub dwudziestu stopni ciepła, a nigdy w nocy nie upada do zera. Za to w lecie bywa czasem trzydzieści siedm stopni Celsiusza, a w Sierpniu często przeciętna temperatura miesięczna wynosi dwadzieścia dziewięć stopni, co trudno wytrzymać, jeśli kto w tym klimacie nie wyrósł.

Przybywałem do Granady w drugiéj połowie Maja, kiedy jeszcze skwary nie przeszkadzały zwiedzać okolicy, ale cała uwaga odrazu została pochłonięta przez Alhambrę. Ten pałac arabski, którego początki sięgają IX-go wieku, a większa część została zbudowana w XIII i XIV stuleciu, dziś jeszcze olśniewa każdego przybysza, choć od czterystu lat był niszczony przez chrześcian, po ustąpieniu Arabów w 1492 roku. Francuzi gościli tu w 1810 roku i następnych, obracając dawne mieszkania kalifów na koszary wojskowe i magazyny amunicyi. Przy téj okazyi zniszczyli maurytańską świątynię z XIV-go wieku, słynącą dawniéj jako jedna z najwspanialszych na świecie.

Dopiéro w 1842 roku rząd hiszpański zajął się odnowieniem Alhambry, na co z początku przeznaczono tylko sześćset rubli złotem. Od 1862 roku wielki znawca sztuki maurytańskiéj, Rafael Conbreras, zużył na to odnowienie wszystkie swe siły przez kilkadziesiąt lat i dokonał cudów. Ale któż powróci zrabowane w ciągu wieków drogie kamienie, złocenia, marmury, jedwabie, rozkoszne łoża, wszystko co fantazya samowolnych władców kiedyś zamknęła w tych murach, pokrywających przeszło włókę gruntu. Dzisiejsze szczątki zajmują jeszcze około dwóch morgów i dają wyobrażenie o zbytku, jaki tu kiedyś panować musiał. Niczém mozaiki weneckie katedry św. Marka w porównaniu z temi salami, w których każdy cal ściany i sufitu świadczy o długotrwałéj pracy artystów. Obok widać ruiny pałacu Karola V, rażące swą prostotą wobec wyrafinowanego bogactwa ozdób arabskich.

Alhambra wznosi się na wysokiém wzgórzu nad Granadą, między dwiema rzekami, które u stóp wzgórza się łączą, a cały pałac i otaczające ogrody zasilają wodą. Z jednéj strony płynie Genil, z drugiéj Darro: bystry prąd obu potoków spływających z sąsiednich wysokich gór wyżłobił urwiste doliny po obu stronach wzgórza Cerro del Sol, na którém stoją ruiny Alhambry. Za temi dolinami widać dalsze szczyty, wioski, drogi, a wszędzie najbujniejszą roślinność. Do tego raju Ma-

hometa prowadzą cieniste aleje ogrodów, poprzerzynanych setkami sztucznych strumyków, a raczéj ukrytych pod zielonością kanałów odprowadzających na dół wody Alhambry. Szmer tych strumieni miesza się ze śpiewem słowików, których pełno w tych gajach—i baje dziwne baśni, temu, co się wsłucha w te monotonne dźwięki. To tętno życia, które tak widoczne było w wybujałéj roślinności suchéj skały gibraltarskiéj—tutaj bije głośniéj daleko i upaja miękką rozkoszą. To nie nasze młyny wodne karpackie, które do pracy wzywają swoim energicznym łoskotem. To szelest szat niewieścich, odgłos pocałunków, echo namiętnych oświadczeń, przypomnienie zdradliwych zbrodni, a wszystko ciągle mówi o bezpośredniém użyciu, o pełnéj czarze żywota, o kapryśnych zachciankach, bez pracy ni myśli. Pracować musieli i myśléć za tych lubieżnych panów ich liczne sługi, ofiary ich grabieży.

Wszystko w tym pałacu ku rózkoszy zmierzało i płodziło marzenia. Jeszcze dziś, po tylu stratach, niema wspanialszéj komnaty na ziemi, niż sala posłów (*sala de los Embajadores*) ze swém sklepieniem naśladującém niebo pełne gwiazd i dziwnych chmurek, z oknami otwierającemi przez misterne sklepienia widoki w trzech różnych kierunkach, ze ścianami pokrytemi nieskończoną rozmaitością wypukłych i różnokolorowych ozdób kamiennych naśladujących koronki. Podziw wzrasta przez trudności oryentacyi w tym labiryncie wskutek tego, że różne sale znajdują się nie na jednym poziomie. Nieznacznie przechodzi się z jednego piętra na drugie bez wschodów i również nieznacznie schodzi się niżéj, co wywołuje zdziwienie, gdy się tę różnicę spostrzeże. Nigdzie też prawie niéma naszych prozaicznych sufitów, ani nawet pospolitych sklepień. Każde sklepienie tu jest dziełem sztuki—to zwieszają się rozmaite stalaktyty z alabastru, to lśnią się rysunki różnokolorowe, wykonane w rozmaitych materyałach, to łuki mają formy szczególne, pociągające oko. Tak samo ściany pełne ozdób, podwórza z fontannami, rzeźbami, lasem kolumn i pachnącą roślinnością, która się w sadzawkach odbija. Któż zdoła wszystkie te zbytki opisać?. A gdyby nawet ich inwentarz sporządzić, to nie zastąpiłby wrażenia, jakie robią spacery przez te sale, podwórza, ogrody—szczególniéj jeśli komuś się uda tak dobrze, jak mnie się udało, com przez kilkanaście dni z rzędu był jedynym odwiedzającym te ruiny przybyszem. Od przewodników naturalnie zdołałem się uchronić. Cóż mi pomoże wiedziéć, że w jednéj sali jakiś kalif zarznąć kazał swoich gości; w innéj utopił niewierną kochankę; z trzeciéj spuścił się na sznurze w przepaść, by ujść zemsty wroga. To są bagatele. Chodząc po tych ruinach, oddychając wonią pomarańcz, patrząc na arabeski, otaczałem się cieniami tych władców dawnych Alhambry, przenikałem się ich pożądaniami i zado-

woleniami, żyłem ich życiem odmiennem od mego, by się dowodnie przekonać, jak żadna z tych przyjemności na długo nie zdoła ujarzmić ducha. Porównywałem rozkoszne noce, które widziały te mury, z dusznemi dniami w czytelni *British Museum* i pojmowałem różnicę dwóch światów — raju doczesnego Mahometa i raju, myśli i czynu Mickiewicza. Mahomet wobec Mickiewicza wydawał mi się wtedy małym i śmiesznym—jego rozkosz nikłą i wstrętną, a Mickiewicz rósł w moich oczach, jak olbrzym.

Dobrze jest przechowywać relikwie ludzi, co żyli dla samych siebie, aby sceptyków przekonać, że idziemy naprzód, i że ideały naszych poetów są lepsze, niż te widzenia, jakie dziś jeszcze dać może Alhambra. Kiedy starczy podobnych pałaców dla wszystkich, kiedy zawiści niczyjéj wzbudzać nie będą, wtedy ich piękno zmysłowe nie będzie hamować działalności myśli. Tymczasem kosztem pracy i łez wielu poddanych musieli władcy Granady pokazać, jak można udoskonalić zewnętrzną stronę życia; gorzkiém swém doświadczeniem musieli wykazać, jak mało taka doskonałość zadawalnia naszych potrzeb, jak łatwo stracić takie skarby.

Gdym się napatrzył na arabeski, fontanny, kwiaty, rzeźby, kolumny, gdym się nasłuchał szmeru strumyków i śpiewu ptastwa—gdym się napoił tą wodą płynącą ze Sierra Nevada, prawie tak smaczną, jak źródła z pod Giewontu tryskające — zatęskniłem do ludzi — i zacząłem w mieście się pytać o uniwersytet. Wskazano mi gmach, w którym uwijało się dużo kleryków i księży, a także trochę świeckich studentów w strojach, które więcéj niż wiedza różnią ich od gminu.

Dotarłem do biblioteki, gdzie mnie bardzo gościnnie przyjęto i pozwolono przeglądać katalogi. Poznałem dziekana fakultetu filozoficznego, osobę duchowną, podobnie jak wiele innych profesorów. Dzieł Darwina tu czytać nie wolno, bo panuje mniemanie, że mogłyby zaszkodzić umysłom młodzieży. Młody profesor literatury; zapytany przezemnie, czy zna nowszych poetów francuskich, oświadczył mi sumiennie, że sumienie mu nie pozwala czytać większości tych poetów. Zresztą wszyscy bez pretensyi przyznają, że są bardzo zacofani, a wielu jeszcze dziś z przyjemnością spaliłoby heretyka. Prawie każdy się pytał, czy jestem dobrym katolikiem rzymskim apostolskim, a wszelka wątpliwość pod tym względem wielce utrudniłaby stosunki. Na czém polegają studya i wykłady, łatwo sobie wyobrazić, gdy się dowiemy, że uniwersytet w Granadzie na dzieła wszystkich nauk wydaje tysiąc pezet, czyli według obecnego kursu dwieście pięćdziesiąt rubli rocznie.

Chodziłem kilkakrotnie do biblioteki i prawie zawsze zastawałem

pustki. Raz spotkałem profesora literatury hiszpańskiéj, Don Leopoldo Eguilar, do którego miałem list polecający od Teofilo Braga. Przyjął mnie nadzwyczáj serdecznie i zaraz zaprosił do siebie, mówiąc: „Na ulicy Carrera del Darro ma pan swój dom”, co znaczy, że ofiaruje mi go do mego użytku. Utarty ten frazes hiszpański nie znaczy nawet, żeby gość miał zamieszkać w ofiarowanym sobie domu. Ludzie, którzy się prawie wcale nie znają i po raz pierwszy gdzieś spotkają, często sobie wyświadczają w Hiszpanii tę grzeczność, że ofiarowują sobie wzajemnie swoje domy i potém wcale z tego nie korzystają.

Jednak, gdy z takiego zaproszenia skorzystać, to odbywa się w wielu wypadkach formalna ceremonia wprowadzenia w posiadanie gościa. Pokazują mu wszystkie pokoje, komórki, wygody — otwierają nawet sypialnie panien, śpiżarnie, wszystkie pomieszczenia, tak jakby gość miał na stałe osiąść w tém mieszkaniu i potrzebował się namyślić, jaki użytek z każdego pokoju mieć będzie. W takiéj procesyi idzie za gościem najczęściéj cała rodzina gospodarza, a gdy nareszcie wszystko obejrzano, gospodarz mówi wyraźnie: „*Usted ha tomado posesson de su casa*” (Objął pan w posiadanie swój dom)—a jednak gość, jeśli własnego domu nie ma, wraca do hotelu i nie myśli o przenosinach do ofiarowanego sobie darmo mieszkania.

Tak pokazywał mi swój piękny starożytny dom Don Leopoldo, człowiek pomimo swych sześćdziesięciu lat nadzwyczaj żywy i prawdziwie młody. Jest on zapalonym karlistą i twierdził, że partya ta w przeciągu kilku dni może zebrać liczne wojsko dla przeprowadzenia swoich celów. Jednak nie mogłem wcale pojąć, co kraj by na tém zyskał i z wszystkich rozmów wynosiłem wrażenie, że tu chodzi nie o naród, tylko jedynie o osoby. Don Karlos obiecuje pewnéj ilości osób mu sprzyjających wysokie urzędy, a osoby te znowu pociągają swoich przyjaciół za sobą, i tak się tworzy partya polityczna, pozbawiona wszelkich celów politycznych.

Don Leopoldo jest człowiekiem światowym i bywał nawet po za granicami swego kraju. Mówi on chętnie o wszystkiém i szczególne ma zamiłowanie do dawnych zabytków sztuki. Inny typ przedstawia jego kolega, profesor języka arabskiego, Don Francisco Simonet. Odwiedzałem go w zakurzonéj jego pracowni, pełnéj książek, rękopisów i obrazów świętych. Od dwudziestu lat pracuje on z wielkim zapałem nad słownikiem wyrazów arabskich, pochodzących z hiszpańskiego języka. I ten uczony ma raczéj cel polityczno-religijny, niż naukowy. Pokazywał mi obrazy świętych, którymi się otoczył, wychwalał zasługi każdego z osobna i zapytywał mnie, czy równie są wielbieni we Fran-

cyi. Francya dla niego to pojęcie ogólne, obejmujące wszystkie kraje po za Hiszpanią, bo ten nabożny staruszek nigdy nie podróżował. Pokazywał mi rękopis swego dzieła i mówił: — „Wszak pan wié, że każdą pracę należy przedsięwziąć dla chwały Boskiéj, a nie dla ludzkich pochwał, bo chwała Boska jest wieczna, a ludzkie uznanie rychło mija. Słysząc, jak francuscy uczeni obrażają Boga, twierdząc, jakoby cywilizacya arabska miała być wyższa kiedykolwiek, niż nasza, i jakobyśmy źle zrobili, wypędzając Arabów z Hiszpanii, postanowiłem dowieść ich błędu w sposób oczywisty, jasny dla każdego dziecka. W mowie każdego narodu jest złożone świadectwo jego rozwoju umysłowego, i oddawna spostrzegłem, że wiele wyrazów arabskich pochodzi z hiszpańskiego. Od lat 20-tu pracuję nad tém, by wszystkie takie wyrazy zebrać i ułożyć w porządku alfabetycznym, jako pomnik, dowodzący wyższości chrześcian nad niewiernymi, Hiszpanów nad Arabami."

Zaczął przytaczać setki wyrazów hiszpańskich i arabskich, zapalając się i tryumfując nad wrogami, przyzywając świętych wiszących na ścianach pracowni na świadków, zapowiadając ostateczne zwycięstwo moralne nad niewiernymi, równie świetne i stanowcze, jak zwycięstwa materyalne ubiegłych wieków. Słuchałem go z przyjemnością, bo dziwnie orzeźwia pod tém rozkosznem niebem południowém głos człowieka ślepego na wszystko, co go otacza, i wytrwale dążącego do jakiegoś nieuchwytnego ideału nadzmysłowego.

A zmysłowych wrażeń w Granadzie nie brak i po za Alhambrą. Okolice są cudownie piękne, a z gór widać wszędzie malowniczą dolinę rzeki Genil, pełną drzew, kwiatów i pól. Zieloność odbija od gruntu czerwonawego, i cała rozmaitość barw, zdaleka widziana, podobna jest do arabesków i mozaik Alhambry. Woda wszędzie wązkiemi wstęgami płynąca stanowi srebrną lub dyamentową sieć zarzuconą na wszystkie te bogactwa, jakby dla uchronienia ich od zguby. Inne znowu ramy stanowią poważne rzędy cyprysów, lub czarne cienie głębokich dolin przerzynających góry. Do skał przylepione domy bieleją zdaleka i powiększają rozmaitość krajobrazu. Nagie skały urwiste, wznoszące się nad brzegami doliny, w wielu miejscach wydają się jakby strażnikami ogrodów poniżéj kwitnących tysiącem barw. Raz patrząc ze szczytu jednéj z gór nad Granadą, spostrzegłem wdali na pochyłości przeciwległéj góry ku wielkiemu zdziwieniu memu olbrzymi las świerkowy, dziwnie swą ciemną zielonością odbijający od gajów pomarańczowych i winnic. Namyślałem się, jakby dostać się do tego lasu, tak niezwykłego w tych okolicach, gdy nagle zauważyłem, że las zaczął się poruszać. Pomyślałem sobie, że to jakaś dziwna trzoda olbrzymich baranów zielo-

nych, nigdzie nie widzianych. Ale trzoda biedz zaczęła przez przepaście i strumienie, a gdy z czerwonych gór dostała się do szarych, zmieniła kolor i stała się czarną! Długo nie mogłem zrozumieć tego cudu, aż nagle czarne stado zaczęło się rozpraszać, i wtedy dopiéro pojąłem, że ów świerkowy las był cieniem chmury, wydającym się ciemnozielonym na czerwonych skałach. Takie złudzenia sprawia słońce południowe; tam światło tworzy wszystko, a cień jest niczém i zabarwia się przez kontrast z otoczeniem. Podobnie przy zachodzie słońca lekkie chmurki różowe wytwarzały tuż obok zielone, a inne stawały się fioletowe i czarne, zlewając się tak z górami, że nie można ich było odróżnić od otoczenia. Co wieczór inne krajobrazy upiększały horyzont, a czasem, gdy na zachodzie już wszystko ściemniało, przeciwległe szczyty Sierra Nevada iluminują się, jakby oświecone złotym ogniem bengalskim ukrytym przed widzem. Zjawisko to w Granadzie inaczéj wygląda, niż *Alpenglühen* szwajcarskie, bo góry mniéj wysokie niż Alpy, a dolina, nad którą słońce zachodzi, wyżéj położona, niż doliny na zachodzie gór szwajcarskich. Więc oświetlenie niewidzialnego słońca nie sięga tak daleko, jak np. w Interlaken, ale za to rozmaitość barw daleko większa.

Przy spacerach w okolicach Granady często widziałem wille pięknie położone i starannie utrzymane. Czasem, gdy bez drogi po górach się błąkałem, wypadało mi przez ogrody takich posiadłości przechodzić dla skrócenia drogi. Nigdzie mi za to nie robiono wymówek, a gdy przypadkiem spotkałem właściciela, to na pytanie, czy mogę przejść, zawsze otrzymywałem odpowiedź, że dom i ogród są do mego rozporządzenia. Uprzejmość ta nie zawsze poprzestaje na zewnętrznéj formie, a gościnność czasem dla zupełnie obcych przybyszów zdumiewa cudzoziemców. Przekonałem się o tém, gdy w Granadzie szukałem kąpieli. Są tam pięknie urządzone łazienki, z marmurowemi wannami, z basenami do pływania, prysznicami i t. d. Ale w maju były jeszcze zamknięte, bo się otwiérają dopiéro w czerwcu. Zasmucony tą wiadomością, miałem już odchodzić, gdy właściciel zatrzymał mnie i oświadczył, że ze względu na to, że jestem cudzoziemcem, każe otworzyć łazienkę w godzinach dla mnie dogodnych. Podziękowałem mu i chciałem się dowiedzieć o cenie. Ale nie mogłem nic pod tym względem z niego wydobyć — zaręczył mi tylko, że nie przepłacę. Chodziłem co dzień i używałem dla siebie jednego całéj zbytkownéj instalacyi. Dawano mi bieliznę, dla mnie otwiérano zakład—a gdy za ostatnią bytnością chciałem zapłacić, odmówiono przyjęcia zapłaty, tłómacząc, że nie chcą brać pieniędzy za kąpiele ofiarowane przez grzeczność w czasie, kiedy łazienka była zamknięta.

Takie odmówienie przyjęcia zapłaty zdarza się w sklepach, czasem i w restauracyach, gdy chodzi o okazanie obcemu gościowi sympatyi. Opowiadał mi dramaturg Echegarray, że raz wszedł na prowincyi do pewnéj kawiarni i kazał dać sobie kawy. Usługujący *mozo* (chłopiec) podał mu żądany napój i zaczął mu się przyglądać z uwagą. Zbliżył się i zagadnął go: „przepraszam, czy pan nie jest Don Jose Echegarray?” (znał go z portretów umieszczanych w czasopismach). — „Tak jest, dlaczego się pan o to pyta?”—„Bo oddawna wielbię pański talent i chciałbym mieć zaszczyt uścisnąć dłoń pańską i prosić pana, żeby pan przyjął odemnie tę filiżankę kawy”. Podobne wypadki często szczególniéj trafiają się poetom, bo też niéma kraju, gdzieby poeci byli tak czczeni, jak w Hiszpanii.

Dowody téj czci widziałem już w Granadzie. W rozmowie z ludźmi o najniższém wykształceniu cytowanie wierszy wielkich poetów hiszpańskich lub piosnek narodowych jest bardzo częste. Śpiewy słychać wszędzie i zawsze chodzi śpiewającym więcéj o uwydatnienie treści piosnki, niż melodyi. W małych nawet miastach prowincyonalnych odbywają się peryodycznie konkursy poetyczne, w których nagrodą bywa puhar lub wieniec. Gdy jedna poetka hiszpańska przybyła do Kazania i dowiedziała się, że w tém mieście, liczącém więcéj mieszkańców, niż Sewilla i Granada razem wzięte, niéma żadnego poety, nie chciała temu wierzyć. W Hiszpanii niéma miasta bez poetów. Wprawdzie na pierwsze wejrzenie łatwo wydaje się pisać wiersze po hiszpańsku, bo częstochowskie rymy są uznane za dobre przez najlepszych mistrzów. U Echegarraya ciągle się trafiają takie rymy: *pudieras*, *tuvieras*, *adivinaras*, *espantaras* etc., tak że na dziesięciu stronicach dramatu wierszem „*La Esposa del vengador*” tylko dziesięć rymów znalazłem nie stanowiących końcówek gramatycznych, a wśród tych połowę stanowią imiona własne, zmuszające poetę do niezwykłego rymu. Co kraj to obyczaj: Hiszpanie, mając mało trudnych rymów, wymyślili sobie inną trudność, która prześladuje ich w prozie równie, jak w poezyi. Nie wolno jest, aby w zdaniach po sobie następujących trafiała się ta sama kolej samogłosek. Więc jeśli użyłem wyraz kobiéta w jednèm zdaniu, to już nie wolno mi w następném powiedzieć, że ktoś coś posieka. To nazywa się asonancyą, i niektórzy styliści są tak drażliwi, że uważają asonancye oddzielone od siebie setką wyrazów jeszcze za monotonność dźwięków nie do zniesienia.

Swoją drogą asonancye na końcu wierszy zastępują często rym i są bardzo cenione. Wobec takiego kryteryum estetycznego „Pan Tadeusz” Mickiewicza straciłby wszelką wartość poetyczną. T y l k o,

ojczyzno; kto cię, tylko się; piękność, tęsknię po—i tym podobne analogie dźwięków drażniłyby ucho hiszpańskiego purysty, który spokojnie znosić gotów cały szereg rymów na -ami lub -ała.

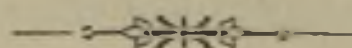
Zasada unikania asonancyi nie jest zresztą stosowana powszechnie i wielu poetów mniejsze miewa wymagania. Rzecz ciekawa, że na samogłoski Hiszpanie większą uwagę zwracają, niż na spółgłoski, bo też posiadają wielką rozmaitość kombinacyi samogłosek stanowiących oddzielne dźwięki.

W. Lutosławski.



Reforma pomocy lekarskiéj

w Królestwie Polskiém.



Choroba tak drogo moralnie i materyalnie kosztuje społeczeństwo, że w interesie dobra ogólnego wszystkie państwa dążą do zapobiegania rozwojowi chorób oraz do skrócenia ich przeciągu i do złagodzenia następstw. Jest to główną przyczyną, dlaczego stan lekarski i wiedza lekarska cieszą się uznaniem powszechném, jest to przyczyną, dlaczego społeczeństwa dążą do udostępnienia pomocy lekarskiéj.

Lekarz stał się w społeczeństwie dzisiejszém jednostką nieodzownie potrzebną, a staraniem wszystkich rozumnych obywateli jest wyszukanie sposobu, aby nikt w społeczeństwie nie łaknął napróżno umiejętnéj opieki lekarskiéj w chorobie, aby szereg instytucyi publicznych stał na straży zdrowia ogólnego i aby zastosowanie zasad nauki o zapobieganiu chorobom w życiu coraz szersze zakréślało kręgi.

Dawniéj, gdy liczba lekarzy była małą, czas ich i wiedza mogły być udziałem tylko bogatych, ubożsi czerpać pomoc musieli z drugiéj ręki: podaż była zbyt mała, a popyt duży.

Stąd téż tylko stolice, tylko większe miasta posiadały lekarzy. Tu nęciło ich życie przyjemniejsze i dostatnie dochody.

Stopniowo jednak, w miarę jak coraz więcéj powstawało szkół lekarskich, w miarę jak młodzież, zachęcona zasadą: „*Galenus dat*

opes", tłumniéj cisnęła się do przybytków wiedzy lekarskiéj, łożone przez społeczeństwa koszta na utrzymanie szkół zaczęły wydawać owoce. Coraz większa liczba lekarzy opuszczała mury wszechnic, podaż zwiększała się, zaczęli więc lekarze opuszczać miasta większe, w mniejszych starali się znaleźć pole dla pracy; po kraju coraz większa rozchodziła się ich ilość tak, że dziś w krajach, stojących na wyższym poziomie cywilizacyi, lekarze już we wsi szukają utrzymania.

Ruch ten odśrodkowy, ułatwiony przez rozwijające się współcześnie środki komunikacyjne, szedł razem z obniżeniem skali wymagań lekarzy. Starodawne przysłowiowe bogactwa następców Galena coraz bardziéj przechodziły w sferę legend, dziś większość lekarzy nie o bogactwa, lecz o twardy chleb powszedni się stara: podaż się znacznie zwiększyła — popyt zaś nie nadąża proporcyonalnie. Mimo to jednak pomoc lekarska, acz tania, nie była dla wszystkich dostępną, zaczęto więc obmyślać sposoby uzyskania tańszéj pomocy dla niezamożnych. Z jednéj strony inicyatywa w tym kierunku szła od lekarzy, którzy wobec zwiększającéj się konkurencyi szukali w ten sposób podaży dla swéj pracy, a jednocześnie w imię zasad ludzkości chcieli zdemokratyzować swą pomoc, z drugiéj z samego grona potrzebujących pomocy. Zastosowano tu znaną formę ekonomiczną—spółkę i oparto zasadę wynagrodzenia również na ekonomicznéj zasadzie, że przy większéj produkcyi może być zarobek na jednostce mniejszy. Rozwój medycyny, dążenie lekarzy do zbogacania nieustannego wiedzy przez ściślejszą obserwacyę chorego, co głównie w szpitalach dziać się może, ułatwiło społeczeństwu w tym kierunku zadanie. Ofiarność lekarzy była tak wielka, że swą pracę w szpitalach i lecznicach oddawali darmo.

Nie wszyscy jednak chcą i mogą leczyć się w szpitalach, dla nich obmyśléć trzeba było inną postać pomocy taniéj. I oto w myśl powyżéj zaznaczonéj zasady ekonomicznéj zaczęto początkowo łączyć się w grupy robocze, które za pensyę stałą lub małe wynagrodzenie jednorazowe otrzymywały pomoc lekarską. Tak powstały „kasy chorych" przy fabrykach, kolejach i t. p. Jedne z tych kas mają jednego, inne kilku wybranych lekarzy; członek kasy wnosi stałą składkę tygodniową, przeznaczoną na opłacenie lekarza, lekarstw oraz zapomogi na czas choroby.

Instytucya ta, dobra w zasadzie, była chętnie popierana przez lekarzy, posunięto się jednak w Niemczech i Belgii do nadużyć w tym kierunku, takież same bowiem grupy zaczęli formować ludzie zamożni korzystając nadto z wzmagającéj się konkurencyi między lekarzami, zaczęto stopniowo płacę obniżać, doszło w końcu do tego, że jedna po-

rada przynosiła kilka fenigów, t. j. cenę nie wystarczającą lekarzowi na lokomocyę.

Istnieje zasada, iż dotąd tylko cena pracy da się obniżać, dopóki zarobek wystarcza na utrzymanie robotnika. Obniżanie ceny pracy stosują fabrykanci, nie posuwają się jednak do obniżek wyższych, gdyż wywołuje to zmowy robotnicze, a co gorsza nie pozwala robotnikowi na takie napięcie siły, aby fabrykant mógł ciągnąć zyski; robotnik pracuje gorzéj, i na obniżce fabrykant traci więcéj, niż zyskuje na obniżeniu ceny pracy.

Tak samo ma się i z pracą lekarską, wprawdzie tu wyższy poziom umysłowy, wpojone przez wychowanie i wykształcenie pojęcie konieczności zadośćuczynienia obowiązkom pobudza lekarza źle płatnego, wyzyskiwanego do sumiennego spełniania zobowiązań, trwa to jednak tylko przez czas pewien, po którym następuje wyczerpanie, zniechęcenie, co na pracy lekarskiéj i jéj wynikach odbić się musi niewątpliwie. Ci sami robotnicy, którzy walczą przeciw wyzyskowi pracodawców, wyzyskując lekarza, nie mogą dotąd zrozumiéć, że tracą wiele, bo każdy dzień dłuższéj choroby, bo ciężkie nieraz następstwa niedbałéj pomocy kosztują znacznie drożéj, niż dobra pomoc lekarska. To wyzyskiwanie pracy lekarskiéj jest tém większe, że istnieje bardzo wiele szpitali, klinik, lecznic i ambulatoryów, gdzie chorzy otrzymują poradę bezpłatną, a często bezpłatnie i całe leczenie.

To téż wobec tych stosunków coraz częściéj odzywają się ze strony lekarzy na Zachodzie głosy protestu, dochodzące niekiedy do formalnego sztrejku wobec kas chorych. Jest to protest, wywołany przez wyzyskiwanie niesłuszne i dający miarę właściwą, jak nisko spadły tam zarobki lekarskie.

To téż niewątpliwie pomoc lekarska musi się oblec w inne formy aby zadowoliła zarówno pracodawcę—społeczeństwo, potrzebujące pomocy lekarskiéj, jak i robotnika—lekarza.

Wielu piszących w téj kwestyi autorów dochodzi do wniosku, iż upaństwowienie pomocy lekarskiéj jest owym ze stron obu pożądanym środkiem i że tworzące się ciągle coraz to nowe instytucye mają na celu przyśpieszenie tego upaństwowienia.

Aby bliżéj rozpatrzyć się w téj kwestyi, trzeba zwrócić uwagę, iż dziś już w medycynie oddzielić należy 3 wykonawstwa: 1) zapobieganie chorobom, 2) leczenie chorych, 3) czynności sądowo-lekarskie i ubezpieczeniowe.

Dziś jeszcze w wielu razach jeden lekarz łączy te trzy czynności w jednéj osobie, co naturalnie nie jest pożądaną rzeczą. Trzy te

wykonawstwa, luźny z sobą związek mające, winny być stanowczo oddzielone od siebie.

Zapobieganie chorobom jest niemal jedną z ważniejszych funkcyi społecznych lekarza, jest to wprowadzanie w życie codzienne i publiczne zdobyczy naukowych i oszczędzanie społeczeństwu wielu strat moralnych i materyalnych. Instytucya lekarzy-hygienistów jest niezbędną i winna być zaprowadzoną wszędzie. W wielu już miejscach zrozumiano to, niektóre miasta większe posiadają już lekarzy-hygienistów, obowiązanych czuwać nad zdrowiem publiczném; ale miast tych jest stosunkowo mało. W krótkim jednak już czasie wszystkie miasta, wszystkie gminy wiejskie i miejskie, wszelkie instytucye publiczne, szkoły, fabryki, teatry, koleje, biura i t. p. będą miały swych doradców hygienicznych, gdyż potrzebę odczuwają już dzisiaj.

Na początek kilka instytucyi może się łączyć w grupy dla utrzymania lekarza-hygienisty, ale mieć go muszą prędzéj czy późniéj. On to ma być doradcą przy budowie domu, wyborze lokalu, on winien czuwać nad szczepieniami ochronnemi, jego obowiązkiem udzielać rad, jak zapobiedz chorobom wogóle, a zawodowym w szczególności i t. p.; rola to nader ważna i musi być wyosobnioną zupełnie, a tém samém oddzieloną od wykonawstwa leczniczego.

Dziś jeszcze często rolę lekarza-hygienisty z konieczności brać musi na siebie lekarz-praktyk. Jeżeli jakakolwiek instytucya posiada lekarza, jest on dla niéj wszystkiém, i leczy, i jest zarazem doradcą hygienicznym; w przyszłości czynności te powinny być oddzielone.

Weźmy np. epidemię; czyż można żądać od lekarza, zajętego leczeniem choroby, aby współcześnie zajmował się dezynfekcyą i przeprowadzaniem szeregu innych środków zapobiegawczych; jest to niemożliwe nietylko dla braku czasu, ale przedewszystkiém dla różnych kolizyi, jakie z tego powodu wynikają i wyniknąć muszą między lekarzem a chorym i jego otoczeniem. Nie zapominajmy, że wszystkie środki zapobiegawcze w konieczności muszą ograniczać wolę jednostki na rzecz całéj grupy mieszkańców; lekarz, który ma leczyć, musi posiadać całe zaufanie chorego i otoczenia, czynności zaś policyjno-zdrowotne, które dziś niewłaściwie go obarczają, narażają to zaufanie na szwank.

Skoro czynności te będą rozdzielone, lekarz-hygienista bezwzględnie czynić będzie wszystko, cokolwiek nakazuje mu nauka i prawo, i stosować będzie wszelkie środki wskazane bez potrzeby oglądania się na zdanie tych, którzy muszą przy tém ucierpiéć w imię dobra ogólnego, wykréśli z roli dotychczasowéj lekarza-praktyka cały przykry ten

balast i pozwoli mu bez przeszkód zająć się rolą właściwą — leczeniem chorego.

A czynności sądowe, czyż i one obarczać mają lekarza-praktyka lub lekarza-hygienistę?

Stanowią one specyalność odrębną, nader ważną, wymagającą całego szeregu studyów przygotowawczych, znajomości przepisów prawa, zasad ekonomii i t. p. I te czynności częstokroć krępują lekarza dzisiejszego, są dla niego ciężarem, wreszcie stają nieraz w sprzeczności z jego zadaniami. Dziś lekarz zmuszony jest niejednokrotnie wykonać sekcyę sądową, a w kilka godzin późniéj znaleźć się u łoża położnicy lub dokonać operacyi. Trudno jest w ciągu krótkiego czasu dokonać dezynfekcyi koniecznéj, a przez to naraża się chorych na groźne następstwa, niezależne bynajmniéj od woli lekarza; prawo bowiem dziś nie pozwala na uchylanie się od obowiązku ekspertyz sądowych i nie uwalnia od tego nawet lekarzy wolnopraktykujących.

Nie koniec na tém, odrywając się od swych chorych, lekarz częstokroć wiele czasu poświęcać musi na inne czynności sądowe: na oznaczanie stopnia zdolności lub niezdolności do pracy, stopnia zdrowia, potrzebne fabrykom, towarzystwom ubezpieczeń i t. p. Czynności te nic nie mają wspólnego z właściwemi obowiązkami lekarza-praktyka, przeszkadzają mu w zajęciu z krzywdą dla chorych i społeczeństwa, ponieważ zaś nie stanowią specyalności wyosobionéj, a każdy z lekarzy daje swe opinie sporadycznie tylko, cierpią na tém ekspertyzy, wymagające bezwarunkowo pewnego rodzaju wyspecyalizowania.

Również niewłaściwą jest rzeczą łączenie obowiązków hygienisty z obowiązkami lekarza-eksperta — cierpią na tém małżeństwie niedobranem obie czynności. Rola lekarza-hygienisty wymaga ciągłéj baczności w jednym kierunku, odrywanie go od zajęć zwykłych dla czynności sądowych jest rzeczą szkodliwą. Szkodliwą również jest rzeczą dla spraw sądowych powierzanie ich hygieniście. Przy dzisiejszym stanie wiedzy w obu kierunkach z równym skutkiem pracować nie można; wprost dla braku czasu, potrzebnego na studya każdéj z tych gałęzi medycyny — jedna osoba obydwóch czynności bez szkody dla jednéj z nich wykonywać nie może. Kto ma być dobrym hygienistą, musi się wyłącznie téj gałęzi wiedzy poświęcić, musi dobrze znać chemię, bakteryologię i t. p.; kto chce być dobrym lekarzem sądowym, musi przejść wykształcenie kliniczne, dobrze znać przepisy prawa i procedurę, a nauki te nic z hygieną wspólnego nie mają.

Zrozumiano to, i w wielu już krajach na Zachodzie oddzielają stopniowo od siebie dwie te czynności.

Długo jednak zapewne czekać jeszcze wypadnie, nim postulaty powyższe wszędzie wejdą w życie, w każdym jednak razie już dziś w wielu miejscach różniczkowanie pracy lekarskiéj zaczyna się ukazywać.

W Niemczech powoli przybywa coraz więcéj lekarzy-hygienistów, Francya znów wyprzedziła inne państwa, oddawna wprowadziwszy lekarzy sądowych. W Królestwie lekarzami hygienistami, a zarazem sądowymi są lekarze powiatowi i miejscy, zostają oni pod zwierzchnictwem inspektorów lekarskich gubernialnych, lub inspektorów urzędu lekarskiego (w Warszawie). Przed kilku laty przy wprowadzeniu inspekcyi fabrycznych posady te powierzono lekarzom, a między obowiązkami inspektora fabrycznego jest zwracanie uwagi na hygienę fabryk, jest on jednak obarczony tyloma innemi obowiązkami, że właściwie tym działem swych obowiązków nie zawsze ma czas zająć się należycie. Warszawa jedna posiada lekarza-hygienistę, jest to jednak stanowczo za mało.

Z pośród lekarzy praktyków zaczynają powoli wyosabniać się lekarze biednych w Niemczech, płatni przez gminy miejskie, z obowiązkiem udzielania pomocy bezpłatnéj biednym. U nas instytucyi podobnéj niema, biedni leczą się w szpitalach, w ambulatoryach szpitalnych, w lecznicach stojących ofiarnością lekarzy, miasta i gminy miejskie dotąd na seryo o dostarczeniu pomocy biednym nie myślały.

We Francyi oddawna już w gminach urządzono pomoc bezpłatną dla biednych. Dwa są tam rodzaje główne. Jedne gminy płacą stałego lekarza, który pomocy biednym udziela bezpłatnie, w innych gmina wchodzi w umowę z kilkoma lekarzami, biedny otrzymuje książeczkę z czekami, ma wybór dowolny lekarza i za poradę wręcza mu czek, który lekarz następnie realizuje w kasie gminnéj.

Na tych samych zasadach oparłem opracowany przezemnie projekt pomocy lekarskiéj dla towarzystwa subjektów handlowych w Warszawie w r. 1895. Część członków téj instytucyi otrzymuje poradę na koszt towarzystwa, inni nabywają czeki w kancelaryi towarzystwa. Ma to tę dogodność, że każdy z członków może mieć czeki na zapas, kupować wtedy, gdy mu zbywa pieniędzy, a skoro go dotknie choroba, ma już gotowe czeki i nie potrzebuje w chwili krytycznéj wydawać pieniędzy. Umowa jest zawarta z kilkudziesięcioma lekarzami, zajmującymi się różnemi specyalnościami, członkom więc towarzystwa pozostawia się wybór dowolny. Mimo te korzyści widoczne, mimo że cena czeków jest umiarkowana, instytucya ta dotąd rozwija się słabo, nie leży bowiem w naszém usposobieniu myśl o przyszłości, a wydatek na lekarza uważany jest zawsze za *malum necessarium*.

Kto tylko głębiéj zastanowić się zechce nad stanowiskiem lekarza-hygienisty i lekarza sądowego, zgodzi się, iż winni to być ludzie niezależni, płatni od rządu, jedném słowem urzędnicy państwowi. Źródła dochodów postronnych w postaci praktyki powinny być dla nich zamknięte, co najwyżéj lekarz-hygienista, nie urzędnik, może mieć w opiece hygienicznéj fabryki i instytucye za odpowiedniém wynagrodzeniem, żadną jednak miarą nie może współcześnie leczyć w tych instytucyach, a pozycya jego względem fabrykanta musi być tak ustalona, aby mógł z całą bezwzględnością stosować prawne żądania hygieny publicznéj i zawodowéj. Lekarz sądowy zaś może mieć tylko wpływy postronne z towarzystw ubezpieczeń na życie.

Inaczéj stoi kwestya co do lekarzy-praktyków, poświęcających się leczeniu. Dziś już odzywają się głosy poważne, żądające upaństwowienia i uspołecznienia pomocy lekarskiéj, zdaje się jednak, że na razie jest to sprawa trudna do rozstrzygnięcia. Co jednak może i powinno być upaństwowione, to pomoc dla ludności niezamożnéj. Państwa i gminy mają obowiązek dostarczania pomocy bezpłatnéj niezamożnéj ludności i czynić to powinny nie tylko z obowiązku, ale i w rozumném pojęciu korzyści, jakie ztąd odnoszą. Śmierć kazdego członka społeczeństwa w wieku produkcyjnym jest stratą, stratą jest również choroba, gdyż siła wytwórcza ogólna zmniejsza się wtedy — pomoc więc lekarska, chroniąca od śmierci przedwczesnéj, skracająca trwanie choroby, zapobiegająca jéj następstwom, jest obowiązkiem i interesem społeczeństwa. Dotąd u nas sprawa ta jest zwalona całkiem na barki lekarzy, którzy w miarę możności, w poczuciu obowiązków społecznych, leczą biednych darmo. Jest to rzecz niesłuszna, a co gorsza nie odpowiada zadaniu w całéj rozciągłości. Stąd téż powstały projekty zorganizowania pomocy dla biednych.

Tam, gdzie gmina ma samorząd właściwy, jak się to dzieje w Cesarstwie, obowiązkiem gminy jest myśléć o dostarczeniu ludności pomocy. Skoro więc tylko ziemstwa zaczęły być czynne, utworzono lekarzy ziemskich, niesłusznie jednak prócz leczenia obarczono ich obowiązkami sanitarnemi.

Lekarze ziemscy oddali ludności nieocenione usługi, cieszy się więc ta instytucya wielkiém uznaniem; jeżeli dziś w niektórych miejscowościach dają się słyszéć głosy przeciwne, stąd to pochodzi, że od czasu wprowadzenia instytucyi, ludność wzrosła znacznie, liczba zaś lekarzy ziemskich powiększa się w małym stopniu. Nie są już oni w możności podołać obowiązkom, stąd pewne zniechęcenie obustronne do instytucyi, któréj w zasadzie nic zarzucić nie można. Aby instytucya ta z dalszym pożytkiem istnieć mogła, należy zwiększyć personel lekar-

ski, zabezpieczyć go od wszechwładzy prezesów ziemstw, zmniejszyć terytorya obsługiwane przez lekarzy, powiększyć liczbę szpitali i zamiast obarczać lekarza ziemskiego obowiązkami sanitarno-sądowemi utworzyć oddzielne w tym celu instytucye. Rzecz dobra lat temu kilkadziesiąt nie może wystarczyć dzisiaj, postęp musi być w każdéj instytucyi, aby mogła stale odpowiadać zadaniu.

II.

Od roku już coraz częściéj słyszymy o wprowadzeniu nowéj organizacyi pomocy lekarskiéj dla ludności wiosek i miast w Królestwie. Zatwierdzono już nawet tytułem próby na lat 3 projekt, podany w tym względzie przez p. gubernatora płockiego dla gub. Płockiéj, niewątpliwie w dalszym ciągu reforma ta znajdzie zastosowanie w innych okolicach Królestwa. Nic więc dziwnego, że zainteresowanie sprawą tą wzrasta w coraz szerszych warstwach społeczeństwa.

Sprawa téj doniosłości społecznéj dla kraju nie powinna jednak być wprowadzana zbyt pospiesznie, zbadać wpierw wszystkie warunki należy, wysłuchać ludzi kompetentnych, a przedewszystkiém strzedz się szablonu. Każda grupa społeczna ma swe własne potrzeby, każde społeczeństwo inaczéj z praw mu przysługujących korzysta, to téż wielki błąd popełnił by ten, ktoby chciał u nas zaszczepić np. urządzenia francuskie, niemieckie, albo nawet istniejące w guberniach Cesarstwa bez zmian odpowiednich. Najpiękniejsza idea stać się może częstokroć bezpłodną, jeżeli warunki miejscowe nie będą uwzględnione w całéj rozciągłości. Toć, aby drzewa szczepić, glebę wpierw poznać należy, inaczéj najlepsza płonka da drzewo bezpłodne,

Społeczeństwo nasze na wieść o gotującéj się reformie zajęło się nią szczerze. Towarzystwa lekarskie, prasa lekarska i ogólna są dziś polem do obszernéj dyskusyi, a mamy już cały szereg opracowanych projektów, które oczekują na odpowiednią ocenę przy wprowadzaniu reformy.

W ciągu r. b. na szpaltach „Kroniki lekarskiéj" i „Medycyny", które pilnie śledzą za rozwojem projektów, spotykamy cały szereg rozpraw, pochodzących od lekarzy bliżéj stykających się z ludem. Zasługują one na uwagę nie tylko lekarzy, ale wszystkich tych, którym ta ważna sprawa społeczna nie jest obojętną.

Kwestyi bynajmniéj za wyczerpaną uważać nie można, jest to zaledwie początek poważnych nad tą sprawą dyskusyi, uważam więc za rzecz pożyteczną zapoznać z nią czytelników Ateneum.

Reforma służby zdrowia obchodzi całe społeczeństwo, wszyscy w dyskusyi wziąć udział powinni, tylko bowiem przez uwzględnienie poglądów zarówno lekarzy, jak i osób bliżéj stykających się z ludem, można dojść do prawdy i uniknąć szkodliwych zawsze omyłek.

Aczkolwiek dla każdéj miejscowości Królestwa wypadnie tworzyć odmienne nieco urządzenia, typ jednak ogólny będzie jeden, punkty wytyczne téż same, a oto głównie mi chodzi.

W tym celu zapoznam czytelników z już istniejącemi projektami, które w świetle krytyki zamierzam przedstawić, porównam ich wartość, wykażę braki, o ile możności objektywnie, aby czytelnik mógł sam własne wyrobić sobie zdanie.

Każdą sprawę jednak od początku badać należy, to téż przedewszystkiém zapoznam czytelnika ze stanem obecnym pomocy lekarskiéj w Królestwie.

W tym celu rozpatrzyć się wypadnie w danych statystycznych.

Cyfry odnośne dla Królestwa brałem z częściowo ogłoszonych wyników spisu jednodniowego z r. z. (co do ludności); najtrudniejsze zadanie miałem co do liczby i rozmieszczenia lekarzy, brać je musiałem z różnych sprawozdań oraz z danych ogłoszonych przez d-ra Polaka. Niewątpliwie, okażą się tu niejakie błędy: tak jednak wpłynąć mogą mało na wynik ogólny, że można nie zwracać na nie uwagi. Statystyka lekarzy zmienia się corocznie skutkiem śmierci, zmian miejsca pobytu i osiedlania się nowych lekarzy, dlatego téż może być tylko blizką, nie zaś zupełnie zgodną z rzeczywistością. Cyfry otrzymałem przez porównanie kilku źródeł i dlatego uważam je za najwięcéj do prawdy zbliżone.

Ułożyłem wszystkie dane w 4 tablice, dające nam, jak zobaczymy, odpowiedzi na te pytania, które w ciągu niniejszéj pracy poruszyć zamierzam.

Z tablicy I-éj widzimy przedewszystkiém, że ludność Królestwa wynosi 9,442,590 i że ludność ta ma do rozporządzenia 1577 lekarzy. Stosunek zatém ogólny lekarzy do ludności jest taki, że jeden lekarz wypada na 5,960 mieszkańców. Dane odnośne co do państw ościennych dowodzą, że jest on znacznie tam niższy, w Austryi bowiem w r. 1897 jeden lekarz wypadał na 3333 mieszkańców, w Niemczech na 2187 (r. 1894).

Aczkolwiek jednak stosunek liczby lekarzy do zaludnienia daje nam już pewną miarę skuteczności pomocy lekarskiéj, wyraźniéj fakt ten występuje, skoro weźmiemy pod uwagę i skupienie ludności, wtedy jeszcze wyraźniéj wystąpi ten stosunek na niekorzyść Królestwa, bo gdy

Tablica I.

Nazwa gubernii	Przestrzeń w wiorstach kwadratowych	Liczba ludności	Liczba lekarzy	1 lekarz wypada na wiorst kwadr.	1 lekarz wypada na mieszkańców	Odsetka ogólnéj liczby lekarzy
I Warszawska z Warszawą	15,399.2	1,932,063	863	17,7	2,238	54,3%
Warszawska bez Warszawy		1,317,311	128	119	10,130	8,1%
II Piotrkowska z Łodzią	10,763,4	1,4069,51	223	48,2	6,309	14,1%
Piotrkowska bez Łodzi		1,092,171	111	97	9.092	7%
III Radomska	10.854	819,781	67	164	12.235	4,2%
IV Kielecka	8,868,6	764,087	60	140	12,129	3,8%
V Kaliska	9,861,3	846,334	70	141	12,093	4,4%
VI Lubelska	14,789,4	1,152,602	96	151	11,782	6,0[illegible]%
VII Siedlecka	12,580,8	774,139	57	221	13,546	3,6%
VIII Płocka	8,287,3	555,819	37	223	16,103	2,3%
IX Łomżyńska	9,265,9	585,781	36	257	16.271	2,3%
X Suwalska	10,824,3	604,973	48	227	12,604	3%
Razem z Warszawą i Łodzią	411,324,6	9,442,530	1,577	150,5	5,953	—
Razem bez Warszawy i Łodzi		8,512,958	730	174	11,550	45,9%

w Niemczech 1 lekarz wypada na 22,6 kilom. kw., w Królestwie średnio na 150,0 wiorst kw.

Galicya nawet jest już lepiéj stosunkowo obsłużona przez lekarzy, szczególniéj jeśli zwrócimy uwagę, że ani jedno miasto nie posiada tam tyle ludności i lekarzy, co Warszawa i Łódź. W Galicyi na 6,551,415 mieszkańców wypada 910 lekarzy, 1 lekarz więc wypada na 7422 mieszkańców, w Królestwie natomiast bez Warszawy i Łodzi na 8,512,958 mieszkańców jest 730 lekarzy, czyli 1 lekarz wypada na 11,550 mieszkańców.

Jeszcze lepiéj obsłużone są Czechy, gdzie 1 lekarz wypada na 3,054 mieszkańców.

Z zestawień tych widoczną jest rzeczą, że zarówno pod względem stosunku ilościowego, jak i gęstości zamieszkania lekarzy, Królestwo

jest uboższe od krajów ościennych, o nadmiarze zatém lekarzy mówić nawet prawa nie mamy, jeżeli bierzemy pod uwagę całe Królestwo, a nie pojedyńcze miejscowości.

Niewątpliwie, w Niemczech i Czechach ludność stoi na wyższym poziomie umysłowym, zatém i częściéj, niż u nas, korzysta z wiedzy lekarskiéj, ale o Galicyi żadną miarą twierdzić tego nie można, a jednak liczba lekarzy jest tam stosunkowo wyższa i nie tylko nie zmniejsza się, ale zwiększa z każdym rokiem. Cyfry odnośne podałem z r. 1894, a od tego czasu powstał nowy wydział lekarski we Lwowie, wywołany niewątpliwie zapotrzebowaniem większéj liczby lekarzy.

Wobec tego dojść musimy do wniosku, że Królestwo z Warszawą i Łodzią posiada wogóle mniéj lekarzy, niż Niemcy, Austrya i Czechy, a bez Warszawy i Łodzi mniéj nawet niż Galicya, a to biorąc absolutnie i względnie.

Zobaczmy teraz, jak się dzielą lekarze pomiędzy różne miejscowości.

Z tablicy I-éj widzimy, iż pod względem stosunku do zaludnienia najwięcéj obfituje w lekarzy, jeżeli odtrącimy cyfry dla Warszawy i Łodzi, gubernia piotrkowska, fabryczna, posiadająca kilka miast większych, daléj idą warszawska, lubelska, kaliska, kielecka, radomska, suwalska, siedlecka, płocka i łomżyńska.

Mniéj więcéj ten sam stosunek zachodzi i co do rozmieszczenia lekarzy w stosunku do przestrzeni, najgęściéj zamieszkują lekarze gubernię piotrkowską i warszawską, daléj idzie kielecka, kaliska, lubelska, radomska, siedlecka, płocka, suwalska i łomżyńska.

Cztery zatém ostatnie gubernie są zarówno pod względem stosunku ilościowego, jak i co do przestrzeni, najgorzéj obsłużone przez lekarzy.

Ten sam wypadnie stosunek, jeśli weźmiemy pod uwagę odsetkę ogólnéj liczby lekarzy w poszczególnych guberniach, i tu na czele postawić wypadnie gubernie warszawską i piotrkowską, późniéj idą koleją lubelska, kaliska, radomska, kielecka, siedlecka, suwalska, płocka, łomżyńska.

Są to dane co do gubernii wziętych w całości. W pojedyńczych guberniach stosunek uwidoczniają tablice II, III i IV.

Widzimy z nich, że kiedy wogóle w miastach większych znajdujemy 992 lekarzy, czyli 63,6% wszystkich lekarzy zamieszkałych w Królestwie, w miejscowościach pozostałych jest tylko 565 lekarzy, czyli 37,4%, z tego 21% we wsiach, osadach i miasteczkach, a 16,09% w miastach powiatowych. W saméj Warszawie natomiast praktykuje 47% ogółu lekarzy w Królestwie.

Tablica II.

Nazwa gubernii	Nazwa miast większych w gubernii	Liczba lekarzy				
		w gubernii	w miastach większych	w m. powiatowych miasteczkach i wsiach	w miastach powiatowych	w miasteczkach, osadach, wsiach
Warszawska	Warszawa	863	735	128	57	71
Piotrkowska	Łódź Piotrków Częstochowa	223	112 13 14	84	39	45
Radomska	Radom	67	14	53	22	31
Kielecka	Kielce	60	12	48	13	35
Kaliska	Kalisz	80	12	58	18	40
Lubelska	Lublin	96	36	60	23	37
Siedlecka	Siedlce	57	7	50	12	38
Płocka	Płock	37	13	24	15	9
Łomżyńska	Łomża	36	11	25	16	9
Suwalska	Suwałki	48	13	35	17	19
	Razem . . .	1557	992	565	231	334

Tablica III.

	Warszawa Łódź Częstochowa m. gubern.	Warszawa	Łódź	Miasta gubernialne	Miasta powiatowe	Miasteczka, osady i wsie	Całe Królestwo prócz Warszawy
Odsetka ludności	13%	6,5%	3,3%	3,2%	86,93%		93,5%
Odsetka lekarzy	63,6	47%	7,1%	9,6%	16%	21%	45,9%
					37%		

Tablica IV.

Nazwa miasta	Liczba mieszkańców	% ogólnej liczby mieszkańców w Królestw. Polskiem	Liczba lekarzy	% ogólnej liczby lekarzy w Królestw. Polskiem	1 lekarz wypada na mieszkańców
Warszawa	614,752	6,5	735	47	836
Łódź	314,780	3,3	112	7,1	2,848
Lublin	46,881		36		1,302
Częstochowa . . .	45,136		14		3,223
Piotrków	30,372		13		2,335
Radom	28,740		14		2,053
Płock.	27,070		13		2,082
Siedlce	23,515	3,2	7	9,5	3,357
Suwałki	22,515		13		1,732
Kalisz	20,752		12		1,728
Kielce	20,579		12		1,714
Łomża	20,000(?)		11		—
Razem . .	1,23[illegible],871	13	992	63.6	—

Nie będę rozpatrywać stosunku lekarzy do liczby ludności w guberniach poszczególnych, czytelnik znajdzie odpowiedź przy uważnem przepatrzeniu tablic i sam sobie wnioski wysnuć potrafi. Na jeden fakt jednak zwrócić muszę uwagę: na niestosunkowość między osiedleniem się lekarzy w miastach większych w porównaniu do innych miejscowości, gdy bowiem 63,6% ogółu lekarzy praktykuje śród 13% ludności miast większych (Warszawa, Łódź, Częstochowa i miasta gubernialne), pozostałe 86% ludności musi się zadawalniać obecnością zaledwie 37% ogółu lekarzy.

Wynika z tego, że gdy Warszawa, licząca zaledwo 6,5% ludności Królestwa, posiada aż 47% ogółu lekarzy, Łódź z 3,3%—7,1%, a inne miasta gubernialne z 23,2% — 9,5%, pozostałe miasta, osady i wsie pozbawione są niemal pomocy lekarskiéj.

To skupienie się lekarzy w Warszawie tém wydatniéj i mniéj normalnie się przedstawi, jeśli weźmiemy pod uwagę inne miasta w Europie.

Hamburg na 625,552 ludności ma zaledwo 487 lekarzy, czyli 1 lekarz wypada na 1284 mieszkańców, w Warszawie zaś 1 lekarz wypada na 836 mieszkańców (p. t. IV), prawidłowszy nieco stosunek znajdujemy w Łodzi, która ma 1 lekarza na 2948 ludności, kiedy równe jéj co do zaludnienia Drezno ma stosunek 1:1000.

Stosunek liczby lekarzy do ludności, biorąc ogólnie, wtedy jest prawidłowy (w miastach), jeśli jeden lekarz wypada na 1000 — 1500 ludności wobec tego dwa miasta w Królestwie—Warszawa i Lublin —mają zbyt wielką liczbę lekarzy, wszystkie zaś inne mogą dać utrzymanie jeszcze dość znacznéj ich liczbie.

Ze wszystkich tablic płynie jeden wniosek, że Warszawa w swych murach gości zbyt wielką liczbę leczących, liczbę znacznie stosunkowo większą niż inne miasta Europy, pozostałe miasta prowincyonalne, a szczególniéj miasta powiatowe, miasteczka i osady mają za to znacznie niższą od przeciętnéj liczbę lekarzy.

Gdyby nawet jednak Warszawa wysłała nadmiar lekarzy na prowincyę, to i tak stosunek ogólny lekarzy do ludności i przestrzeni jest znacznie niższy, niż w krajach ościennych, czyli że płonne są skargi na nadmiar lekarzy.

Wobec względnie małego popytu na lekarzy w odleglejszych od ośrodków cywilizacyi miejscowościach na brak lekarzy w Królestwie nie skarżą się miasta większe, głównie zaś brak lekarzy odczuć się daje na wsi oraz w osadach i miasteczkach.

Zachodzi tu pewna nieścisłość w rozumowaniu, gdyż lekarze, mieszkający w miastach gubernialnych, obsługują nie tylko ludność miejską, ale i wiejską, miasta gubernialne nadto posiadają szpitale, w których leczy się ludność całéj gubernii, błąd ten nie jest tak wielki, jakby się to na pozór zdawało, gdyż obecność lekarzy w miastach większych miéć może znaczenie tylko dla ludności bliżéj miasta zamieszkującéj, dalsze okolice w wyjątkowych razach korzystać mogą z usług lekarzy miast większych.

Toż samo stosuje się do Warszawy, która naturalną rzeczy koleją obsługuje nietylko ludność miejską, ale i całą prowincyę, tu bowiem jest wszechnica, tu praktykują specyaliści, tu są dobrze urządzone szpitale prywatne.

Ludność jednak prowincyi, szukająca pomocy lekarskiéj w Warszawie, należy do sfer zamożniejszych, stanowiących małą odsetkę ogółu, cała masa ludności zadawalniać się musi siłami miejscowemi.

Z powyższego wynika:

1. Liczba lekarzy w Królestwie jest wogóle stosunkowo do ludności zbyt mała.

2. Większość lekarzy skupia się w miastach większych.

3. Ludność małomiasteczkowa i wiejska ma co do liczby lekarzy pomoc niedostateczną.

4. Najwięcéj nadmiar lekarzy odczuwać się daje w Warszawie, w innych miastach Królestwa stosunki są prawidłowsze.

Zapoznawszy się na mocy cyfr odnośnych z faktami, zwrócić się musimy do wyjaśnienia przyczyn.

Niewątpliwie, skupienie się lekarzy w Warszawie posiada wiele złych stron: zbytnia podaż zawsze obniża wartość, co odbija się i na jakości pomocy. Ratuje nieco sytuacyę specyalizacya, rozwinięta w Warszawie; lepiéj by jednak było dla ogółu, aby specyalizacya ta miała miejsce we wszystkich miastach większych, znaczna wtedy suma wydawanych w Warszawie na pobyt i podróż pieniędzy byłaby zaoszczędzoną.

Istnieć tedy muszą specyalne przyczyny, czemu lekarze tak usilnie starają się pozostać w Warszawie. Że nie jest przyczyną nadzieja lepszych zarobków, rzecz to oczywista, dziś nikt z lekarzy, pozostających w Warszawie, nie łudzi się co do tego.

Najgłówniejszą przyczyną jest ogólne przekonanie naszéj inteligencyi, że życie na prowincyi z konieczności zdziéra z mieszkańca polor wielkomiejski, że zabija energię, robi z inteligentnego pracownika rzemieślnika, machinalnie, bezmyślnie wykonywającego swój zawód, jest ospałość prowincyi, brak szerszego życia spolecznego, brak podniet podnioślejszych, które życie człowieka inteligentnego czynią mniéj ciężkiém wobec walki o byt. Ale to przekonanie na pół tylko jest racyonalne. Błądzimy w kole zaczarowaném. Kto ma ożywić ową prowincyę, kto ma wnieść tam życie, myśli podnioślejsze, jeśli młoda inteligencya stale się przed wyjazdem na prowincyę broni. Jest wiele uprzedzeń w tém przekonaniu: kto chce, wszędzie ognisko życia intelektualnego stworzyć sobie może. Na dowód przytoczę jedno spostrzeżenie. Do roku bieżącego towarzystwa lekarskie prowincyonalne słabe dawały objawy życia, prasa lekarska warszawska nie otrzymywała prawie żadnych z nich informacyi. W pierwszym zeszycie „Kroniki lekarskiéj" z r. b. fakt ten podniosłem, nawołując towarzystwa do ściślejszego zespolenia się z życiem naukowém przez nadsyłanie sprawozdań z posiedzeń, które „Kronika lekarska" stale teraz drukuje. I oto przekonała się Warszawa, że Lublin, Kalisz i Łódź pracują rzetelnie, że sprawozdania z posiedzeń zawierają wiele spostrzeżeń cennych, że jedném sło-

wem praca na prowincyi nietylko nie ustaje na polu naukowém, ale, dzięki kilku jednostkom dzielnym, które umieją naokoło siebie roztaczać blaski, życie naukowe wzmaga się tam z dniem każdym.

Kto więc z lekarzy chce, może nie zrzekać się na prowincyi wyższych aspiracyi, ale pielęgnować je daléj, będąc poniekąd pionierem w tych miejscowościach, gdzie dawna ospałość trwa daléj. Nawet lekarze w małych osiedli miastach przy ułatwionéj komunikacyi mogą, jeśli zechcą, brać w życiu naukowém i społecznem udział czynny.

Niewątpliwą jednak jest rzeczą, że utrudnienie komunikacyi pociąga za sobą mniejsze osiedlanie się lekarzy, tak np. najmniéj praktykuje lekarzy w gub. suwalskiéj, łomżyńskiéj, płockiéj, które mają komunikacyę kolejową bardzo utrudnioną, a choć i kaliska pod tym względem nie grzeszy, ma za to bliskość granicy i Wrocławia, który dla Kalisza ośrodek cywilizacyjny stanowi. Pewną więc opieszałość w osiedlaniu się lekarzy na prowincyi stanowi brak komunikacyi.

Największą jednak przeszkodą w osiedlaniu się lekarzy na prowincyi stanowi konieczność konkurencyi z felczerami i nieznajomość ludu wiejskiego. To głównie przestrasza młodych lekarzy. Po skończeniu uniwersytetu większość ma chęć wyjazdu na prowincyę, zostaje jednak w Warszawie czas pewien dla uzupełnienia wiedzy praktycznéj w szpitalach i klinikach. Tu jednak „psuje się”, jeśli wolno tak się wyrazić, życiem wielkomiejskiém i po roku wszelkiemi siłami stara się pozostać w Warszawie, choćby klepiąc biedę. Odstraszają ich stosunki prowincyonalne, a głównie zupełna nieznajomość ludu, na którym oprzéć byt wypadnie. Lekarz, jeśli zna lud, to co najwyżéj z książki, styczności bliższéj z nim nie ma i dopiéro po długoletniéj praktyce może posiąść tę znajomość.

Z gorącém sercem, z chęcią niesienia jaknajlepszéj pomocy, z duszą pełną pragnień niesienia światła w chaty—dąży młodzieniec wielkomiejski na prowincyę, ale nieubłagana rzeczywistość listek po listku skubie róże ideału, aż obnaży szpetną łodygę—życie prawdziwe. Kto ma hart ducha i sił moralnych zapas, i z tą łodygą przejść przez życie potrafi, a nawet w rękach jego łodyga odżyć i nowemi listkami okryć się może, ale pełne ponęt i zarazem środków do osłabienia hartu życie wielkomiejskie nie sprzyja tym warunkom. Dla tego w sercu lekarza młodego toczy się walka między chęcią odważnego działania i walki z przeciwnościami, a gnuśnością ducha; niestety, ostatnia zbyt często zwycięża.

Lud nasz leczy się u felczerów, jest to prawda niezbita. Aby lud dla leczenia pozyskać, trzeba walczyć z tą falangą szkodliwych uzurpatorów, a właśnie do téj walki wielu brak odwagi i sił. Felczer zna

lud dobrze, jest mu blizki pojęciami, wychowaniem, pochodzeniem, łatwiéj więc porozumiéć się z nim może, łatwiéj wnika w jego potrzeby i łatwiéj umié schlebiać jego skłonnościom, lekarz jest daleki od tego, wyrósł w innych pojęciach, w innych sferach; aby zrozumiéć chłopa, sądzi, że zniżyć mu się potrzeba.

Jest to jednak z gruntu błędne mniemanie, chłop ma swą logikę, swój zdrowy rozsądek, ale jako natura pierwotna, jest zdolny sądzić tylko z faktów oczywistych, rozumowanie, spekulacya rozumowa są to dla niego niedostępne rzeczy. On widzi, że felczer postawi mu bańki, da lekarstwo, złoży złamaną kończynę i weźmie jedno honoraryum, tymczasem lekarz weźmie honoraryum za poradę, odeszle do apteki po lekarstwo, za które płacić potrzeba, do felczera, który znów każe za każdą czynność zapłacić sobie sowicie — rozumuje więc: mam chodzić od Anasza do Kajfasza i wszędzie płacić — wolę iść do felczera, który leczenie hurtem opłacić każe. I chodzi lud do felczerów tam, gdzie lekarz chce po wielkomiejsku praktykować, tam zaś, gdzie lekarz czynności felczerskie sam załatwi, powie odrazu dobre rokowanie, chłop unika felczera, bo rozumie jednak, że lekarz ma kwalifikacye wyższe. Przyznać atoli trzeba, że częstokroć sława lekarza od jednego zawisła wypadku. Chłop nawet w czasie długotrwałéj choroby wezwie lekarza raz jeden, nie wymaga za to, aby chory wyzdrowiał, nie obchodzi go nazwa choroby, wystarcza mu, aby lekarz oświadczył stanowczo, czy chory „wyżyje”, czy umrze, a jeśli „wyżyje”, to kiedy zdrów będzie. Jeśli lekarz dobre postawi rokowanie, bez względu na wynik leczenia zyskuje sławę, w przeciwnym razie jest „nieznającym”, na ostrożne więc wypowiadanie zdania, na jasne postawienie kwestyi lekarz zwracać musi uwagę. Są to częstokroć jednak rzeczy, przechodzące możność lekarza.

Trzeba więc szukać sposobu przekonania ludności wiejskiéj o wyższości pomocy udzielanéj przez lekarzy. W chirurgii, w akuszeryi lud wyższość tę już zrozumiał i to stanowi główny rodzaj praktyki prowincyonalnéj, przekonać zaś go o pożytku pomocy lekarza w chorobach wewnętrznych może tylko szpital. Tam, gdzie poziom oświaty się zwiększa, tam gdzie ludność ma częstszą styczność z miastami, gdzie często z pomocy lekarskiéj w szpitalach korzysta, powoli wpaja się przekonanie w lud, o wyższości leczenia u lekarzy i o właściwém stanowisku felczera, jako pomocnika lekarza, tam gdzie szpitali jest mało—różnica ta ginie i lud spieszy dla wymienionych przyczyn chętniéj do felczera... Najpilniejszą więc potrzebą jest zamiana leczenia wyjazdowego i ambulatoryjnego na szpitalny.

W miastach większych, gdzie ludność jest oświeceńsza, niechętnie wogóle niezamożnych leczymy w domu, gdyż pomoc nasza jest krępo-

wana tyloma najrozmaitszemi względami, iż często schodzi do zera, cóż mówić o mniéj oświeconym, biédnym ludzie wiejskim, który ani nie posiada odpowiednich wiadomości do pielęgnowania chorego, ani nie jest w możności zadosyćuczynić zaleceniom lekarza. Tylko szpital, tylko nadzór stały nad chorym może mu zdrowie częstokroć powrócić, uważam więc za przyczynę główną niepowodzeń lekarskich brak szpitali na prowincyi, szpital bowiem jest tam nietylko instytucyą leczniczą, ale i cywilizacyjną.

Z powyższego widzimy, że główną przyczyną skąpego osiedlania się lekarzy po za miastami większemi jest felczeryzm i brak szpitali, a także mała znajomość ludu i trudne skutkiem tego porozumienie między lekarzem a pacyentem.

Pierwszym dwom postulatom zadosyćuczynić łatwo przez zakładanie szpitali oraz dokonywanie przez lekarza wszelkich czynności przy chorym, przez zupełne usunięcie felczera.

Trudniéj co do trzeciego, na to lat potrzeba, należy więc zachęcić lekarzy do osiedlania się śród ludu przez jakie takie zabezpieczenie im bytu, aby mogli stopniowo zyskiwać zaufanie i przetrwać najcięższe wszędzie początki.

Że coraz trudniejsza walka o byt w miastach zmusi w końcu lekarzy do osiedlania się po wsiach i osadach — rzecz to zupełnie naturalna, długo jednak czekać jeszcze wypadnie, a tymczasem lud pozbawiony jest opieki umiejętnéj, marnuje czas na chorobę, marnuje nieraz życie, co jest stratą dla całego społeczeństwa. Decentralizacyę więc przyspieszyć należy, wprowadzając rozumnie pomyślaną reformę.

Obok powyższych postulatów przy układaniu projektów baczyć jednak należy, aby stwarzane posady lekarzy wiejskich nie były synekurami, jak to się dzieje niezbyt od Królestwa daleko, ciężko zapracowane pieniądze ludu do tworzenia synekur nie nadają się wcale.

Te punkty wytyczne mieć muszę na uwadze przy rozbieraniu i krytyce tych projektów, które na wieść o gotującéj się reformie powstały. Aby jednak nie narzucać czytelnikowi własnego zdania, w części III-éj pracy niniejszéj przedstawię projekty objektywnie, poczém dopiéro odpowiednie wnioski w IV części zestawię.

III.

Zacznę od projektu, przedstawionego władzom przez towarzystwo lekarskie lubelskie.

H. Projekt Towarzystwa lekarskiego lubelskiego.

Zadaniem służby zdrowia według tego projektu, ogłoszonego w zeszycie IX „Kroniki lekarskiéj" ma być: a) publiczna ochrona zdrowia, b) bezpłatna pomoc dla biednych. Pomoc mają otrzymywać chorzy w ambulatoryach lub w domu chorego, w szpitalach lub domach schronienia.

Opiekunami organizacyi są wybieralne na lat trzy na zebraniach gminnych osoby z cenzusem naukowym ukończonych 4-ch klas gimnazyum. Służbę zdrowia pełnią lekarze i personel niższy, wreszcie apteki.

Corocznie opiekunowie wraz z wójtami oraz pełnomocnikami gminnymi formują listy biednych; biedni stanowić mogą 20% ogółu ludności i otrzymują pomoc lekarską bezpłatnie za okazaniem wydawanéj im w tym celu karty imiennéj.

Lekarz jest mianowany przez gubernatora na przedstawienie rady opiekuńczéj powiatowéj, wzmocnionéj przez komitet opiekunów; początkowo lekarz otrzymuje nominacyę na lat 3, skoro w tym czasie skarg żadnych nie będzie, pozostaje już na stałe na zajmowaném stanowisku.

Jako okręg lekarski, proponuje projekt 3 gminy. W obrębie tego okręgu lekarz ma współdziałać przy wykonywaniu czynności sanitarno-policyjnych, leczyć chorych w ambulatoryum oraz w domu; przy ambulatoryum jest 2—4 łóżek dla umieszczania chorych w ciężkich i wyjątkowych wypadkach. Do pomocy lekarz ma felczera, w każdéj zaś gminie jest babka. Lekarstwa chorzy otrzymują z apteki, znajdującéj się w okręgu, taksa będzie ułożona przez komisyę specyalną.

Niezależnie od tego, projekt żąda rozszerzenia istniejących szpitali oraz budowania nowych.

Takież same urządzenia proponuje towarzystwo lubelskie dla miast: w mieście, gdzie jest ludności poniżéj 10,000, ma być 1 lekarz, w większych po 2-ch, w Lublinie 5, przy ambulatoryum w mieście jest akuszerka, felczera nie ma.

Oto szemat organizacyi; pomijam szczegóły mniéj ważne, podam natomiast budżet organizacyi, opracowany przez towarzystwo:

A. Pomoc lekarska w gminach:

41 lekarzy po 500 rs.	20,500
41 felczerów po 150 rs.	6,150
mieszkania i opał dla felczerów	4,100
141 babek po 50 rs.	7,050
41 aptek po 500 rs.	20,500
41 ambulatoryów po rs. 500 . .	20,500
Razem .	78,800

B. Pomoc w miastach:

16 lekarzy po rs. 400 . .	6,400
16 akuszerek po rs. 150 .	2,400
16 aptek po rs. 300 . . .	4,800
Razem rs. .	13,600

C. Szpitale i przytułki:

Szpitale	36,500
Przytułki. . . .	21,900
Razem rs. .	58,400

A więc:

Pomoc wiejska. .	78,800
„ w miastach	13,600
Szpitale	58,400
Razem rs. .	150,800

B. Projekt d-ra Dolińskiego.

Punktem wyjścia dla projektu towarzystwa lubelskiego był opracowany przez d-ra Dolińskiego wspólnie z d-rem Kwaśniewskim projekt pomocy lekarskiéj w gminach. Projekt ten został złożony władzom jeszcze w 1882 r. (Patrz. „Kron. lek." Z. VIII r. b.).

Okręg lekarski według tego projektu był równoznaczny z okręgiem sądu gminnego (3 gminy). Lekarz był obowiązany w granicy okręgu: a) leczyć w mieszkaniach, ambulatoryach, b) pilnować stanu sanitarnego okręgu, c) szczepić ospę, d) wykonywać nadzór weterynaryjny, e) rozpowszechniać między ludem zdrowe zasady hygieny i medycyny popularnéj, f) zbierać dane statystyczne, g) prowadzić księgi sprawozdawcze, h) zastępować lekarza powiatu. Lekarz ma do pomocy felczera i 5 babek.

Budżet był następujący:

41 lekarzy po 750 rs.	rocznie	30,750
41 felczerów po 75 rs.	„	3,075
205 babek po 35 rs,	„	7,350
aptekom po 250 rs.		10,250
	Razem rs.	51,425

Dla pokrycia téj sumy projekt radzi wprowadzić pogłówne po 7 kop. od osoby. Otrzymana stąd suma pokryje koszta powyższe, a nadwyżka otrzyma następujące przeznaczenie: 1) na utworzenie szpitali 6—8 łóżek w miejscu zamieszkania lekarza, 2) na dopłaty aptekom wolnym za lekarstwa, 3) na naukę babek, 4) na kupno narzędzi.

C. Projekt inspektora gub. lubelskiéj.

P. Frinowskij, inspektor wydziału lekarskiego w rządzie gub. lubelskim, złożył władzom swój własny projekt (Porównaj „Kronika lekarska" Z. VIII r. b.).

Według tego projektu lekarz ma udzielać pomocy w miejscu zamieszkania, a nadto w ciągu tygodnia odwiedzać posterunek, urządzony

w środku okręgu i obsługiwany przez felczera, zostającego pod kontrolą lekarską. Wszyscy będą się leczyć bezpłatnie, lekarstwa przygotywywać mają w ambulatoryach z gotowych środków felczerzy.

Okręg lekarski stanowi 1/4 część powiatu i obejmuje 25,000 ludności, okręg felczerski 1/8 część powiatu, czyli 12,500.

Projektowany budżet wydatków na utrzymanie personelu i lekarstwa jest następujący:

40 lekarzy po 1,500 rs. . .	60,000
80 felczerów po 360 rs. .	28,800
40 akuszerek po 20 rs. . .	8,000
Na lekarstwa	24,000
Inne wydatki.	17,200
Razem . .	138,000 rubli

Fundusze, potrzebne dla urzeczywistnieniu projektu, radzi dr. Frynowskij zaczerpnąć z podatków dodatkowych, które w przecięciu wynoszą 12 kop. na osobę.

D. Projekt gubernatora płockiego.

P. gubernator płocki opracował projekt samoistny, który uzyskał sankcyę prawną i tytułem próby na lat 3 ma być wprowadzony w gubernii płockiéj. (Patrz „Kron. lek." z r. 1897).

Projekt jest oparty na zasadach następujących: Cała gubernia dzieli się na 8 okręgów lekarskich. W każdym okręgu jest szpitalik na 8 łóżek oraz ambulatoryum, przy szpitalu i ambulatoryum mieszka lekarz, felczer oraz felczerka-akuszerka (siostra ze zgromadzenia Ś-téj Elżbiety).

Obowiązkiem lekarza jest: 1) leczenie chorych w szpitalu, 2) administracya szpitala, 3) przyjmowanie 2 razy na tydzień chorych przychodzących w szpitalu, 4) przyjmowanie 2 razy na tydzień na posterunkach ambulatoryjnych w okręgu (w 12—20 w. odległości), 5) odwiedzanie przez 3 dni w tygodniu chorych w mieszkaniach. Felczerka-akuszerka ma zajmować się gospodarstwem szpitala, szczepić ospę i wyjeżdżać do porodów; felczer ma jeździć z lekarzem na posterunki ambulatoryjne, pomagać mu w przyjęciu chorych, oraz przygotowywać lekarstwa i szczepić ospę.

Pomoc w ambulatoryum jest bezpłatna, wydawanie lekarstw częścią bezpłatne, częścią po 10 kop. od lekarstwa.

Budżet wydatków jest następujący:

8 lekarzy pensya oraz na rozjazdy	8,000	rubli
8 felczerów „ „ „	2,820	„
8 felczerek-akuszerek „	3,280	„
8 szpitali.	8,800	„
Lekarstwa w szpitalach	800	„
„ w ambulatoryach . . .	1,600	„
Utrzymanie ambulatoryów. . . .	1,200	„
Kancelarya	280	„
Narzędzia . . . . , ...	360	„
Razem . .	26,640	rubli

Na pokrycie wydatków projekt przewiduje:

a) podatki:

1. właściciele ziemscy 5,9 kop. z dziesięciny czyli za 251,130 dzies..	15,167	57
2. właściciele miejscy 10% podymnego. . .	3,405	22
3. handlujący i przemysłowcy 5% od patentu	3,202	37
4. właściciele gorzelni 5% od patentu . . .	128	53
	21,900	60
b) Dochód od 45,480 lekarstw po 10 kop. .	4,548	—
	26,448	60

E. *Projekt gubernatora kieleckiego.*

Projekt ten oparty został na tych samych prawie zasadach, co w gubernii płockiéj („Kronika lekarska" Z. XIX r. b.). Gubernia dzieli się na 11 okręgów lekarskich ze szpitalikami po 10 łóżek oraz z ambulatoryum dla chorych przychodzących; niezależnie od tego w okręgu są 2 posterunki, odwiedzane przez lekarza kolejno w ciągu tygodnia. Lekarz ma do pomocy felczera i felczerkę-akuszerkę. Leczenie w szpitalikach jest darme, natomiast chorzy przychodzący płacą za lekarstwa po kop. 10.

Budżet wydatków jest następujący:

a)	pensye 11 lekarzy	9,900	rubli
	„ 11 felczerów	2,640	„
	„ 11 felczerek-akuszerek .	3,970	„
b)	na rozjazdy dla personelu . . .	2,200	„
c)	na utrzymanie szpitali	12,100	„
d)	na lekarstwa	1,000	„
e)	na potrzeby szpitalne.	880	„
f)	najem lokali dla ambulatoryów .	1,650	„
	Razem . .	34,430	rubli

Wydatki te mają być pokryte: a) z 5,5% od podatku gruntowego i podymnego od obywateli ziemskich, b) z 10% podymnego i liwerunkowego od obywateli miejskich, c) z 5% od patentów dla przemysłowców i handlujących, d) z opłat 10-cio kopiejkowych za lekarstwa.

F. Projekt d-ra Klarnera.

Dr. Klarner w liście pisanym do redakcyi „Kroniki lekarskiéj" (Z. XX z r. b.) proponuje utworzenie dla gubernii lubelskiéj 47 okręgów lekarskich. W okręgu mieszka lekarz, który ma obowiązek przyjmować codziennie chorych ambulatoryjnych bezpłatnie, odwiedzać głowy rodzin bezpłatnie w ich mieszkaniach na dostarczonych podwodach, przyjmować 2 razy na tydzień na posterunku ambulatoryjnym, gdzie stale mieszka felczer, zostający pod kontrolą lekarza, prowadzić szpitalik gminny. Akuszerka odbiéra dzieci u głowy rodziny (wdowa) oraz u biednych bezpłatnie, u innych po rublu od porodu, odwiedza położnice; felczer leczy pod kontrolą lekarza i działa w zakresie swéj kompetencyi. Tym sposobem autor proponuje 47 okręgów lekarskich, 74 felczerskich, 97 akuszerek, 47 szpitalików na 6 łóżek, 74 ambulatorya.

Koszt utrzymania jednego okręgu wyniesie:

1 lekarz.	800	rub.
2 felczerów . . .	600	„
3 akuszerki . . .	600	„
apteka	300	„
utrzymanie szpitala	1,642	„ 50 kop.
	3,942	r. 50 kop.

Potrzebną sumę dla utrzymania okręgu dr. K. proponuje zaczerpnąć:

a) z 8 kop. podatku od morgi,

b) z 10 kop. podatku od rs. 100 ubezpieczenia od ognia w osadach,

c) z 10% od podatku z patentów handlowych.

Wyniesie to na 4 gminy około 4,800 rub., remanent radzi użyć na ulepszenia, gratyfikacye i t. p.

Lekarz jest wybieralny przez gminę na lat 6, przy powtórnym wyborze otrzymuje 1,000 rubli pensyi, przy następnym 1,200 rubli.

G. Projekt Towarzystwa lekarskiego w Łodzi.

Projekt został ułożony przez towarzystwo lekarzy w Łodzi na żądanie p. gubernatora piotrkowskiego („Medycyna" r. b. N. 25).

Jako zasady, projekt przyjmuje: 1) uczynić pomoc lekarską dostępniejszą dla mieszkańcow osad i wsi, dając możność lekarzowi zamieszkania bliżéj ludności zamiejskiéj i poświęcenia jéj wyłącznie swéj pracy, 2) dostarczyć ludności niezamożnéj i małozamożnéj całkowicie bezpłatnéj pomocy lekarskiéj oraz lekarstw bezpłatnie, 3) dostarczyć wszystkim rodzącym bezpłatnéj pomocy akuszeryjnéj, 4) dostarczyć wszystkim lżéj chorym pomocy lekarskiéj w ambulatoryum, 5) dostarczyć całéj ludności osad i wsi pomocy w szpitalach ucząstkowych, a w nagłych wypadkach i w lecznicach okręgowych, 6) dostarczyć niezamożnym chorym nieuleczalnym przytułku bezpłatnego.

Te punkty wytyczne posłużyły Towarzystwu do opracowania projektu reformy tylko dla ludności wiejskiéj, gdyż miejska: a) ma ułatwione bardzo znalezienie lekarza, b) posiada szpitale, ambulatorya i przytułki, c) towarzystwa dobroczynne i stowarzyszenia pomocy dla chorych, d) ludność robocza ma oddzielną organizacyę fabryczną.

Według projektu, lekarzy okręgowych mianuje rada dobroczynności powiatowa i gubernialna na zasadach ogólnych. Liczba lekarzy unormowana jest w ten sposób, jak w projekcie towarzystwa lubelskiego, okręg równa się okręgowi sądu gminnego—3 gminom.

Obowiązkiem lekarza okręgu jest zamieszkiwanie w osadzie i wsi położonéj w środku okręgu, nadzór nad działalnością felczera i babek (1 babka na gminę), przyjmowanie bezpłatne w ambulatoryum ludności niezamożnéj, zarządzanie lecznicą okręgową, odwiedzanie chorych i rodzących w obrębie okręgu końmi dostarczonemi przez chorego, szczepienie ospy.

Świadectwa ubóstwa wydawać mają osoby przez zebranie gminne upoważnione, projekt wszakże ogranicza liczbę niezamożnych do 40% ogółu ludności.

Felczer zamieszkuje w tém samém miejscu, co i lekarz, i spełnia tylko polecenia lekarskie, babka mieszkając w gminie, obowiązana jest udzielać pomocy wszystkim rodzącym i wezwać w razie potrzeby lekarza.

Prócz 45 lecznic po 2 łóżka w każdym okręgu lekarskim, przeznaczonych dla tych, którzy do dalszego szpitala udać się nie mogą, w gubernii piotrkowskiéj ma być urządzonych 8 szpitali po 20 łóżek. W każdym takim szpitalu uczastkowym jest 2-ch lekarzy i 1 felczer.

Niezależnie od tego w miejscowości blizkiéj kolei projektuje się przytułek na 120 łóżek, licząc łóżko na 10,000 mieszkańców.

Nie ograniczając się do szkicu projektu, tow. łódzkie opracowało budżet szczegółowy:

A. Koszt urządzenia pomocy lekarskiéj:

1.	Urządzenie 45 ambulatoryów po 2,500 rubli. . .	16,250 rubli
2.	Budowa 8 szpitali po 10,000 rubli	80,000 „
3.	Urządzenia szpitalne po 2,000 rubli.	16,000 „
4.	Budowa przytułku dla nieuleczalnych	50,000 „
5.	Urządzenie przytułku	5,000 „
6.	Wykształcenie 151 babek po 60 rs.	9,060 „
	Razem . .	180,310 rubli

B. Utrzymanie roczne:

45 lekarzy okręgowych	po 850	rubli	38,250	rubli
Mieszkania dla lekarzy	„ 150	„	6,750	„
8 lekarzy szpitalnych	„ 350	„	2,800	„
8 pomocn. lekarzy szpitaln.	„ 250	„	2,000	„
1 lekarz przytułku	„ 300	„	300	„
45 felczerów okręgowych	„ 250	„	11,250	„
Mieszkania dla felczerów	„ 50	„	2,250	„
8 felczerów szpitalnych	„ 150	„	1,200	„
151 babek wiejskich	„ 150	„	22,650	„
45 lokali na lecznice i utrzym.	„ 300	„	13.500	„
Leki proste dla lecznic i babek	„ 310	„	15,510	„
Utrzymanie 8 szpitali	„ 3,500	„	28,000	„
Utrzymanie przytułku			8,760	„
Odnawianie budynków			900	„
Kancelarya			1,325	„
Szczepienie ospy			1,000	„
Na powiększenie środków wydz. lek. gub.			1,000	„
		Razem	165,945	rubli

Na pokrycie wydatków towarzystwo łódzkie projektuje przeznaczyć fundusze: a) z sum idących na szpitale warszawskie, b) z sum płaconych szpitalom przez gminy, c) z podatku dodatkowego 10%-ego od podatków gruntowego, podymnego i 20%-ego od patentów handlowych, razem około 165,000 rubli rocznie, a mianowicie:

a) od obywateli ziemskich 2,376	66,000 rubli
b) od 26,360 włościan I kategoryi, t. j. posiadających więcej niż $7^1/_2$ dziesięcin ziemi po rub. 1 k. 50	39,540 „
c) od 31,870 włościan II kategoryi, posiadających mniéj niż 7,5 dzies. ziemi po rub. 1	31,870 „
d) od mieszkańców osad podatek mieszkaniowy	3,000 „
e) 20% od opłaty za świadectwa handlowe	25,000 „
Razem. .	165,410 rubli

Na urządzenie przeznacza towarzystwo łódzkie podatek z roku pierwszego. Obliczając ludność gubernii piotrkowskiéj na 1,200,000, wypadnie podwyższyć dotychczasowe podatki o 14 kop. na osobę.

H. Projekt inspektora lekarskiego gubernialnego d-ra Marcelego Lewińskiego dla gubernii Warszawskiéj.

Na żądanie władz naczelnych w Królestwie dr Marceli Lewiński, jako inspektor lekarski, wygotował projekt dla gubernii warszawskiéj.

Autor projektu, osnutego na dokładnéj znajomości stosunków oraz kilkunastoletniém doświadczeniu, jest zwolennikiem leczenia chorych w szpitalach, w tym więc kierunku najwięcéj rozwinął swój projekt. Na mocy długoletnich obserwacyi, jako władza naczelna lekarska w gubernii, dr. Lewiński przedewszystkiém zwraca uwagę na brak należytéj pomocy dla chorych umysłowych i chorych wenerycznych. W żadnym z projektów dotychczasowych kwestye te poruszane nie były. Nie znaczy to, aby projekt pomijał inne potrzeby; jak zobaczymy, uwzględnia je w całéj rozciągłości, zasługą jednak autora jest zwrócenie uwagi na powyższe pierwszorzędnego znaczenia braki.

Wogóle projektowana reforma, ogłoszona w Z. XX „Kroniki lekarskiéj", obejmuje 3 działy: 1) reforma szpitalnictwa, 2) pomoc dla ludności miejskiéj, 3) pomoc dla ludności wiejskiéj.

I. Reforma szpitalna. Dotąd w gubernii warszawskiéj na 1,317,311 mieszkańców (bez Warszawy) jest 6 szpitali z 252 łóżkami, naturalnie cyfra ta wystarczyć żadną miarą nie może, gdyż 1 łóżko wypada na 5,660 mieszkańców, przedewszystkiém więc projekt obejmuje zwiększenie liczby łóżek w szpitalach. Szpitale dotychczasowe przyjmują wszystkich chorych z wyjątkiem chorych umysłowych, dla których w zasadzie, jest przeznaczona część szpitala w Tworkach mówię w zasadzie gdyż w rzeczywistości brak tam miejsc stale, na umieszczenie chorego trzeba czekać kilka miesięcy, a przez ten czas chory bądź wyzdrowieje, bądź, co bywa częściéj, stan ostry przejdzie w przewlekły, rokujący mało nadziei na wyzdrowienie. Przez ten czas chory jest narażony na brutalne obejście ciemnego otoczenia, pozbawiony wszelkiéj racyonalnéj pomocy lekarskiéj, a otoczenie narażone na niebezpieczeństwo ze strony chorego.

Dla tego téż projektodawca żąda przedewszystkiém utworzenia 50 łóżek dla chorych umysłowych w szpitalach już istniejących w Kutnie, Włocławku, Łowiczu, Pułtusku, Skierniewicach, oraz w nowo zaprojektowanym szpitalu Nowo-Mińskim. Współcześnie z otwarciem tego ostatniego szpitala zaleca projekt przerobienie szpitala w Mieni na sanatoryum dla suchotników, gdyż szpital ten, położony śród lasów,

posiada wszelkie ku temu warunki. Reforma nadto żąda wzmocnionego nadzoru nad chorymi wenerycznymi i w tym celu proponuje powiększenie szpitali o 65 łóżek dla téj kategoryi chorych.

Tym sposobem według projektu liczba łóżek szpitalnych zwiększy się o 115, czyli że 1 łóżko wypadnie na 3,590 mieszkańców—stosunek już znacznie bliższy normy.

Z uwagi, iż w czasach ostatnich liczba dni szpitalnych zmniejsza się stale, autor projektu zaleca leczenie bezpłatne w szpitalach, gdyż ludność, korzystająca ze szpitali, faktycznie nie jest w możności opłacania 33,3 kop. dziennie. Opłata ta wobec szczupłych funduszów szpitala jest ściągana od byłych pacyentów szpitalnych z całą surowością, znieść ją więc koniecznie należy, a powstały stąd brak zapełnić przez pobieranie podatku specyalnego na wzór podatku płockiego. To zniesienie opłaty powinno wszakże dotyczyć tych, którzy przedstawią świadectwa ubóstwa, oraz mieszkańców tego powiatu, gdzie szpital się mieści, mieszkańcy innych powiatów winni wnosić opłatę, sądzi bowiem autor, iż na téj drodze pobudzi inne powiaty do zakładania szpitali.

II. Reforma pomocy w miastach według projektu iść powinna drogą wytkniętą już przez autora i użytą w kilku już miastach. Zasadą główną jest urządzanie wszędzie ambulatoryów dla chorych przychodzących, w ambulatoryach tych chorzy, przedstawiający świadectwa ubóstwa, otrzymują poradę i lekarstwa proste darmo, inni wnoszą opłatę 10—30 kop.

Prócz ambulatoryów w miastach, gdzie dotąd niema szpitali, mają być otwarte lecznice (szpitaliki) na 4 łóżka etatowe i 1 nadetatowe. Znaleźć tu mogą pomoc chorzy z cierpieniami wewnętrznemi, a nadto położnice i wyjątkowo chorzy chirurgiczni.

W myśl tego w Mszczonowie, Brześciu Kujawskim, Gąbinie, Warce, Kałuszynie, Zakroczymiu, Radzyminie, Nasielsku, Nowym Dworze, Nowomińsku i Błoniu mają być otwarte ambulatorya z 5 łóżkami, w Kutnie, Pułtusku, Grójcu i Łowiczu bez łóżek, w pozostałych miastach podobne ambulatorya już są czynne.

Zarządza ambulatoryum i szpitalikiem lekarz, udziela tam porad, dokonywa operacyi drobnych i t. p.; ambulatoryum ma swego kuratora i jest pod kontrolą rad dobroczynności publicznéj powiatowéj i gubernialnéj. Urządzenie ambulatoryum wyniesie około 700 rb., utrzymanie roczne 1,700 rb., a fundusze niezbędne, zdaniem autora projektu, winny być dostarczone przez odnośne magistraty. Na baczną uwagę zasługuje w tym projekcie tworzenie lecznic z 5-ma łóżkami w miastach, pozbawionych szpitali, niewątpliwie bowiem są to zarodki przyszłych szpitali, gdyż zwiększyć liczbę łóżek zawsze jest łatwiéj, niż tworzyć nową instytucyę.

III. Reforma pomocy dla ludności wiejskiéj pomyślana była mniéj więcéj w tym samym duchu. I tu będą podwaliną ambulatorya z 5-ma łóżkami w osadach i wsiach większych. Pomoc ma być zupełnie bezpłatna. Ambulatoryum składa się z 2-ch izb na 5 łóżek, izby na ambulatoryum, kuchni, pralni, wanny, mieszkań dla lekarza, felczera i babki. Lekarz udziela pomocy w szpitaliku i ambulatoryum i w wyjątkowych tylko razach odwiedza chorego w jego mieszkaniu, do pomocy w czynnościach ma felczera i babkę, lub osoby w tym celu przez siebie wykwalifikowane. Projekt przeznacza na gubernię 45 ambulatoryów, z góry jednak zastrzega się projektodawca, że liczba to zbyt mała i że wypadnie ją zwiększyć. Będą więc urządzone szpitaliki z ambulatoryami w Raciążku, Radziejowie, Osiennicach, Piotrkowie, Lubrańcu, Kowalu, Chodeczu, Lubieniu, Krośniewicach, Czerwińsku, Strzelcach, Żychlinie, Sannikach, Iłowie, Kiernozi, Bielawie, Młodzieszynie, Sękocinie, Nowém Mieście, Węszycach, Solcu, Bolimowie, Łyszkowicach, Żyrardowie, Grodzisku, Nadarzynie, Błędowie, Mogilnicy, Piasecznie, Górze Kalwaryi, Chinowie, Brudnie, Wilanowie, Mokotowie, Kołbieli, Siennicy, Latowicach, Jabłonnie, Tłuszczu, Stanisławowie, Pomiechówku, Serocku, Wyżkowie, Kamieńczyku i Jadowie.

Tym sposobem liczba łóżek w gubernii zwiększy się o $45 \times 5 = 225$, czyli wraz z poprzedniemi do 592, na 1 łóżko szpitalne wypadnie 2225 mieszkańców.

Utrzymanie roczne pomocy dla ludności wiejskiéj wyniesie:

45 lekarzom po 400 rubli	18.000 rb.
45 felczerom „ 180 „ . . . . . , .	8,100 „
45 babkom „ 120 „	5,400 „
utrzymanie 225 łóżek (po 120 rb. na 5 łóżek)	24,000 rb.
lekarstwa	9,000 „
przyrządy apteczne	4,500 „
wynajęcie 45 lokali po 300 rb.	13,100 „
kancelarya po 66 rb.	2.700 „
	85,200 rb.

Fundusze na ten cel otrzymać można z podatku równomiernie rozłożonego między ludność (około 6 kop. na osobę).

Projektodawca chce przedewszystkiém zwiększyć liczbę łóżek w istniejących szpitalach, urządzić w 1-szym roku tylko ambulatorya, a w następnym i szpitaliki przy nich.

IV.

W rozdziale poprzednim starałem się zgrupować wszystkie dotąd istniejące projekty reformy zupełnie objektywnie, obecnie muszę przejść do krytycznego ich zestawienia, do zaznaczenia ich stron dodatnich i ujemnych.

Z tego zestawienia krytycznego wynika mój pogląd na sprawę, czytelnik jednak zarazem ma możność wysnucia z zestawionego materyału swoich własnych wniosków.

Reformę lecznictwa u nas wobec tego, co powiedziałem w rozdziale drugim niniejszéj pracy, uważam za rzecz konieczną i pilną, ale reforma powinna odpowiadać istotnéj potrzebie, powinna być oparta na podstawach racyonalnych i gruntownéj znajomości ludu, dla którego jest przeznaczoną; dla tego też udział w pracy powinni wziąć wszyscy i bynajmniéj nie sądzę bym wyczerpał w pracy niniejszéj wszystko, coby się dało w téj kwestyi powiedziéć. Z tém zastrzeżeniem przystępuję do oceny projektów dotychczasowych.

Dla dokładnego przeglądu, musimy zwrócić uwagę na pytania następujące:

1. Czy dotąd ogłoszone projekty, które z nich mianowicie i pod jakim względem dają postęp w porównaniu ze stanem dotychczasowym?

2. Czy posiadamy dostateczną liczbę lekarzy dla wprowadzenia reformy?

3. Czy potrzebna jest pomoc felczerów?

4. Jak zorganizować pomoc dla położnic?

5. Jaki przyjąć należy systemat w organizacyi pomocy dla ludu naszego?

6. Plan ogólny wprowadzenia reformy, jakie prawa zasadnicze uchwalić należy, a co przekazać uznaniu grup pojedyńczych?

7. Wnioski ogólne i plan reform dalszych.

Każde z pytań, zaznaczonych powyżéj, to temat do rozpraw oddzielnych, tyle tu kwestyi spornych pierwszorzędnego znaczenia. ponieważ jednak posiadamy kilka gotowych projektów, zdrowo pod pewnemi względami pojmujących reformę, praca jest ułatwiona, a zestawiając ją z rysem teraźniejszości, podanym w rozdziale II-gim, możemy już dojść do pewnych wniosków konkretnych, któremi podzielić się chcę z czytelnikami.

Jako tezę pierwszéj części swéj pracy, starałem się przeprowadzić podział pracy lekarskiéj. Z tego też punktu widzenia wystąpić muszę przeciw zalecanemu przez projekty d-ra Dolińskiego, tow. lek. lubel-

skie obciążaniu lekarza-praktyka czynnościami sanitarnemi, które godzić się z jego bezpośredniemi obowiązkami nie mogą. Pod tym względem przyznać należy wyższość wszystkim innym projektom.

Po za leczeniem chorych, od lekarza okręgowego co najwyżéj wymagać można szczepienia ospy ochronnéj w pewnych okresach czasu, cała zaś jego czynność sanitarna polegać winna na zawiadamianiu lekarzy powiatowych lub miejskich o zjawieniu się epidemii, stosowanie zaś środków zaradczych należyć powinno do personelu administracyjno-lekarskiego. Lekarz w miarę zauważonych braków w hygienie powierzonego mu okręgu może zawiadamiać o tém lekarza powiatu, nie jest to jednak obowiązkiem jego urzędu, a raczéj potrzebą obywatelskiéj działalności — wykonawstwo hygieniczne obarczać go nie powinno.

Nie znaczy to bynajmniéj, aby lekarz nie miał być pionierem nauki o zdrowiu, aby żywém słowem nie wszczepiał w lud jéj zasad, aby nie wskazywał na rażące braki i drogą obywatelskiego wpływu na miejscowe władze nie starał się pobudzić ich do odpowiednich czynów; to jest obowiązkiem każdego obywatela, który ma środki po temu, a więc i lekarza, wspartego wiedzą i doświadczeniem; ludność jednak powinna wiedziéć i wierzyć, że nie wprowadza on nic przymusowo.

Projekt warszawski takie połączenie czynności administracyjnych z lekarskiemi proponuje w miastach, aczkolwiek tu jest o to połączenie urzędów łatwiéj, bo teren jest mniejszy, i tego nie uważałbym za pomysł szczęśliwy, lepiéj by było dwie te czynności nawet w miastach rozdzielić między 2 lekarzy — obie sprawy na tém zyskają i lecznictwo i podniesienie stanu zdrowotnego.

Żaden z projektów, prócz d-ra Dolińskiego, nie wpomina o tém, aby lekarz miał obowiązek zastępowania lekarza powiatu w czynnościach sądowych; sądzę więc, że wszystkie mają na uwadze wykréślenie tych czynności z obowiązków lekarzy okręgowych, należałoby to jednak ująć w formę prawa, aby żadna niejasność nie pozostała pod tym względem.

Przechodzimy do dalszych punktów reform projektowanych.

Na wstępie zaznaczyłem już, że za postęp uważam tworzenie jaknajwiększéj liczby szpitali bezpłatnych, w których ludność miałaby dobrą opiekę lekarską. Temu zasadniczemu zadaniu reformy projekty odpowiadają w niejednakowym stopniu.

Wyższość leczenia w szpitalach chorych niezamożnych jest widoczna dla każdego, kto nieco głębiéj zechce wniknąć w tę sprawę.

Czém jest zagroda włościańska i jakie tam są warunki zdrowotne, każdy z nas wie doskonale. W izbie źle przewietrzanéj, oświetlonéj

kilkunastocentymetrowéj wielkości okienkami, śpi, je i żyje cała rodzina z kilkunastu nieraz złożona osób, tu gotuje się strawę, tu nieraz zimą karmi drób i prosięta. W tych warunkach ma leczyć się chory, pozbawiony światła i powietrza, tych największych dźwigni w hygienie. Któż go pielęgnować będzie w chorobie, gdy cała rodzina zajęta jest pracą, toć gdyby nawet czas miała po temu, to brak jéj zasadniczych bodaj pojęć; jak zresztą zastosują się do zaleceń dyetycznych, jak wytłómaczyć chłopu, że zdrowe pokarmy w życiu codzienném, w chorobie są szkodliwe, jak zresztą zorganizować pomoc lekarską dla niego.

W zagrodzie ktoś zapadł na tyfus brzuszny,—jest to choroba, trwająca kilka tygodni i wymagająca wielu starań ze strony otoczenia, nie poszlą zaraz po lekarza, bo w początkach uważają chorobę za niedomaganie chwilowe; zdecydowano się wreszcie, posłano po lekarza, który w najlepszych warunkach o wiorst kilka ma swój posterunek, choćby porada była bezpłatna, dla włościanina oderwanie konia od roboty już jest uszczerbkiem. Lekarz przybył, obejrzał chorego, zapisał mu lekarstwo, po które znów posłać potrzeba, lekarstwo starczyło na 2—3 dni, znów więc lekarza wezwać należy, czyli co 2—3 dni posyłać konie po lekarza i po lekarstwo. Cóż pocznie chory, gdy lekarza w domu nie znajdą, boć w okręgu, obejmującym trzy gminy, lekarz nie jednego mieć będzie pacyenta, co pocznie, gdy dni kilka bezowocnie oczekiwać będzie na pomoc—on i jego otoczenie nie omieszka sarkać na reformę. Dziś sarkać nie będzie, bo płacić musi za każdą wizytę, późniéj, gdy wnosić będzie stały podatek, uważać będzie wyjazd lekarza za obowiązek, a znając lud nasz, każdy łacno wysnuć może wniosek o narzekaniach, jakie to wywoła, i zniechęceniu do nowéj sprawy. Jest to kwestya, która udaremni popularyzacyę reformy, osłabi do niéj zaufanie. Ważniejszą jest dola chorego, pozostawionego śród brutalnego, nieoświeconego otoczenia, które na swój sposób w braku lekarza leczyć go będzie, przysparzając cierpień, niekiedy wywołując zgon. Jakże często z dobrego serca daje się choremu, u którego ściśléj dyety przestrzegać należy, jakiś pokarm niestrawny, który go o utratę życia, jak np. w tyfusie, przyprawić może.

Nie zapominajmy, że w medycynie dzisiejszéj hygiena i dyetyka najpoważniejsze zajmują miejsce i są podstawami leczenia i pielęgnowania chorych; jeśli chory będzie w złych warunkach otoczenia, jeśli pożywienie jego będzie szkodliwe — leczenie jest bezsilne, a wynik—zły zawsze. Dla tego téż leczenie w chacie chłopskiéj da gorsze wyniki, niż w dworku; w dworku zaś gorsze, niż w szpitalu. Lekarz w szpitalu rozporządza wszelkiemi czynnikami dodatniemi: światłem i powietrzem dobrém, opieką umiejętną, dyetą właściwą, odwiedza chorego codziennie, codziennie bada przebieg choroby i może z łatwością

w chwili właściwéj stosować przez naukę wskazane środki—jedném słowem może w granicach wiedzy gwarantować poniekąd prawidłowy przebieg choroby. W domu u chorego wobec tych warunków, o których mówiłem, nikt takiéj gwarancyi dać nie może.

Tyle co do chorego, a otoczenie?—w razie choroby zakaźnéj jest ono narażone na niebezpieczeństwo, i nietylko otoczenie najbliższe, ale sąsiedzi, wieś cała. Zetknięcie z chorym stałe, jego wydzieliny i odchody zakazić mogą na długo grunt, i to jest przyczyną masowych nieraz epidemii tyfusów, szkarlatyny, dyfterytu i t. p. Jeżeli chorego w czasie właściwym odwieziemy do szpitala, usuwamy źródło zarazy, udaremniamy szerzenie się choroby, ocalamy od niepotrzebnych cierpień, a nawet śmierci dziesiątki jestestw. Lekarz w szpitalu posiada odpowiednie środki dla umiejscowienia zarazy, unicestwiając działanie zarazka.

Z powyższego widzimy, iż leczenie chorych zakaźnych i wogóle chorych z cierpieniami ostremi nie może odbywać się w domu u niezamożnych, ale w szpitalu, toż samo stosuje się do wielu chorych chirurgicznych, którzy muszą leczyć się w łóżku i którym często trzeba zmieniać opatrunki.

Pozostawać w domu mogą tylko chronicznie chorzy i w pewne dni przybywać o poradę i lekarstwo do ambulatoryum pobliskiego. Ambulatorya te w stałém znajdować winny się miejscu, aby były dostępne każdego dnia i w każdym czasie.

To, co mówiłem o leczeniu w chatach włościańskich, stosuje się i do ubogich mieszkańców miasteczek i osad, gdyż u nich warunki zdrowotne mieszkań są jeszcze gorsze, niż u włościan, z powodu zacieśnienia panującego w mieście.

Za najodpowiedniejszy projekt reformy, wobec tego co powiedziałem powyżéj, uważać należy ten, w którym postulaty powyższe znalazły najszersze zastowanie.

Oceniając je z tego punktu widzenia, widzimy, iż projekt dla gubernii warszawskiéj bodaj że najlepiéj odpowiada zadaniu.

Tu na 3—4 gmin jest szpitalik o 5 łóżkach na początek; 5 łóżek to 1835 dni szpitalnych, dodajmy do tego 11 szpitalików w osadach i miastach, gdzie niema szpitali, również po 1835 dni szpitalnych, otrzymamy dla miast 20,185 dni szpitalnych, a doliczywszy do tego 115 miejsc nowych w istniejących już szpitalach, czyli 40,975 dni szpitalnych, otrzymamy razem (62575+20185+40975) 123,735 dni szpitalnych nowych w całéj gubernii, prócz istniejących dawniéj łóżek szpitalnych.

Gorszy jest projekt łódzki, ten bowiem przewiduje w każdym okręgu po dwa łóżka, czyli 90 łóżek t. j. 32,850 dni szpitalnych, prócz tego w ośmiu szpitalach po 20 łóżek, czyli 160 łóżek resp. 57,600 dni szpitalnych, razem więc na całą gubernię 90,450 łóżek szpitalnych. Te ośm szpitali mają być rozrzucone po miastach większych w znacznéj nieraz od chorego odległości, a więc z utrudnionym dostępem dla ludności wiejskiéj. Szpitalik, aby odpowiadał zadaniu, musi być blisko chorego, niepodobna bowiem o mil kilka przewozić chorych z chorobami ostremi, a właśnie dla tych chorych przedewszystkiém tworzyć szpitale należy.

Tak samo proponuje projekt towarzystwa lubelskiego po 2 łóżka w każdym okręgu lekarskim, czyli 82 łóżka *resp.* 29,930 dni szpitalnych. Daléj nieco idzie dr Klarner, projektując 47 szpitalików po 6 łóżek, czyli 282 łóżek szpitalnych t. j. 102,930 dni szpitalnych.

Projekt p. gubernatora płockiego daje 8 łóżek w 8 okręgach, czyli 64 łóżek *resp:* 23,360 dni szpitalnych, również małą liczbę łóżek, bo 110 czyli 39,600 dni szpitalnych, projektują Kielce.

Zestawiając te dane, widzimy:

Gubernia	Projektodawca	Liczba projektowanych dni szpitalnych nowych	Zaludnienie	Stosunek dni szpital. do licz. mieszk.
Warszawska bez Warszawy	dr Lewiński	123,735	1,317,317	1:10,5
Piotrkowska	Tow. lekar. w Łodzi	90,450	1,092,171	1:12,5
Lubelska	Tow. lek. lubelskie	29,930	1,152,662	1:40
„	dr Klarner	102,930	—	1:11,2
Kielecka	Zarząd gubernialny	39,600	743,508	1:19
Płocka	P. gubernator płocki	23,360	527,749	1:22,9

Z zestawienia powyższego widzimy, iż najmniejsza liczba mieszkańców na 1 dzień szpitalny wypada w gub. Warszawskiéj, daléj idą gub. Piotrkowska, Lubelska (według projektu d-ra Klarnera), najgorzéj zaś przedstawiają się pod tym względem projekty kielecki, płocki oraz towarzystwa lekarskiego lubelskiego.

Projekty wszystkie przewidują raczéj za mało, niż za wiele szpitali, bo oto w Prusiech ościennych dzień szpitalny wypada na 1,05 mieszkańców; gdybyśmy nawet przyjęli pod uwagę istniejące już łóżka

szpitalne ($252 \times 365 = 91,980 + 123,735 = 215,717$), to i tak otrzymana cyfra będzie w gubernii warszawskiéj, posiadającéj i teraz największą liczbę łóżek szpitalnych, 5 razy wyższą od cyfry odnośnéj w Prusiech. W każdym jednak razie pod względem leczenia szpitalnego wszędzie jest postęp wyraźny, pierwszeństwo jednak należy się projektowi warszawskiemu témbardziéj, że przewiduje stopniowe powiększanie liczby łóżek szpitalnych.

Projekt lekarzy łódzkich posiada pod innym względem pewną wyższość nad warszawskim — utworzenie przytułku dla nieuleczalnych. Przytułek projektuje się na 120 łóżek w miejscowości z dogodną komunikacyą kolejową. Inne projekty kwestyę tę zaznaczają zaledwie, a warszawski wkłada pod tym względem obowiązek na towarzystwa dobroczynne. Na pogląd ten zgodzić się nie mogę, przytułek dla nieuleczalnych w organizacyi szpitalnéj jest kwestyą pierwszorzędnéj wagi. Szpitale, o ile nie będzie przytułków, wkrótce zamienią się na przytułki, z uszczerbkiem dla chorych z cierpieniami ostremi. Tak się dzieje w Warszawie, gdzie brak przytułków, tak dzieje się wszędzie; przytułek musi być uzupełnieniem niejako szpitala. W swoim czasie podnosiłem tę kwestyę z okazyi zebrania funduszu milionowego i wskazywałem na potrzebę zakładania instytucyi tych w każdéj gubernii. Zdaje mi się, że 1 łóżko na 10,000, jak chce projekt łódzki, na razie wystarczyć powinno. Wkładanie obowiązku tego na towarzystwa dobroczynne nie zdaje mi się odpowiedniém. Włościanin biedny opłacający podatek *ma prawo* do leczenia szpitalnego, a jeśli chcemy szpitale zasłonić przed napływem nieuleczalnych, musimy dać natomiast ludności odpowiedni przytułek; towarzystwa dobroczynne mogą to zrobić, ale nie są obowiązane przyjmować wszystkich, a obowiązek taki ciążyć musi na saméj organizacyi pomocy.

Z tego względu przytułki muszą być niezależnie od szpitali lub dla łatwiejszéj i tańszéj organizacyi przy szpitalach urządzane w każdéj gubernii.

Drugim niezmiernie ważnym czynnikiem w prawidłowéj organizacyi służby zdrowia jest dobrze urządzone, dostępne dla wszystkich ambulatoryum. Ambulatoryum winno być stałe, w miejscu zamieszkania lekarza i dostępne dla chorych w ciągu kilku godzin dziennie. Samo ambulatoryum powinno być zaopatrzone we wszystkie środki, potrzebne do badania i leczenia chorych. Tę postać pomocy lekarskiéj przewidują wszystkie projekty organizacyi, jedne z nich mają na uwadze ambulatorya absolutnie bezpłatne dla chorych niezamożnych, inne proponują poradę bezpłatną, a płatne w ilości kop. 10 lekarstwo, inne jeszcze żądają opłaty za poradę od chorych zamożniejszych po

10 — 30 kop. W związku z innemi postulatami projektów, referaty tow. lek. w Lublinie, Łodzi, d-ra Dolińskiego, Klarnera i d-ra Lewińskiego żądają utworzenia licznych ambulatoryów po 41 — 47 na gubernię w miejscu zamieszkania lekarza, inne jak projekty płocki i kielecki po 8 — 11 ambulatoryów (w miejscu zamieszkania lekarza) na całą gubernię. Widząc jednakże, że 1 ambulatoryum na cały powiat nie wystarczy, a nie chcąc, zdaje się, dla źle zrozumianéj oszczędności, potroić liczby okręgów lekarskich, autorzy ostatnich 2-ch projektów oraz dr. Frynowskij proponują urządzenie kilku punktów ambulatoryjnych w okręgu, gdzie chorzy będą przyjmowani raz na tydzień w stałe dni, dr. Klarner i dr. Frynowski idą jeszcze dalej, bo ambulatoryum takie oddają pod opiekę felczerowi, który za swe czynności ma być odpowiedzialny przed lekarzem.

Doprawdy nie wiem, czemu się dziwić więcéj w tych projektach, czy niepraktyczności autorów, czy nieznajomości stosunków. Jakto, więc chory czekać ma tydzień cały, nim lekarz przybędzie na posterunek ambulatoryjny, a przez ten czas ma być pozbawiony wszelkiéj pomocy? Ktoś silnie zranił się w rękę, jeśli ambulatoryum jest blizko, natychmiast może udać się do lekarza i tym sposobem często zabezpieczyć się od kalectwa. Cóż ma uczynić, jeśli jest jedno ambulatorym na powiat? Jechać do ambulatoryum stałego? To kilka mil drogi—po przyjeździe zaś dowiedzieć się może, że lekarz właśnie wyjechał na inny posterunek i wróci nazajutrz; czekać aż przybędzie do bliższego posterunku? To dni kilka straconych, a przez ten czas wszelka pomoc może być daremną. Trudno przewidywać wszelkie ewentualności, ale już powyższego przykładu dość dla wyrobienia sobie pojęcia o... praktyczności projektów. Brano w nich za modłę dawno już zarzucony systemat rozjazdowy w ziemstwach rosyjskich i chciano przystosować go do naszego kraju. Tam, gdzie zaludnienie jest małe względnie do przestrzeni, projekty takie znaleźć by mogły usprawiedliwienie, a jednak i tam już uznano ich niepraktyczność; u nas, gdzie skupienie ludności jest znaczne, rzecz to absolutnie niemożliwa w zasadzie.

Dowodzi to, jak nie można wzorować się na stosunkach innych krajów i miejscowości, nie przystosowując ich do warunków miejscowych.

Z krytyki projektu płockiego, napisanej przez d-ra O. Hewelke w Kronice Lekarskiej w r. z. i d-ra Rychlińskiego w Medycynie r. b., widać dowodnie, że, biorąc pod uwagę liczbę ludności w obrębie okręgu lekarskiego oraz przestrzeń, ani na chwilę nie można przypuścić, by lekarz mógł podołać obowiązkom, mimo nadludzkich wysiłków. Z początku będzie wszelako próbował zadosyć uczynić obowiązkom, późniéj,

skoro o niemożebności się przekona, większą część pracy zepchnie na felczera, który z czasem stanie się istotnym panem położenia — posada lekarska stanie się synekurą, a wystąpi czynnik nader szkodliwy — urzędowe upoważnienie felczera do spełniania czynności lekarskich, do czego przecież nie posiada ani wiadomości odpowiednich, ani praw. To zło więc, przeciwko któremu skierowana jest idea organizacyi, otrzyma nowy bodziec, tém szkodliwszy, że uprawniony.

Projekty d-ra Klarnera i d-ra Frynowskiego idą w tym kierunku jeszcze dalej, upoważnienie to dają zgóry, gdyż osadzają felczera na posterunkach, które lekarz raz na tydzień ma tylko odwiedzać. Czém że będzie ów felczer posterunkowy dla ludności? Naturalnie lekarzem, lekarz zaś będzie grał rolę jakiegoś niewidzialnego zwierzchnika.

I oto znów odległe stosunki przeszczepione na nasz grunt, zapomniano tylko, że rzeczywistość, że chwila obecna poszła dalej, niż nowa reforma, dziś lud ma lekarza, dziś prawo pozwala ścigać sądownie i administracyjnie felczera, przekraczającego swe atrybucye — później za przykładem felczera posterunkowego pójdą inni, też same posiadający kwalifikacye, i reforma zamiast korzyści tylko szkodę przyniesie.

Należy więc zaniechać myśli wprowadzenia jakichś ambulatoryów ruchomych lub posterunków felczerskich, a natomiast utworzyć stałe ambulatorya gęściej, niż to Płock i Kielce przewidują — jedném słowem trzymać się co do ambulatoryów zasad projektów warszawskiego łódzkiego i lubelskiego.

Po za tém stanowczo wykluczyłbym wszelkie opłaty w ambulatoryach, porady otrzymywać tam powinni wszyscy niezamożni mieszkańcy, a wraz z poradą lekarstwa, co się tyczy zamożnych tym wstęp do ambulatoryów powinien być wzbroniony, gdyż mogą poradę znaleźć u lekarza w domu. Reforma wprowadza się dla ludności ubogiéj, zamożna ma tę dogodność, że lekarza ma blizko, po za tém zaś innych obowiązków przyjmować na siebie reforma nie może, gdyż zadaniu nie podoła. W szpitalach pomoc powinna być bezpłatną dla wszystkich, opłacających podatek, ponieważ względnie zamożna ludność niejednokrotnie leczyć się w domu nie może, ambulatorya zaś dostępne być winny tylko dla tych, którzy się świadectwém ubóstwa, przez tę lub inną wydawaném instytucyę, mogą wykazać. Wprowadzenie opłat prócz zasad słuszności, które wyłuszczyłem powyżéj, jeszcze tę będzie miało złą stronę, że da powód tym, co płacą, do żądania jakichś uwzględnień od lekarza, pozostali zaś bezpłatni pacyenci zawsze mieć będą ambulatoryum w podejrzeniu, że robi między pacyentami płatnymi i bezpłatnym różnicę. Kto może zapłacić w ambulatorym 30 kop. za poradę, za tę samą summę, lub nie wiele wyższą, otrzyma poradę u lekarza w domu.

Prócz porady wszakże trzeba dać chorym jeszcze i środki lecznicze — lekarstwa. Porada bez lekarstwa to myśl bez wcielenia, to dusza bez ciała. Różnie się na tę kwestyę zapatrują projekty, a nie wszystkie trafnie.

Najtrafniéj pod tym względem rozstrzyga pytanie projekt towarzystwa lubelskiego, radzi on wejść w umowę z istniejącemi już aptekami i wyznacza w tym celu rs. 500 rocznie na ambulatorym dla pokrycia kosztu lekarstw, podobnie, zdaje się, myśli towarzystwo łódzkie. W innych projektach lekarstwa za opłatą 10 kop., lub bez opłaty, mają być wydawane w ambulatoryach i przygotowywane przez ... felczerów.

I znów jesteśmy w błędném kole: felczer ma zastępować lekarza, felczer ma być aptekarzem.

Rozpatrując te projekty, zaiste, spytać się należy, czy ma to być postęp, czy cofanie się wstecz? Pocóż w takim razie państwo kształci aptekarzy, na co koszta, łożone na utrzymanie szkół dla nich, na co kilkunastoletnia ich praca, jeśli obyć się bez nich można, jeśli w czynnościach zastąpić ich może lada felczer, którego nikt nigdy nie obznajmiał z żadną z nauk farmaceutycznych. Wprawdzie, przygotowania lekarstw ma pilnować lekarz, ale i lekarz nie jest specyalistą właściwym, zna on farmacyę teoretycznie, praktycznie aptekarstwa się nie uczył, a zresztą, kiedyż to czas mu pozwoli na dozorowanie czynności aptekarskich felczera?

W Warszawie, gdzie czynności w aptekach powierzane są rutynowanym aptekarzom, niejednokrotnie notowano już wypadki wydawania złych lekarstw, cóż mówić o lekarstwach, przyrządzanych przez felczera? Lekarz, pisząc receptę, może się w dawkowaniu pomylić, kontrolerem jego w tym względzie według prawa jest aptekarz, któremu pod odpowiedzialnością wydać nie wolno lekarstwa, zawierającego wyższą, niż w farmakopei dawkę, bez wyraźnéj adnotacyi lekarza, iż nie jest to pomyłka. Któż będzie takim kontrolerem, jeśli lekarstwa ma przygotowywać felczer?

Myśl tę więc stanowczo porzucić należy i, jeśli reforma przynieść ma owoce, dać ją w najlepszéj postaci. Lekarstwa dla biednych muszą być przygotowywane tak samo, jak dla bogatych, inaczéj lud łacno spostrzeże różnicę i straci wiarę w instytucyę.

Człowiek inteligentny rozumie, że częstokroć lekarstwo w leczeniu jest czynnikiem drugorzędnym, że uregulowanie życia, odpowiednia dyeta posiadają niérównie większe znaczenie, inaczej lud: dla niego lekarstwo jest wcieleniem widomém porady, on więcej wierzy w lekarstwo, niż w inne rady lekarza, i dla tego, jeśli lekarz chce przeprowadzić jakąś zmianę w trybie życia lub dyecie, musi wyraźnie zaznaczyć, że to a to

sprzeciwia się lekarstwu. Odejmijmy ludowi wiarę w lekarstwo, a nic nie pozostanie z pomocy, reforma byłaby wtedy bezskuteczną.

Wobec tego, co powiedziałem powyżej, mogą być tylko dwie drogi wyjścia. Jeśli w miejscu, gdzie jest ambulatoryum, istnieje już apteka, należy wszystkie lekarstwa po cenie skontraktowanéj brać z aptek, ekspedycya może być mniéj elegancka, ale musi być zupełnie porządna. Tam, gdzie aptek niema, należy je utworzyć na wzór t. z. „aptek sielskich”. Najlepszém wyjściem byłoby uzyskanie przywileju utrzymywania aptek przez sam okręg lekarski i oddanie ich bądź w dzierżawę aptekarzowi z obowiązkiem wydawania lekarstw biednym na rachunek funduszów ambulatoryum, bądź téż prowadzenie na własne ryzyko pod zarządem płatnego aptekarza. Dozór należałby do lekarza okręgowego, rachunki przeglądać winny rady dobr. publicznéj powiatowa i gubernialna. W obu wypadkach biedni otrzymywaliby lekarstwa darmo, zamożniejsi po cenie kosztu (koszt środków, lokalu, pensya, amortyzacya kapitału). Tym sposobem można by jednocześnie rozwiązać palącą kwestyę drożyzny lekarstw u nas, szczególniéj na prowincyi, gdzie niema konkurencyi.

Dalszym czynnikiem w organizacyi pomocy lekarskiej jest pomoc dla rodzących.

Za prawidłowy, odpowiadający istotnym potrzebom uważać należy taki projekt, który pomoc tę udostępni w najszerszém tego słowa znaczeniu. Pomoc powinna być prędka, dobra, dla ludności niezamożnéj zupełnie bezpłatna. Tymczasem widzimy, iż projekty, a przynajmniéj ich większość kwestyi tej nie postawiły na należytym gruncie.

W najgorszych pod tym względem projektach płockim i kieleckim ustanowiono po 1 akuszerce-felczerce na powiat, czyli 8 w gubernii płockiéj, 11 w kieleckiéj. Jeżeli weźmiemy jeden tylko powiat lipnowski, akuszerka będzie musiała być w ciągu roku przy 3951 porodach, czyli przy 11 dziennie, tyleż musi odwiedzić dawnych położnic, a nadto zajmować się gospodarstwem szpitalném oraz szczepieniem ospy — czyż w obec cyfr takich projekty owe nie zakrawają na ironię. Toć dziś jest więcéj akuszerek, niż przewiduje to projekt, a przecież projekt został obmyślany dla poprawy stosunków. Jeśli projekt wejdzie w życie, akuszerka tylko w najbliższéj może nieść pomoc okolicy, dalsze będą jej pomocy pozbawione, najprędzéj zaś zawsze będzie zajęta szpitalem, i posada jej będzie taką samą synekurą, jak lekarza, który, mówiąc nawiasem, prócz swych zwykłych czynności musiałby być obecny przy 117 porodach nieprawidłowych rocznie.

Pomijam już to, że według projektu płockiego akuszerką ma być... siostra zgromadzenia Ś-téj Elżbiety, gdyż dotąd o uzdolnieniu

sióstr tych w tym kierunku nic nie słyszeliśmy, a należytą pod tym względem odprawę prejektowi dał dr. Hewelke w swej krytyce; chodzi mi teraz o stosunek liczebny, wobec którego cała pomoc akuszeryjna jest fikcyą.

Bliżej prawidłowego rozstrzygnięcia kwestyi stoi projekt lekarzy lubelskich i projekt d-ra Lewińskiego. Żądają te projekty ustanowienia tylu posad babek, ile jest okręgów lekarskich. Ponieważ okręg obejmuje 3 — 4 gmin, babka musi całą ludność tych gmin obsłużyć. Ponieważ gmina obejmuje 7782 mieszkańców, a na każdy tysiąc mieszkańców wypada po 33 porody rocznie, na jedną gminę przeto wypadnie 255,2 porodów, a na 3 gminy 765,6, czyli przecięciowo po 2 porody dziennie; jeżeli okręg obejmować ma 4 gminy, liczba porodów; naturalnie będzie jeszcze większa. Wobec rozległości okręgu wątpliwą jest rzeczą, aby jedna babka mogła nawet połowie dać radę, i dla tego bardziej skłaniałbym się do projektu lekarzy łódzkich, który żąda, aby w okręgu było 3 — 4 babek, czyli 1 babka na gminę. Ponieważ obszar gminy jest stosunkowo niewielki, babka może obsłużyć dokładnie swój teren.

Co to są jednak babki i jaka różnica zachodzi między niemi a akuszerkami. Akuszerka musi skończyć 4 klasy i przez dwa lata studyować akuszeryę w instytucie położniczym warszawskim, poczém składa odpowiednie egzamina, ma więc dokładne wiadomości ze swéj specyalności i zupełnie może zastąpić lekarza w porodzie prawidłowym; naturalnie, operacyi dokonywać nie może. Babki rekrutują się z inteligentniejszych kobiét wiejskich, przysyłanych do instytutu przez gminy, pozostają one w instytucie przez 6 miesięcy i tu dokładnie obznajmiają się z pielęgnowaniem rodzących i położnic, po ukończeniu nauki otrzymują prawo pielęgnowania położnic po wsiach, jeśli poród jest prawidłowy. Poród jest sprawą fizyologiczną, w stosunkowo niewielkiéj liczbie wypadków, szczególniéj u zdrowych kobiet wiejskich, zachodzi potrzeba interwencyi lekarskiéj, dlatego téż babka dobrze wytresowana może wystarczyć, a nawet na razie wystarczyć musi, gdyż tak wielkiéj liczby akuszerek nie posiadamy. Jedną należało by wprowadzić restrykcyę, że babka co $^1/_2$ roku winna przed lekarzem okręgu zdawać egzamin, któryby wykazał, czy nauk wyniesionych z instytutu nie zapomniała; w razie zauważonnych braków, winna być usunięta od czynności. Niezależnie jednak od 3 babek, t. j. po jednéj w każdéj gminie, uważałbym za konieczne jedną mieć akuszerkę w okręgu dla porodów cięższych, lub dla powikłanych połogów, zmniejszyło by to pracę lekarza w tym kierunku. Położnica gorączkująca wymaga umiejętnéj i stałéj

opieki, opiekę tą według wskazówek lekarza miałaby nad choremi okręgu akuszerka.

Jeden tylko projekt łódzki przeznacza pomoc akuszeryjną bezpłatną dla wszystkich, inne biednych mają tylko na względzie, zgodziłbym się raczéj na projekt łódzki i udostępniłbym pomoc babek dla wszystkich, pomoc zaś akuszerki i lekarza winna być bezpłatną tylko dla tych, którzy świadectwo ubóstwa posiadają.

W głównych zarysach przedstawiłem projekty w oświetleniu potrzeb prawdziwych ludności, z tego zestawienia widzimy, iż z pewnemi uzupełnieniami co do aptek i pomocy akuszeryjnéj najlepszy jest projekt warszawski, inne jak łódzki i lubelski dają zbyt małą liczbę łóżek szpitalnych, a płocki i kielecki raczéj za szkodliwe, niż pożyteczne dla ludności uważać należy.

A jednak mówią o wprowadzeniu ich w życie. Jest to błąd wielki, reforma w tak ważnéj sprawie powinna być odrazu możliwie najlepsza, aby nie zdyskretować instytucyi, próby wszelkie uważać należy za szkodliwe. Ludności dać trzeba odrazu taką pomoc, aby była z niéj zadowolona. Praktyka w najlepszym projekcie wykaże jeszcze braki, ale w każdym razie będą one mniéj rażące w projekcie np. warszawskim, niż w płockim.

Ogólnie jednak biorąc, projekty wszystkie dają pożądany postęp w organizacyi pomocy lekarskiéj dla ludu — gdyż dotąd brak jéj, jak wiémy, zupełnie.

Rodzi się teraz pytanie, czy liczba lekarzy praktykujących w Królestwie, która jak wiemy już jest wogóle małą, wystarczy dla wprowadzenia szerzéj pomyślanéj reformy.

Na to pytanie odpowiedzieć należy cyframi. Jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy projekt d-ra Lewińskiego, widzimy, iż dla obsadzenia wszystkich miejsc trzeba będzie 45 lekarzy okręgowych, 21 miejskich i 8 szpitalnych, razem 74. Nie licząc lekarzy, mieszkających w miastach powiatowych, praktykuje obecnie w miasteczkach i osadach gubernii warszawskiéj 71 lekarzy, liczba więc ta wystarczy zupełnie dla obsadzenia wszystkich posad.

Ponieważ szpitale większe na prowincyi będą w miastach większych, obliczać będę potrzebną liczbę według modły gubernii warszawskiéj na wszystkich wogóle lekarzy mieszkających w gubernii bez miast gubernialnych; będą to cyfry tylko przybliżone, ale téż takie są mi potrzebne. Dla gubernii piotrkowskiéj również lekarzy nie zbraknie, na 74 bowiem miejsc jest 84 lekarzy, praktykujących po za Łodzią (por. Tabl. II-gą), w gubernii radomskiéj już lekarzy zbraknie, podobnie jak w innych guberniach. Gdyby przyjąć, że wogóle potrzeba będzie 740 leka-

rzy na Królestwo, należałoby zająć dla reformy wszystkich praktykujących po za miastami gubernialnemi lekarzy i zbrakło by jeszcze około 200. Téj cyfry brakującéj dostarczyłaby, bezwarunkowo z korzyścią dla siebie, Warszawa.

Wskazałem wyżéj przyczyny, dlaczego lekarze nie chcą opuszczać Warszawy; z chwilą, gdy reforma usunie te przeszkody, o jakich wspominałem, lekarze podążą na posterunki, z pewnością będzie nawet więcéj kandydatów niż miejsc. Obliczyłem zresztą zbyt szeroko, liczbę bowiem lekarzy w pojedyńczych miejscowościach do liczby ludności stosować należy i, jeżeli to weźmiemy pod uwagę, to, biorąc stosunek taki, jak w gubernii warszawskiéj: 1 lekarz na 17,942 ludności, wypadłoby 480 lekarzy na Królestwo. Ponieważ wszystkie projekty przewidują, że biedni stanowić mogą około 25% ogółu ludności, wypadłby 1 lekarz na 4485,5 ludności niezamożnéj, czyli że lekarzy na razie byłoby dla niezamożnych dość. W całém Królestwie 1 lekarz wypada na 5,953 ludności, czyli postęp byłby wyraźny. Naturalnie, cyfra 480 jest zbyt mała, 740 zbyt wielka, w każdym jednak razie uczą nas one, że możemy już dziś, nie obawiając się o brak lekarzy, do reformy przystąpić.

Zresztą reforma nie będzie wprowadzona odrazu w całym kraju, a stopniowo w ciągu lat kilku, uniwersytet warszawski corocznie kilkudziesięciu lekarzom wydaje dyplomy, wkrótce więc nietylko wszystkie okręgi będą obsadzone, ale starczy lekarzy dla nowych okręgów, o ile okażą się potrzebne.

Wobec tego naturalną jest rzeczą, że niepotrzebnie byłoby myśléć o obsadzaniu miejsc przez lekarzy, nie pochodzących z Królestwa, byłoby to nawet dla reformy szkodliwą rzeczą, gdyż lekarz wiejski znać musi obyczaje ludności, nawyknienia, a przedewszystkiém język, inaczéj cała działalność jego będzie unicestwiona. Przy obsadzaniu miejsc bezwarunkowo miejscowym lekarzom, obeznanym z okolicą, dać należy pierwszeństwo, brak dopiéro dopełniać lekarzami z Warszawy należy.

Przechodzę do trzeciego pytania: o ile potrzebni są w nowéj organizacyi felczerzy?

Kilka lat temu redakcya „Kroniki lekarskiej" rozesłała kwestyonaryusz do lekarzy prowincyonalnych w kwestyi położenia materyalnego na prowincyi. Z odpowiedzi wysnuć się dawał jeden wniosek: jest źle, a że jest źle, przyczyną rozpanoszony na prowincyi felczeryzm. Skoro lekarz chce się osiedlić w miejscowości, gdzie praktykuje felczer, ten ostatni wszelkich dokłada usiłowań, aby pozbyć się konkurenta, a ucieka się do tego rodzaju broni, którą walczyć lekarz nie może. Stąd też lekarze na prowincyi wogóle małe mają zarobki, choć liczba jest ich mała. Przedewszystkiém więc główną zasadą reformy winno być nie

wzmacnianie żywiołu felczerskiego, a raczéj zupełne usunięcie z pola działalności.

Czém jest właściwie felczer?—wykształceniem nie odpowiada on zupełnie temu, co we Francyi nazwano *oficier de santé*, ani galicyjskiemu chirurgowi. Po kilkoletnim pobycie w razurze, gdzie wprawia się w wyrywanie zębów, stawianie baniek, a głównie w strzyżenie i golenie, posyłają praktykanta na kilka miesięcy do szpitala, gdzie również tylko spełnia te ostatnie czynności. Krótkotrwały pobyt w szkole kończy się tytułem felczera młodszego, który może zastępować w razurze starszego felczera, ale razury nie ma prawa otwiérać, dopiéro po rocznéj lub więcéj praktyce na oddziale szpitalnym może ten stopień otrzymać. Felczer uczy się początkowych zasad ratownictwa oraz dozorowania chorych, nigdy zaś do samoistnéj praktyki nie był upoważniany przez prawo, ani téż odpowiednich nauk nie studyował. A jednak właśnie to po wierzchu tylko poznanie kilku nauk lekarskich ośmiela go do próbowania sił swoich w praktyce, najczęściéj ze szkodą dla chorych. Reforma zatém, chcąc miéć pomoc dla ludu racyonalną, pozbyć się raczéj, niż popierać felczeryzm powinna. Wszystkie czynności felczerskie powoli przestają być jego specyalnością. Dawniéj lekarze nie opatrywali ran, dziś dla zachowania zasad antyseptyki czynią to sami; golenie i strzyżenie przeszło stopniowo do fryzyerów, pozostaje więc dozorowanie chorego i stawianie baniek i pijawek. Na to jednak zbyteczną jest rzeczą kończyć szkołę felczerską, kilkomiesięczna praktyka w szpitalu wystarcza. Wyłom w pojęciu o konieczności pomocy felczera dla chirurga zrobiło Pogotowie ratunkowe w Warszawie, za wpływem lekarzy-założycieli usunięto felczerów, a natomiast przyjęto t. zw. sanitaryuszów, którzy po kilku dniach w zupełności są w stanie zastąpić felczera; instytucya, jak wiemy, rozwija się, a na jéj pomoc nikt się dotąd nie skarżył. Toż samo powinno być i w ambulatoryach oraz szpitalikach. I dlatego z prawdziwą radością wyczytałem w projekcie warszawskim, że lekarz ma do pomocy felczera lub osobę, którą sobie do pomocy wykształcił. Rozstrzyga to kwestyę odrazu, gdyż taki pomocnik—dozorca chorych, zależny od lekarza, spełniać będzie tylko jego zalecenia i do samoistnego leczenia nie ośmieli się.

Zatém instytucyę felczerów za zbyteczną dla reformy uważać należy, a zarazem szkodliwą. Felczer, jako anachronizm, zniknąć powinien oddawna, dlatego téż szkołę felczerską zamknąć należy i znieść tytuł felczera, ci, którzy są, powoli zajmą się czém innem, lub w ostateczności będą w charakterze dozorców pracować w szpitalach, a miejsce ich zajmą dozorcy chorych, przygotowani przez samych lekarzy.

To powinno być zadaniem reformy i, jeśli na razie będą jakiekolwiekbądź trudności, wkrótce ustaną, a rzecz sama zyska na téj zamianie. Lekarzy, jak widzieliśmy, wystarczy tymczasem na obsadzenie okręgów lekarskich, stwarzanie im konkurentów szkodliwych dla chorych nie leży chyba w interesie ogółu.

Natomiast na rozszerzenie zasługują instytucye akuszerek i babek. Różnice między niemi wyjaśniłem już wyżéj, obecnie wskazać tylko muszę na sposób wykształcenia ogromnéj liczby potrzebnych babek — należałoby w tym celu zmusić już dziś gminy do liczniejszego wysyłania kobiét na naukę do instytutu warszawskiego. Co się tyczy powiększenia liczby akuszerek, uczynić to można tylko, ułatwiając im naukę, przyjmując do instytutu darmo, a nawet przeznaczając stypendya. Na razie brak się okaże, skoro jednak akuszerki wiedzieć będą, że po skończeniu otrzymają miejsca dające utrzymanie, liczba uczennic zwiększy się niewątpliwie.

Jakikolwiek będzie personel niższy, winien być bezwarunkowo zależny w zupełności od lekarza, wymaga tego karność i punktualność w wypełnianiu czynności, za to znów lekarz musi być odpowiedzialny za czynności swego personelu.

Wobec tego, co powiedziałem powyżéj, systemat organizacyi przedstawia mi się w sposób następujący:

1) Pomoc dla ludności wiejskiéj:

a) Podział gubernii na okręgi lekarskie, obejmujące na razie 3—4 gmin.

b) W okręgu jest szpitalik na 5 lub więcéj łóżek. Zarządza nim lekarz, który obowiązany jest leczyć chorych w szpitaliku, przyjmować codziennie chorych w ambulatoryum, wyjeżdżać tylko do ciężkich porodów, 3 razy do roku szczepić ospę.

c) Przy szpitaliku jest apteka sielska pod zarządem aptekarza, obowiązana wydawać biednym lekarstwa darmo, innym po cenie kosztu.

d) Do pomocy lekarz ma dozorcę i dozorczynię chorych, lub felczera oraz akuszerkę, prócz tego w każdéj gminie jest babka.

e) Wszelkie porady w ambulatoryum udzielają się tylko ludności niezamożnéj, leczenie w szpitalach jest dostępne dla wszystkich.

2) pomoc dla ludności miejskiéj polega na tém samém z tą różnicą, iż, zgodnie z projektem d-ra Lewińskiego, szpitaliki przy ambulatoryach otwierają się tylko tam, gdzie niema szpitali; tam, gdzie są szpitale, urządzają się przy nich ambulatorya. Miasta z ludnością poniżéj 10,000 mają 1 lekarza, powyżéj 10,000—15,000 2 i t. d.

3. Szpitale większe, przytułki.

Prócz szpitalików okręgowych i wiejskich powinny być urządzone szpitale większe w każdém mieście powiatowém. Szpitale muszą miéć oddziały 1) dla chorych wewnętrznych, 2) dla chorych chirurgicznych, 3) dla chorych ocznych, 4) dla chorych umysłowych (pobyt czasowy), 5) dla chorych wenerycznych i 6) oddział dla rodzących.

Na całą gubernię w odpowiednich miejscowościach utworzyć należy nadto a) sanatoryum dla suchotników w stosunku 1 łóżko na 25.000 ludności, b) przytułek dla nieuleczalnych w stosuku 1 łóżko na 10,000 ludności, c) dom wychowawczy na 50 dzieci.

Punkt pierwszy i drugi projektowanéj reformy wobec tego, co powiedziałem powyżéj, nie wymaga wyjaśnień, natomiast muszę uzasadnić żądanie utworzenia sanatoryów, przytułków i domu wychowawczego.

Potrzebę sanatoryów dla suchotników odczuwają dziś wszyscy. Ostatnie wyniki wiedzy przekonały, że suchoty są uleczalne, jeżeli chorego postawimy w odpowiednie warunki, warunkami zaś temi są: dobre powietrze, pozbawione pyłu, obfite pożywienie. W tych warunkach chorzy poprawiają się znakomicie. Przez dobre powietrze rozumiemy powietrze lasu sosnowego, obfitujące w ozon. Takich warunków wszędzie stworzyć nie można, ale prawie w każdéj gubernii Królestwa da się znaleźć większą przestrzeń leśną, która do stworzenia sanatoryum nadawać się będzie. Dziś suchotnicy leczą się w szpitalach — szpital jednak dla nich z powodu braku właściwego powietrza jest często tylko domem przedpogrzebowym, niepotrzebnie tam zabiérają miejsce innym chorym, męcząc zresztą współtowarzyszy dniem i nocą ciągłym kaszlem. Oddzielić ich stanowczo od innych chorych należy, a zarazem postawić w takie warunki, które powrót do zdrowia umożliwią.

Przytułek dla nieuleczalnych jest również potrzebny, a potrzebę jego rozpatrywałem powyżéj.

Za to w żadnym projekcie dotąd nie spotkałem się z ważną kwestyą utworzenia domu wychowawczego.

Potworne sprawy, jakie od pewnego czasu coraz częściéj zajmują sądy, dowiodły dostatecznie, że w całym kraju istnieje proceder pozbywania się dzieci drogą głodzenia, lub śmierci gwałtownéj; moralizowanie w tych razach skutku nie odniesie. Trudność zarobkowania wzmaga coraz więcéj liczbę związków nieprawych i tém samém liczbę owoców tych związków. Ciężar zazwyczaj spada na matkę, która przyciśnięta nędzą pozbywa się dziecka. Ułatwienie tym matkom wychowania dzieci, w czasie gdy najwięcéj wymagają starań, t. do 7-go roku życia, jest obowiązkiem społeczeństwa.

Dotąd na kraj cały posiadamy zaledwo jeden dom wychowawczy w Warszawie, naturalnie wystarczyć on potrzebom nie może, dlatego też należy pomyśléć o zakładaniu nowych w każdéj gubernii. Początkowo zakład taki może być mały, dobroczynność publiczna raz pobudzona niewątpliwie postawi go wkrótce na odpowiednim poziomie, początek jednak zrobić należy i mając sposobność uczynić to trzeba przy organizacyi pomocy lekarskiéj. Niechby tylko po 50 dzieci w każdéj gubernii przyjmowano do domów wychowawczych, a już w części choć naglącéj potrzebie stanie się zadosyć.

Po nakréśleniu ogólnego planu reformy rodzi się kwestya, w jaki sposób pod względem prawodawczym zorganizować reformę?

Jest to kwestya zasadnicza. Gdyby prawodawca określił z góry reformę dla całego kraju, nie uwzględniając potrzeb poszczególnych miejscowości, wyrodziłby się szablon, który tę stronę złą by posiadał, że nie mógłby zadowolnić słusznych wymagań uwzględnienia warunków miejscowych.

Zgóry np. określić obszaru okręgu lekarskiego nie można, powiat jest zbyt wielką jednostką, gmina zbyt małą, innych jednostek podziału administracyjnego nie posiadamy, należy je stworzyć. Powiedziéć, że obszar ma się równać 2, 3, 4 czy 5 gminom nie można, bo zaludnienie gmin jest różne, a przestrzenią wyłącznie kierować się niepodobna, z tego też względu w drodze prawodawczéj powinno być określone tylko *maximum* okręgu lekarskiego, oznaczenie zaś, czy okręg ma mniejszą obejmować przestrzeń, jeżeli w danych warunkach to *maximum* jest zbyt wielkie, pozostawić należy uznaniu władz miejscowych témbardziéj, że zaznaczywszy, iż w okręgu może być jeden lub więcéj lekarzy, prawodawca da możność zmniejszania okręgów.

Władzę zwierzchnią nad instytucyami na teraz, przed wprowadzeniem zupełnego samorządu gminnego, muszą miéć rady dobroczynności publicznéj, a łącznikiem między niemi a pojedyńczemi instytucyami winien być kurator poszczególnych szpitali, instytucyi etc.

Wydawanie świadectw niezamożnym należyć powinno do rad dobroczynności publicznych powiatowych. Naturalnie, o określeniu *maximum* ilości niezamożnych mowy być nie może, określić tylko ściśle należy stopień niezamożności.

Prawo zasadnicze ustanowi zarazem rodzaj podatku na organizacyę, sposób ściągania podatku oraz etaty ogólne.

Co się tyczy sposobu opodatkowania, to projekty dotychczasowe biorą za punkt wyjścia istniejące już podatki i proponują dodatki do nich.

Wyradza to pewną niesprawiedliwość. Słuszną zupełnie jest rzeczą, aby nawet ci, co bezpośrednich korzyści nie odnoszą z reformy, przyczyniali się do jéj utrzymania, ale niesłuszną byłoby rzeczą, aby w tym celu obarczać podatkami przeważnie jedną tylko sferę ludzi, a czyni tak właśnie projekt towarzystwa łódzkiego, proponując aby na 165,000 rubli podatku 66,000 r. płacili właściciele większéj posiadłości; wynikło to z niesłusznego podatku od morgi posiadanéj ziemi. Słuszniejsze już są projekty, żądające ustanowienia dodatków do podatków od podymnego i od patentów, tym jednak sposobem cała masa ludności, nie płacąca bezpośrednich podatków, byłaby usunięta od ponoszenia ciężarów, mimo że ta część ludności, jak np. kapitaliści, posiada nierównie nieraz większą siłę podatkową, niż właściciele ziemscy. Co do tych ostatnich jest dążeniem państwa zmniejszyć o ile można ciężar podatkowy, obarczający ziemię, gdyż i tak dochodność ziemi upada. Zresztą, podatek taki musiałby wziąć pod uwagę nie tylko przestrzeń, ale i gatunek ziemi, co spowodowało by niepożądane komplikacye.

Jedném słowem projekty dotychczasowe mają tę wadę wspólną, że nie pociągają do podatku całéj ludności, ale część i to tę właśnie, która z reformy nie korzysta. Należy więc zwrócić się do innego typu.

Typem takim może być uchwalony dla Warszawy podatek szpitalny, rozszerzony w ten sposób, iż płacić go mają bez wyjątku wszyscy; za zupełnie biédnych płaciła-by gmina, któraby w postaci podatku dodatkowego niedobór ściągała od swych obywateli.

Określenie wysokości podatku leczniczego jest najtrudniejszą w téj sprawie rzeczą. Według dotychczasowych projektów wypada na głowę około 6—14 kop., czyli np. na rodzinę złożoną z 6 osób wypadłoby 36—84 kop. rocznie, najprostszą naturalnie będzie rzeczą, aby podatek wnosili tylko pełnoletni. Ponieważ projektowane reformy obliczają skąpo i nie uwzględniają takich rzeczy, jak dom wychowawczy, a większość i przytułków dla nieuleczalnych, zdaje mi się, że podatek podnieść wypadnie i oznaczyć go na rs. 1 od głów rodzin i pełnoletnich. Przypuszczalnie z tego źródła na 8 milionów ludności wpłynęłoby przynajmniéj 3 miliony rubli rocznie [1]), za tę sumę organizacyę w najszerszym zakresie przeprowadzić można.

Pozostaje kwestya etatów i związanych z tém praw powołanych do służby lekarzy. Dotąd mówiliśmy o ich obowiązkach, muszę więc

---

[1]) W Warszawie przy 600,000 mieszkańców wpływa z podatku szpitalnego około 200,000 rocznie, t. j. że płaci podatek $^1/_3$ część ludności, choć wiele warstw społecznych od podatku zwolniono.

słówko prawom lekarzy poświęcić. Różne pod tym względem panują poglądy: jedni chcą, aby lekarzy wybierała gmina, inni przekazują to gubernatorom, inni jeszcze żądają czasowych prób. Zdaje mi się, że wogóle projekty pod tym względem grzeszą nieznajomością przepisów. Lekarz musi być mianowany drogą zwykłą, gdyż z chwilą reformy prawa zasadnicze nie ulegną zmianie, mianuje więc go urząd gubernialny, a zatwierdza ministeryum. Przedstawiać zaś musi lekarza rada powiatowa dobroczynności publicznéj.

Cokolwiek bowiem pisano w téj kwestyi, rzeczą jest jasną, że zależność lekarza od gminy zrodziłaby setki trudności i spowodować nawet by mogła bezowocność reformy. Zarząd gminy, z nieoświeconych częstokroć składający się jednostek, wprost dla uniknięcia wydatków zrywałby ciągle umowy z lekarzami, aby zniechęcić ich do obejmowania posad. Smutne doświadczenie lekarzy ziemskich w Cesarstwie winno być nauką.

Reforma zresztą winna ściągnąć możliwie najlepsze siły lekarskie, takie zaś mogą się znaleść tylko wtedy, gdy posady lekarskie będą miały cechy trwałości i gdy lekarzowi przysługiwać będą prawa służby państwowéj, a więc przedewszystkiém emerytura. Można zgodzić się z niektórymi projektodawcami, że są lekarze, którzy do leczenia ludu nie nadadzą się, ale i na to jest środek, przez czas pewien 1, 2 lata lekarz może być mianowany tylko pełniącym obowiązki i dopiéro po tym czasie może być w razie wykazania zdolności mianowany na stałe.

Obawy tych, co boją się stałych lekarzy-urzędników są płonne, toć chyba na urzędników-ordynatorów szpitali nikt się z ludności nie uskarża. Toć przecież i urzędnika, nie spełniającego obowiązków, można usunąć, ale stanie się to wtedy, gdy przestępstwo istnieje, nie zaś dla czyjéjś fantazyi.

Wynagrodzenie lekarza musi być takie, aby wystarczało na utrzymanie, a wobec tego, że awansu właściwie z posad nowych niema, należałoby przewidzieć podwyżkę. Zdaje się, że pod tym względem potrzebną pensyę określa najlepiéj towarzystwo łódzkie na 850 rub. rocznie, dodać do tego jednak należy mieszkanie; co lat kilka 3 — 5 powinna następować podwyżka pensyi, aby lekarz po latach 12 mógł dojść do *maximum* 1,500 rub. rocznie. Od połowy téj ostatniéj sumy liczyłaby mu się emerytura po latach 35.

Zadanie lekarzy jest wogóle tak ciężkie, że przy sumienném wypełnianiu obowiązków nie wiele im zostanie czasu na praktykę prywatną. Nie należy zresztą w interesie instytucyi zachęcać lekarzy do szukania zarobków postronnych, ale, płacąc pensye wystarczające na utrzymanie, żądać sumiennego spełniania obowiązków.

Wysokość pensyi powinna normować się obowiązkami oraz stopniem naukowym. Lekarz jest ze stopnia urzędnikiem VIII klasy, pensya więc jego nie powinna być niższą od pensyi w innych gałęziach pracy, w administracyi klasa ta daje pensyę do 1,000 rub., w sądownictwie pomocnik sekretarza izby sądowéj bierze 850 rubli, czemuż ma być lekarz wyjątkiem? Praca lekarza jest cięższa, naraża go częstokroć na utratę zdrowia i życia, musi być więc odpowiednio wynagradzana. Dawna zasada, że lekarz zarobić może po za pensyą na utrzymanie, chyba powinna być, jako niezgodna z rzeczywistością, zarzucona.

Odpowiednie pensye należy również wypłacać akuszerkom, dozorcom, ewent. felczerom.

Wobec tego, co powiedziałem powyżéj, prawo organizacyi pomocy lekarskiéj dla biednych powinno określić:

1) wysokość i jakość podatku na cele pomocy lekarskiéj;
2) maksymalną przestrzeń i liczbę ludności okręgu lekarskiego;
3) rodzaj systemu pomocy;
4) obowiązki i prawa personelu;
5) typ najmniejszego szpitala.

Upoważnić zaś rady dobroczynności gubernialne:

1) do zwiększania w miarę potrzeby liczby okręgów;
2) do zakładania przytułków i domów wychowawczych;
3) do powiększania liczby łóżek w szpitalach i szpitalikach w miarę potrzeby.

Na zakończenie pracy niniejszéj postaram się ułożyć budżet ogólny pomocy lekarskiéj dla ludności niezamożnéj Królestwa, biorąc pod uwagę te żądania, które wyłuszczyłem powyżéj.

Nie może to być budżet ścisły, ale raczéj próba ułożenia budżetu, zbliżająca się do rzeczywistości.

Jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy projekt dla gubernii warszawskiéj, to widzimy przedewszystkiém, że dla przeprowadzenia organizacyi na tę gubernię potrzeba 74 lekarzy, mianowicie 45 dla pomocy na wsiach, 21 w miastach i 8 w celu zwiększenia personelu szpitalnego.

W myśl tego, co wyżéj powiedziano, przy każdym okręgu, a w miastach przy każdém ambulatoryum powinna być jedna akuszerka, czyli na gubernię warszawską 66 akuszerek, prócz nich zgodnie z projektem łódzkim w każdéj gubernii winno być 151 babek wiejskich gminnych. Ilość służby niższéj normować należy według liczby lekarzy, obliczając po 2 osoby na 1 lekarza, czyli dla gubernii warszawskiéj 148.

Jeżeli cyfry powyższe pomnożymy przez liczbę gubernii w Królestwie, otrzymamy, że liczba lekarzy na całe Królestwo, potrzebna do

przeprowadzenia organizacyi, wynosić powinna, 740, akuszerek 660, babek 1510 i służby niższéj 1,480.

Pensyę lekarską należy unormować według projektu łódzkiego, jedynie racyonalnego w tym względzie, a więc na rubli 850 rocznie, nadto wyznaczyć należy fundusz oddzielny na mieszkanie w kwocie 150 rubli, tym sposobem 740 lekarzy otrzyma 740,000 rubli rocznie. Pensya akuszerki, prócz mieszkania w naturze, co najmniéj 300 rubli wynieść powinna, wydatek więc na nie w Królestwie będzie 198,000 rubli; natomiast z uwagi, iż babki mieszkają w gminach i współcześnie zajmować się mogą czém innem, wynagrodzenie rubli 100 na rok uważam za zupełnie wystarczające, czyli na całe Królestwo wydatek na babki wyniesie 151000 rb. Toż samo wynagrodzenie wystarczy dla służby, któréj nadto dać należy mieszkanie w naturze i utrzymanie; obliczając to ostatnie na 20 kop. dziennie, koszt utrzymania służby wraz z pensyą wyniesie (148000+108040) 256040 r.

Liczbę łóżek, ewentualnie dni szpitalnych, unormować należy zgodnie z projektem warszawskim, który na 1,317,311 mieszkańców przewiduje, obok istniejących już 91,980 dni szpitalnych, rocznie 123,735 dodatkowych, razem 215,717 dni szpitalnych rocznie, czyli po 1 dniu szpitalnym na 6,1 mieszkańców. Biorąc pod uwagę ten ostatni stosunek na 8,512,958 mieszkańców Królestwa, wypadnie 1,395,537 dni szpitalnych rocznie.

Według wykazów dotychczasowych 1 dzień szpitalny kosztuje 50 kop., całość więc wyniesie 687,768,5 rubli rocznie.

Wszystkie projekty obliczają koszt lekarstw dla chorych niezamożnych, zgłaszających się do ambulatoryów na 200—250 rubli, czyli, licząc przeciętnie lekarstwo po kop. 20, obliczają, iż liczba lekarstw wydanych w ciągu roku nie przeniesie 1000—1250, cyfrę tę co najmniéj podwoić należy i zgodnie z projektem lubelskim do 500 rubli rocznie podnieść, co na 600 ambulatoryów wyniesie 330,000 rubli rocznie.

Pozostaje kwestya najmu lokali. Suma ta przez czas dłuższy obciążać będzie budżet, nim z remanentów powstanie fundusz budowlany.

Lokal na szpitalik — ambulatoryum zawierać musi 3 izby na umieszczenie 5 łóżek (oddział męski, kobiecy i pokój izolacyjny), gabinet lekarski, ambulatoryum, pokój dla wanny, pralnię, pokój dla akuszerki, pokój dla służby i kuchnię —razem 9 izb i kuchnię, takiego pomieszczenia za mniejszą, niż 300 rubli rocznie, cenę znaleźć niepodobna nawet w osadzie, koszt więc 660 takich lokali wyniesie 198,000 rubli rocznie.

Na kancelaryę wreszcie przeznaczam rb. 50, na 1 ambulatoryum, czyli na 660 ambulatoryów 33,000 rubli.

Prócz tego, jak już wiemy, pomoc polegać musi na utworzeniu: a) sanatoryów dla suchotników, b) przytułków dla nieuleczalnych i c) domów wychowawczych.

Liczbę pierwszych przyjąłem w stosunku 1:25000 ludności czyli na Królestwo całe 340 łóżek (bez Warszawy), innemi słowy 124100 dni szpitalnych, obliczając dzień szpitalny (żywność, lekarstwa, personel) po rb. 1, wypadnie 124,100 rubli rocznie. Liczbę łóżek w przytułkach należy oznaczyć wedłng projektu łódzkiego w stosunku 1:10000, czyli na 850 łóżek a więc 276000 dni szpitalnych; licząc dzień szpitalny w przytułku (koszt dozoru i żywności) na 60 kop. dziennie, wypadnie 165,600 rubli rocznie.

Wreszcie, stosownie do powyżéj podanych żądań, należałoby utworzyć po 50 miejsc na gubernię, czyli 500 miejsc na Królestwo w domach wychowawczych, wyniesie to 182,500 dni wychowawczych; obliczając koszt dnia, jak w przytułkach, po kop. 60 wypadnie 109,500.

Zbierzmy teraz odnośne dane w tablicę.

1)	740 lekarzy po 1000 rubli	740,000	rubli
2)	660 akuszerek po 300 rubli , ...	198,000	"
3)	1510 babek po 100 rb.	151,000	"
4)	1480 służby szpitalnéj po 100 rubli i utrzymanie	256,040	"
5)	Utrzymanie chorych w ciągu 1,395,538 dni szpitalnych . .	687,768	"
6)	Koszt lekarstw dla 660 ambulatoryów po 500 rubli . . .	330,000	"
7)	660 lokali na szpitaliki-ambulatorya po 300 rubli	198,000	"
8)	Na kancelaryę po 50 rb.	33,000	"
9)	Utrzymanie sanatoryów dla suchotników, 340 łóżek czyli 124,100 dni szpital. po rublu	124,000	"
10)	Utrzymanie 850 miejsc w przytułkach, czyli 276,000 dni szpitalnych po 60 kop.	165,600	"
11)	Utrzymanie 500 wychowańców domów wychowawczych, czyli przez 182,500 dni po 60 kop.	109,500	rubli
	Razem . .	2,995,008	rubli

Cała zatém reforma w najszerszym zakresie kosztować będzie rocznie niespełna 3 miliony rubli, czyli summę, którą można, jak zaznaczyłem, z łatwością uzyskać z podatku pogłównego, widzimy zatém, że niemożebności finansowéj, ani innych niema i że reforma może być wprowadzona bez trudności.

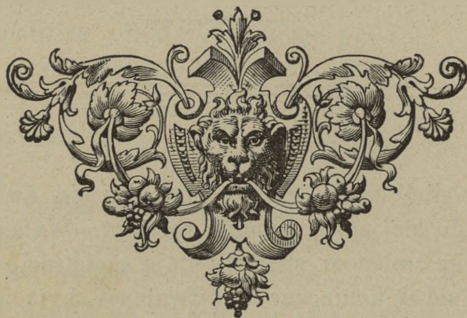
Całoroczny podatek z pierwszego roku przeznaczyć należy na budowle oraz urządzenia lekarskie i gospodarcze, przez co budżet roczny

zmniejszy się i remanent pozostały może być używany na wznoszenie nowych szpitali i rozszerzenie już istniejących.

Nie na tém wszelako skończyć się reforma powinna. Obok kwestyi leczenia należałoby gruntownie zreformować służbę sanitarną w Królestwie. Ogólne pod tym względem uwagi wypowiedziałem już na początku artykułu, szczegóły wymagają wszakże omówień dalszych. Z powodu i tak już wielkiéj objętości artykułu, tę stronę reformy rozpatrzę w jednym z artykułów następnych, w którym również zwrócić muszę uwagę na potrzebę reorganizacyi instytucyi lekarzy sądowych.

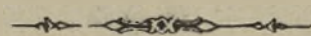
W artykule niniejszym chodziło mi przedewszystkiém o wyjaśnienie braków stanu obecnego i podanie sposobu zaradzenia złemu w myśl istotnych potrzeb, chodziło mi również o zbicie błędnych i nie opartych na znajomości potrzeb miejscowych projektów, które szkodę raczéj, niż pożytek, przynieść by mogły, gdyby weszły w życie.

Dr Józef Zawadzki



Społeczne podstawy Prawa i Państwa.

Dokończenie [1]).



VII.

Wojna i podbój bardzo często przyśpieszają ewolucyę plemienia i wprowadzają do niéj nowe czynniki rozwoju. Walka wewnętrzna ulega wtedy wielkim zmianom, stosunki stają się bardziéj złożonemi, nowe przystosowania się są konieczne do utrwalenia bytu grupy. Jedynym środkiem złagodzenia walki między grupami społecznemi pierwotnych plemion jest przeniesienie na grupę zwyciężoną jak największéj sumy przykrości i bólu, dla własnéj korzyści. Już porywanie kobiét daje, w porównaniu z ludożerstwem, stalsze korzyści i już bardzo wcześnie powstają dwa przystosowania się łagodzące skutki zwycięstwa: zawłaszczenie kobietami zwyciężonego pokolenia i zachowanie dzieci zwyciężonych w domu do pracy niewolnéj. W miarę rozwoju produkcyi—pasterskiéj, ogrodniczéj i rolnéj—przy nadmiarze ziemi, prawdziwém bogactwém jest niewolnik. Obecność wielkiéj liczby niewolników w grupie społecznéj wzmaga jednocześnie potrzebę silnéj władzy.

---

1) Patrz „Ateneum", zesz. listopadowy r. b. str. 304.

Zdobywcy zwalniają się od ciężkiéj pracy, a rasa wychowana od dziecka w niewoli, do niéj przywyka i z nią się zrasta. Zjawiają się wyprawy wojenne z wyłącznym celem pozyskania niewolników — polowania na ludzi.

W państwach potężnych część niewolników pozostaje pod władzą panującego; on jest najbogatszym ich posiadaczem i niewola staje się instytucyą prawa publicznego, podstawą organizacyi socyalnéj. Państwo w téj epoce jest to grupa ludzi wolnych, złączonych celem spokojnego eksploatowania własności niewolników. We wszystkich despotycznych państwach wschodnich i w wielu klasycznych liczba niewolników jest większa od ilości wolnych, którzy panują tylko dzięki swéj organizacyi politycznéj i wojskowéj, sile i odwadze. Część niewolników służy także w wojsku, korzysta z hojności wolnych. Prawa uświęcone wolą przodków lub bogów utrwalają ten stan rzeczy; niewolnik staje się rzeczą, obiektem prawa, a prawo własności człowieka nad człowiekiem w świecie starożytnym uważa się za tak święte, że nawet Tyberyusz nie ośmielił się usamowolnić niewolnika rzymskiego bez pozwolenia jego pana.

Przystosowanie się jednak człowieka do roli rzeczy, bydlęcia, nigdy nie jest zupełném. Historya ludów, których organizacya społeczna była oparta na niewoli, daje ciągłe przykłady buntów. Zwyrodnienie obu klas: panującéj i opanowanéj, wolnéj i niewolnéj, jest koniecznością; przystosowanie to jest anormalném i dla tego zawsze dąży do zniknięcia.

Wyższym stopniem przystosowania się w pożyciu wspólném różnych grup socyalnych jest niewola państwowa — helotyzm. Jest to ujarzmienie ludności zwyciężonéj z pozostawieniem jéj na jéj własném terytoryum, przywiązanie jéj do ziemi. Niéma prawie na świecie ludu, który by téj doli nie przechodził. Zwyciężeni obowiązani są do pracy na rzecz zwycięzców—klasy panującéj, nie mają prawa noszenia broni i organizowania się w związki. Pierwszym i najlepszym przykładem w historyi tego przystosowania się jest panowanie Doryjczyków w Peloponezie: Sparta.

Poddaństwo nie zawsze pochodzi z niewoli i jest jéj złagodzeniem. Często ustanowioném ono zostaje przez podbój, jest środkiem pasorzytnictwa „*sui generis*" i może nietylko powstać przez nadużycia klasy rządzącéj, ale z czasem przemienić się nawet prawie w niewolę. Nędza poddanych czyni z nich często niewolników. Najczęściéj poddaństwo powstaje z przemocy klasy wojowników. (Polska, Węgry), i nie jest żadną specyficzną właściwością ludów aryjskich. Spotykamy się z niém w Nowéj Irlandyi, na wyspach Fidzi, Tahiti, Madagaskarze

w Japonii i u Tuaregów. W Europie epoką klasyczną poddaństwa były wieki średnie; źródłem—zalew państwa Rzymskiego przez barbarzyńców. W czasach dobrze już znanych rycerze normandzcy z wolarzami i tkaczami flamandzkimi opanowali Anglię i zmienili wolnych Anglo-Sasów w poddanych.

Prawnie między niewolą a poddaństwem różnica jest ogromna. Poddany sam musi myśléć o swém wyżywieniu się; niewolnik nie zna téj troski, a przy rozsądnym panu a złych warunkach ekonomicznych poddanego, może być od tegoż mniéj głodnym i lepiéj materyalnie zabezpieczonym. Hypokryzya tylko może twierdzić, że los poddanego jest stanowczo i zawsze lepszym od losu niewolnika. I poddany wyradza się, zezwierzęca i wymiéra przedwcześnie; w niektórych krajach poddaństwo było cięższe niż niewola u innych. Ale psychologiczne przystosowanie się do roli niewolnika jest cięższe niż do roli poddanego, bo ten ostatni zwykle zachowuje pewne prawa osoby ludzkiéj: prawo posiadania rodziny, majątku osobistego i czasami zmiany pobytu, a zmuszony sam myśléć o swém utrzymaniu, nie może upaść tak nizko, jak niewolnik. W wiekach średnich, sądzi Vaccaro, kościół pogarszał byt poddanych odrywając uwagę ich od doli na ziemi, obietnicami nagród w życiu przyszłém.

Praca poddanych jest na ogół produkcyjniejsza od pracy niewolników. Nie wyłącza ona nagromadzenia pewnych zapasów; prawo zastrzega poddanemu wolność od nadmiaru złéj woli pana, ogranicza jego samowolę: poddany nie jest rzeczą. Nie mniéj jednak nadużycia średniowiecznego poddaństwa były w niektórych krajach i epokach przerażające. Dla zaspokojenia danin sprzedawano rodzone dzieci, ilość pracy na rzecz pana wzrastała czesto bez granic, i dlatego téż epoki poddaństwa obfitują w bunty, wojny chłopskie i rzezie. Przystosowanie się klasy opanowanéj na drodze poddaństwa nie wydało też zadawalniających rezultatów.

Klasyczną ziemią poddaństwa, podług Vaccaro, była Francya. W VIII w. pan miał prawo przenoszenia ludności z miejsca na miejsce; w X w. poddani posiadają prawa rodzinne i spadkowe, nie mogą być ani sprzedani, ani zapisani testamentem bez ziemi. W XI w. zaczyna się organizacya poddanych w miastach, które powoli, najczęściéj za okupem, zwalniają sie od władzy pana i przechodzą pod bezpośrednią władzę królów. Królowie rozszerzają ich autonomię; przemysł i handel dają im zamożność i bogactwo i tworzy się między klasą panującą a klasą poddanych stan trzeci, w którym humanizm budzi życie umysłowe. Uniwersytety wyswobodziwszy się z pod opieki teologów przedewszystkiem wpływają na podniesienie oświaty wśród mieszczan. Sprzedaż urzędów królewskich i miejskich utrwala wpływ rodzin

mieszczańskich. Rok 1789 daje im udział we władzy politycznéj kraju, a udział ten stan trzeci potrafił wkrótce zamienić na monopol władzy w państwie. Zwolnienie miast od ciężarów, zwiększyło tylko ciężary niezwolnionych, poddanych, wśród których powstały dwie klasy: poddanych posiadaczy ziemi i poddanych bezrolnych, prostych robotników. Wojny i zbytek dworzan zrodziły niesłychaną w dziejach fiskalność. Wśród walki, jaką stoczył lud w XIX w. z klasami uprzywilejowanemi mieszczaństwo było arbitrem, i rozstrzygnęło spór, zagarniając korzyści nowéj organizacyi społecznéj, na swoją wyłączną korzyść.

VIII.

Walka wewnętrzna w grupie sgołeczeństwa ludzkiego złożonego wymaga przystosowania się do jéj warunków zarówno ze strony zwycięzców, jak i zwyciężonych.

Celem każdego podboju jest wyciągnięcie możliwie wielkich korzyści ze zwyciężonych, zagarnięcie dla siebie, jaknajwiększéj ilości przyjemności,—przez włożenie pracy i cierpień koniecznych na zwyciężonych. Aby zwyciężyć, podbić i rezultaty podboju utrzymać, trzeba się do warunków nowych przystosować, zorganizować, być ciągle gotowym do odparcia napaści z zewnątrz i do utrzymania zwyciężonych w posłuszeństwie i uległości wewnątrz. Najodpowiedniejszém do tego celu jest przystosowanie organizacyi wojskowéj do potrzeb organizacyi politycznéj.

Potrzeba zatém, aby zwycięzcy uznali, że poddanie się stałe karności wojskowéj, nawet w czasie pokoju, zapewnia im niewątpliwie korzyści. Nie inaczéj działo się w historyi: wszystkie prawodawstwa zdobywców w większym lub mniejszym stopniu dążą do tego celu. Najpierwszym i najwspanialszym wzorem téj organizacyi była starożytna Sparta. Równość ekonomiczna i polityczna między zwycięzcami jest prawie konieczną; nigdzie jednak, wobec wrodzonéj człowiekowi chciwości, ostać się długo mie mogła; w Sparcie skarb stał się w końcu łupem kilku dostojników, a za czasów Agisa III ziemia była własnością tylko 100 rodzin. Walka o władzę między zwycięzcami musi być otamowaną, musi przybierać formy łagodniejsze, inaczéj panowanie ich jest krótkotrwałem.

W każdym razie i zwycięzcy ulegają zróżniczkowaniu; wyradzają się w kilka stanów i klas społecznych, a pomiędzy temi klasami czy stanami rozwija się walka o władzę polityczną, o wpływ na ekonomiczno-

prawne urządzenie stosunków wewnątrz grupy. Wojny domowe, morderstwa i intrygi polityczne są objawami tych walk, zarówno w despotycznych państwach starożytnego wschodu, jak i w niby ucywilizowanych krajach Europy.

Ile razy walki śród klas panujących przebierały miarę, panstwo stawało się łupem sąsiadów, lub upadało pod naciskiem buntów poddanych. Tylko tam, gdzie walki o władzę były hamowane obawą napaści z zewnątrz, państwo przetrwać mogło pierwociny swego bytu. Umiarkowanie (*temperance*) i kompromisy musiały walki otamować. Naczelnika państwa początkowo wybierano losem, albo obierano, wszędzie jednak powoli wzięła górę zasada dziedziczności, jako najbardziéj odpowiadająca potrzebie stworzenia trwałéj, silnéj i sprawiedliwéj władzy. Uświęcono ją jeszcze pochodzeniem z „łaski Bożéj". Drugim sposobem zapobieżenia walce było obliczenie wzajemne sił walczących przed walką, głosowanie, i oddanie władzy lub wydanie rozporządzenia zgodnego z żądaniem większości, jako mającéj więcéj szans zwycięstwa wrazie walki. Obawa bezrządu i walki wewnętrznéj wywołała szerokie zastosowanie zasady głosowania i rządzenia według życzenia większości. a tylko ambicya i intryga zmieniły tę pokojową metodę walki w rodzaj mistyfikacyi, przez co wojna społeczna czycha dziś za drzwiami wszystkich parlamentów europejskich.

Z walką o władzę polityczną łączy sie ściśle walka o prawo cywilne i karne, jako środki osiągnięcia i zabezpieczenia korzyści, płynących z wyzysku poddanych. Passy twierdzi, że historya nie daje nam ani jednego przykładu, aby pewna klasa społeczna, doszedłszy w państwie do władzy, nie użyła całéj swéj potęgi dla przywłaszczenia sobie na podstawie praw ogólnych, jaknajwiększéj ilości korzyści z krzywdą ogółu.

Stosunki wewnętrzne, prawne, zależą zawsze w każdém społeczeństwie od stosunkowéj potęgi sił walczących i od natury klasy dzierżącéj władzę.

Najpowszechniejszą, najpierwotniejszą i najbardziéj trwałą jest władza stanu wojskowego; wynika ona z natury rzeczy w epokach, w których wojna jest normalnym stanem ludzkości. Dopóki każdy dorosły mężczyzna jest wojakiem, dopóty klasa wojowników nie istnieje. Gdy jednak państwo rozszerzy się tak, że nie potrzebuje na wojnę wzywać wszystkich swych dorosłych obywateli, albo gdy grupa ludzka dokonała podboju i odebrała oręż zwyciężonym, (ta druga geneza stanu wojowniczego jest niezawodnie bardziéj powszechną), wtedy w plemieniu, państwie, czy narodzie powstaje klasa rycerska, która zwykle władzę zagarnia.

Władza pozostaje w jéj ręku nawet potém, gdy wojna ustała, a jeśli jéj z rąk wypadnie, wraca do niéj jak tylko anarchia wewnętrzna lub napaść zewnętrzna grozi społeczeństwu zagładą (Rzym za cesarzów, Francya za Napoleona). Panowanie jéj w swéj treści, jest despotyczne, współudział innych klas w zarządzie nie jest potrzebny i zwykle nie bywa tolerowany. Rząd utrzymuje się systemem grabieży dokonanych na sąsiadach, a w braku ich na własnych poddanych. Jest to stan wojenny „*in potentia*" obfity w czyny samowoli i bezprawia, w łupiestwo prawne, które panujący legalizuje, uprawnia, aby utrzymać przy sobie rycerzy i zachować siłę a z nią i władzę. Uprawniona grabież wewnętrzna zabezpiecza społeczeństwo od grabieży z zewnątrz.

Z natury téż rzeczy władza wojskowa jest obieralna, a nie dziedziczna; łatwo téż wyradza się w szereg burz politycznych i krwawych walk o władzę. Zrodzona z gwałtu, oparta na sile brutalnéj i samowolnéj nie może zerwać całkowicie z tradycyami gwałtu, mordu, i rozboju. Stosunek pasorzytniczy utrzymuje się tylko siłą fizyczną i dla tego przystosowanie takie jest bardzo niedoskonałe.

Inny charakter nosi władza tam, gdzie spoczywa w rękach klasy kapłańskiéj. Klasa ta powstaje z biegiem czasu prawie w każdym cywilizującym się narodzie: zjawia się wiara, że niektóre indywidua pozostają w ściślejszym związku ze zmarłymi i bogami niż reszta śmiertelnych. Strach, jakim napawa dzikiego widok śmierci, i niezrozumiałe katastrofy w przyrodzie, tłómaczą nam i niesłychaną powagę kapłanów, i powstanie ich jako klasy oraz wypadki zagarnięcia przez nich władzy w społeczeństwach pierwotnych. Ze wszystkich rodzajów despotyzmu, despotyzm władzy duchownéj — jest najnieznośniejszy, bo ma siedlisko w sumieniu człowieka. Przyklady najwyższego absolutyzmu mają zawsze charakter religijny. Ale z drugiéj strony cierpienia materyalne, jakie ten system zadaje poddanym, z natury rzeczy są słabsze od cierpień pod władzą kasty wojowników; najsroższemi są cierpienia pośrednie, wynikające z zakorzenienia się przesądu i religijnéj egzaltacyi: władza kapłanów umniejsza społeczną energię, zatraca instynkty realnego życia i tylko powolne zepsucie klasy kapłańskiéj ratuje od upadku ludy podległe teokracyi. Pierwiastkowa czystość obyczajów i jedność kasty kapłańskiéj, znika; zjawiają się sekty, herezye i wewnętrzne walki religijne, a dla utrzymania się przy władzy kasta kapłanów musi wejść w porozumienie z kastą wojowników i z nią władzę podzielić. Taki kompromis, takie przystosowanie się wzajemne dwóch stanów jest tutaj prawie konieczne i prowadzi niechybnie do osłabienia walki wewnętrznéj między rządzącymi.

Panowanie arystokracyi ma być panowaniem najlepszych, najcnotliwszych; w gruncie zaś rzeczy jest panowaniem mniejszości, opartéj na urodzeniu lub bogactwie. Podług słusznego mniemania Vico, wszystkie respubliki pierwotne były arystokratycznemi. Już w hordach są rody i przewodnicy rodów—starsi; stanowią oni radę plemienia. Ta rada to zaród arystokracyi. Dowódcami klanów są zwykle nietylko najstarsi wiekiem, ale najdzielniejsi i najbogatsi. Wojna i domniemane pochodzenie od ubóstwianych przodków dają im przewagę moralną i pod ich wpływem powstają pierwsze czasowe monarchie, które albo wskutek stałych wojen wyradzają się w trwałe autokracye, albo w epokach i w krajach mniéj wojennych—w arystokracyę. Obok arystokracyi z pochodzenia, bardzo wcześnie, tworzą się arystokracye ekonomiczne: rządy bogatych. Bogactwo daje możność rozwoju umysłowego, i rodzi wpływ. Podług Letourneau nie wojna i nie odwaga, ale bogactwo było źródłem szlachty. Każdy bogacz rozkazywał ubogim i tylko bogacze mogli być dowódcami na wojnie. Walka szlachectwa z bogactwem, powstała stosunkowo niedawno; nie istniała ona w starożytności, w któréj warunki dowództwa (zbroja, koń i wóz wojenny) były tylko w posiadaniu bogatych. Bogactwo łatwo łączyło się i zléwało ze szlachectwem, z zasługą i odwagą wojenną. Wszędzie z biegiem czasu obok rodów szlachetnych, arystokracyi rodowéj, powstawały rody bogatych, arystokracya majątkowa, a nie można téż zapominać, że w pewnych epokach historycznych, kiedy bogactwo polegało przeważnie na ilości niewolników, powstawało ono tylko w drodze podbojów i zwycięstw wojennych, i że ta arystokracya, która połączyła w wiekach średnich odwagę wojenną z majątkiem na wojnie zdobytym, arystokracya szabli, była najpotężniejszą i najniesprawiedliwszą ze wszystkich znanych arystokracyi. (?)

Każde plemię zdobywców staje się szlachtą, wyższą pochodzeniem od podbitych i z czasem zagarnia dla siebie władzę nieograniczoną. Każdy podbój rodzi nowe państwo arystokratyczne, a właściwie oligarchiczne, którego jądrem jest wojskowy dowódca plemienia zdobywców. Jeśli podbici cierpliwie znoszą jarzmo poddaństwa, organizacya wojenna powoli zanika; władza polityczna staje się niezależną od klasy wojennéj, rodzą się młodsi bracia i powstają rodziny szlachetne nieposiadające ziemi, cała masa obywateli wolnych, którzy siłą rzeczy stają się antagonistami, dzierżących ziemię oligarchów. Klasa arystokratyczna walczy o nienaruszalność przywilejów, do własności ziemskiéj przywiązanych. Tworzą się trzy nowe źródła uszlachcenia: zbogacenie się, nabycie ziemi i urząd dworski. Szlachta powstaje tylko w epo-

kach barbarzyńskich, sztucznie w narodzie już ucywilizowanym stworzyć jéj niemożna. Doświadczył tego Napoleon I.

Chciwość jest charakterystyczną cechą rządów arystokratycznych; przywileje klasy panującéj wzrastają ciągle i stale. Rząd otacza się wystawną wspaniałością; jest to epoka tytułów, herbów, ceremoniałów i zbytku. Wiecznie w obawie o swą władzę, arystokracya chętnie dzieli się korzyściami z niéj płynącemi ze stanami rycerzy i kapłanów i wchodzi z nimi w kompromisy, przystosowuje się do wymagań obu tych klas. Z czasem zgoda ta wychodzi na złe arystokracyi, chociaż największym jéj wrogiem jest sam postęp. Wiąże się ona z kapłaństwem i dla tego proteguje obskurantyzm, a mimo wszelkich usiłowań i kompromisów, z biegiem czasu przeradza się zawsze w demokracyę, rzadko kiedy w monarchię despotyczną. Jeśli osłabia wojskowość, popada łatwo w anarchię, albo pod władzę obcych. Jak każda mniejszość, arystokracya musi uciekać się do podstępu i nadużycia, co ją naraza na nieuczciwość i pogardę. Wszędzie téż zniknęła zwolna, choć lepsza jest od militaryzmu i teokracyi tém, że ma podstawę szerszą, że godzi w sobie więcéj interesów, wymaga lepszego przystosowania się zwycięzców, czy panujących, między sobą i rządzi za pomocą środków bardziéj ludzkich i łagodnych.

Przewagę polityczną klas ludowych, ich wpływ decydujący na władzę nazywamy demokracyą. W epoce pierwotnéj człowiek nienależący do rodu, do klanu, nie jest człowiekiem, jest z góry umarłym. Z chwilą, gdy potęga rodów upadła, jednostka żyje dla siebie i przez siebie, a dla bezpieczeństwa, jeśli nie należy do familii potężnéj, oddaje się jéj w opiekę zostaje jéj klientem. Ci co zostają po za familiami tworzą plebs, który żyje bez obyczajów, bez praw i bez religii, bez opieki i bez organizacyi społecznéj. Wypędzeni z rodów. nieprawe dzieci, obcy przybysze są zarodkiem téj saméj klasy, do któréj, w społeczeństwach na podboju opartych, należy cała klasa zwyciężonych. Potęga rodzin, patrycyatu, opiéra się na niepodzielności majątku rodzinnego, ale w miarę wzmagania się władzy państwowéj ta silna rodzina staje się niepotrzebną i szkodliwą. Powoli téż upada.

Upadek jéj odbywał się w różny sposób w różnych społeczeństwach. Klienci odrywali się od familii i plebs zwiększa się liczebnie. Rolnicy, z klientów pracujących na rachunek familii, stają się kolonistami na własny rachunek, i dążą do własności ziemskiéj. Jednocześnie wojny wymagają współudziału w nich plebsu, który domaga się udziału w rządzie. Posiadacze bogactw ruchomych, powstałych przez handel i przemysł, chcą też brać udział w rozstrzyganiu spraw ogólnych i wła-

dza pozostająca początkowo w ręku arystokracyi rodowéj, przechodzi w ręce bogatych. Census jest jedyną normą udziału w rządach. Ale klasa bogatych zatrzymuje w swych ręku władzę jeszcze krócéj, niż arystokracya rodowa. Nie ma żadnego charakteru uświęconego tradycyą, bogactwo nie imponuje biédnym, jest dla nich niesprawiedliwością. Plebs atakuje ją téż jeszcze silniéj i zawsze wydziera jéj władzę.

Rządy demokratyczne są najmniej szkodliwe, najmniéj niesprawiedliwe; dążą do dobrobytu większości. Podstawą rządów demokratycznych jest zasada: „dobro publiczne", korzyść ogółu.

Jedynym sprawiedliwym środkiem rządzenia dla Vaccaro jest głosowanie powszechne. Jest to środek potężny. W starożytności, przy pracy niewolników, obywatele państwa mieli czas i możność oznajomienia się z interesami publicznemi, które decydowali, i mieli pewną polityczną dojrzałość, większą niż ją ma lud w państwach dzisiejszych.

Z drugiéj strony zgromadzenia ludowe są zawsze w wysokim stopniu drażliwe, nerwowe, nieodpowiedzialne a wszechmocne, podejrzliwe a niewdzięczne, dążące zawsze do zwolnienia się od wszystkich obowiązków i ciężarów względem państwa z pokrzywdzeniem aż do niesprawiedliwości—bogatych. Prowadzi to koniecznie do wojen domowych, związków bogatych przeciw biédnym i biédnych przeciw bogatym. W Grecyi w czasach jéj upadku, walki te były strasznie zaciętemi. Demokracya wymaga koniecznie pewnéj równości majątkowéj, inaczéj zjawia się walka klas, która niechybnie prowadzi naród do upadku i ruiny.

Prawdziwa demokracya, mimo jéj pozorów, nie istnieje obecnie nigdzie, z wyjątkiem jednéj Szwajcaryi; parlamenty bowiem dzisiejsze, nawet te, które wybierane są przez głosowanie powszechne, są rządami klasy mieszczańskiéj, a nie ludu. Vaccaro bardzo szczegółowo rozbiéra konstytucye: Szwajcaryi i Stanów Zjednoczonych A. P., aby wykazać jak łatwo pozorna demokracya jest w gruncie rzeczy ukrytą oligarchią, a nawet plutokracyą.

Z pewną dozą zręczności i hypokryzyi ludzie nie z ludu stają się reprezentantami ludu, powstaje klasa polityków z zawodu—demagogów z potrzeby. Zepsucie i przekupstwo rozszerzają się w sferach politycznych do tego stopnia, że ludzie uczciwi, stronią od polityki, jak od zarazy i najczęściéj zręczna mniejszość rządzi losami kraju. Jeśli się nawet zdarzy, że istotna większość rządy obejmie, wyzyskuje swe położenie bez poczucia sprawiedliwości i krzywdzi mniejszość. Wymyślone dla obrony praw mniejszości wybory z listy, głosowanie zbiorowe (*rôle cumulatif*) nie dały żadnych rezultatów praktycznych.

Postęp polityczny leży w coraz szerszéj podstawie, na której rząd się opiérać powinien, w uwzględnieniu przez prawo interesów coraz to szerszych mas. Najlepszym rządem byłby taki, który by mógł uwzględnić interesy i mniejszości i większości obywateli.

IX.

Zastanawiając się nad całością rozwoju instytucyi politycznych i prawnych, jakie w swéj historyi wyrobiła ludzkość dla umiarkowania walk wewnętrznych i zewnętrznych, Vaccaro sądzi, że społeczne przystosowanie się ludzkości do wspólnego zgodnego pożycia jest jeszcze w wysokim stopniu niedoskonałém, że ludzkość zaledwie wychodzi ze stanu barbarzyństwa. Zarówno walki zewnętrzne jak i wewnętrzne, polityczne i prawne, prowadzą się z niepotrzebną zawziętością i nienawiścią. Demokracya prawdziwa w gruncie rzeczy nie istnieje i po większéj części rządy spoczywają w rękach plutokracyi. Nowe starcia są nieuniknione i można poważnie postawić pytanie, jaki użytek zrobił człowiek dotąd ze swej inteligencyi, jeśli brak zgody między ludźmi wywołuje tyle i tak strasznych klęsk?

Niedostatki przystosowania się mają swe głębsze przyczyny, a najpierwszą z nich jest brak dostatecznych środków pożywienia. Brak tych środków, istniejący z natury rzeczy, wzmaga się jeszcze przez nadmierne przewidywanie i nadmierną chciwośc klas posiadających. Coraz to większe nagromadzanie kapitału w rękach niewielu, usuwa z liczby żyjących całe szeregi nieposiadających — walka o byt prowadzi się w warunkach bardzo nierównych i dla tego bardzo często mniéj zdolni — gorsi — utrzymują się przy życiu.

Nie bez wpływu na niedostateczność przystosowania się społecznego jest i to, że środowisko w którém żyje dane społeczeństwo nie jest niezmiennèm: warunki ekonomiczne, sąsiedzkie i polityczne; konjunktury handlowe i przemysłowe, ulegają ciągłym zmianom; po epokach warunków pomyślnych przychodzą epoki warunków niepomyślnych i przystosowanie zamiast poprawiać — cofa się. Stąd ofiary, cierpienia, zwyrodnienie i uwstecznienie.

Na szczęście są też i okoliczności ułatwiające postępy przystosowania się. Wzrastająca bezustanku inteligencya i wiedza ludzkości być może nie są w stanie zmniejszyć ani ludzkiej niemoralności, ani chytrości, ani chciwości; ale niewątpliwie walczą z coraz to większém powodzeniem z siłami natury i wyzyskują ją na korzyść ogółu ludzkości. Usuwanie ze świata jednostek ludzkich brutalne i gwał-

towne: spędzanie płodu, dzieciobójstwo, ludożerstwo, ofiary ludzkie, epidemie, choroby, wojny, mordy i łupieże w części ustały całkowicie, w części znacznie zmniejszyły się. Nie mamy powodu przypuszczać, że w przyszłości dalszy postęp ustanie. Vaccaro ma nadzieję, że ludzkość otamuje z czasem chciwość indywidualną, a jeśli przytém potrafi bez ofiar opanować przyrost ludności, zastosować ilość narodzin do ilości środków pożywienia, to tém samém już ułatwi sobie sposoby przystosowania się do naturalnych warunków bytu i będzie żyła lepiéj niż dotąd.

Obok procesów naturalnych, które zmieniają organiczne i fizyczne przymioty człowieka — odbywa się ciągle jeszcze proces sztuczny, dążący do tego samego celu.

Nagromadzenie narzędzi i maszyn nie ustaje ani na chwilę, a przymioty człowieka, uspasabiające go do lepszego przystosowania się, wzrastają także i nagromadzają się nieustannie. Przystosowanie się postępuje coraz to szybszym krokiem; materyalne warunki bytu mogą się stawać monopolistyczną własnością niewielkiej ilości indywiduów, ale obok tego dziedzictwa bogactw materyalnych, gromadzi się coraz większy zapas bogactw umysłowych, intelektualnych, przenikających coraz to głębiej do dna społecznego, stających się dziedzictwem wspólném całéj ludzkości, które pozwalają biednemu wyzwalać się z pod jarzma, w jakiém trzyma go koncentracya bogactw materyalnych. Jedna część téj wiedzy uczy opanowywać ślepe siły natury, druga część uczy go przewidywać złe skutki pewnych organizacyi społecznych, powiadamia go, jakie są racyonalne warunki zgodnego wspólnego pożycia społeczeństw. Ta część wiedzy ludzkiéj to nauka o prawie i o państwie, która musi się oprzéć na wynikach nauki o społeczeństwie, aby nie prowadzić indywiduów, grup społecznych i ludzkości na manowce pasorzytniczego wyzysku, kończącego się zawsze masowém wytępianiem.

W hordzie ludzkiej każde indywiduum w dążeniu do zaspokojenia swych potrzeb nie zna granic, jeśli tylko ma siłę, potrzebną do ich zaspokojenia. To właśnie stanowi źródło walk w hordzie. Każde indywiduum ludzkie jest dla niego przeszkodą w tém dążeniu i ztąd ogólna zasada: napadaj na każdego słabszego, gdy jesteś pewnym zwycięstwa, a unikaj walki, jeśli jesteś pewnym przegranéj. Słabi, aby nie uledz muszą się zgodnie wspierać, a wtedy walka może dać inny rezultat. Tworzą się zarody związków rodowych, klanów, które działają solidarnie, wspólnemi siłami odpierają napaści na każdego pojedyńczego ich członka, a ktokolwiek napada na członka rodu, jest pewnym klęski. Prędko tworzy się związek przyczynowy pomiędzy akcyą a reakcyą.

Wkrótce też zjawia się przekonanie o szkodliwości walk wewnętrznych w hordzie — i o ich etycznej wartości. Proces ten myślowy trwał długo, zbaczał z drogi, wstrzymywał się i przerywał, ale odbył się całkowicie. Poczucie solidarności nie wytworzyło się szybko i długo jeszcze pozwalano sobie na wszelki gwałt względem indywiduów zostających po za związkiem rodowym; korzyści jednak związków były tak wielkie, że w końcu górę wzięły i zupełna bezkarność stała się bardzo rzadką. Następnie, aby uniknąć starć z rodami — klanami — sąsiedniemi musiano powstrzymywać się od napaści na ich członków. Nie należy też zapominać, że nawet w epokach największéj dzikości zdarzać się musiały wypadki wspólnego działania — kooperacyi — na polowaniu, przy łowieniu ryb, wspólnej obronie od zwierząt i hord sąsiednich. U Fuegijczyków nawet, skłonność do wspólnego działania jest prawie organiczną. Karność i władza są w każdém skupieniu ludzkiém koniecznością. Przy częstém powtarzaniu rozkazów, zjawia się przymus dobrowolny i poczucie obowiązku. Rozkazy króla i rady plemiennéj są już słuchane z uległością, którą zwiększa przekonanie że starsi i królowie są przedstawicielami zmarłych na ziemi. Błędem jest twierdzenie, że prawo rodzi się dopiero wraz z państwem (Gumplowicz) albo też z rodziną patryarchalną. Rodzina jest historycznie młodszą od rodu (?), a często i od państwa; prawo zaś w zarodku, musiało powstać w najpierwotniejszém społeczeństwie ludzkiém — w hordzie.

W grupach społecznych złożonych, ewolucya prawa idzie szybszym krokiem. Pokój odrazu wytwarza Państwo i Prawo, a walki o władzę rodzą wcześnie przepisy prawa politycznego: ograniczenia władzy, obowiązki prawne, publiczne i prywatne, przywileje, zaszczyty, i prawo karne.

Po zatém powstają nowe szeregi norm prawnych mających na celu ochronę dóbr materyalnych od katastrof naturalnych: ognia, powodzi, epidemii, etc., lecz długi czas te przepisy, przez nieznajomość istotnych przyczyn klęski więcéj przynoszą szkody niż pożytku.

Najczęściej sądzono, że przyczyną klęsk są siły nadprzyrodzone— bogowie, a najdzielniejszym środkiem odwrócenia klęski ofiary krwawe, nieraz ludzkie. Karano też nieraz czyny niewinne, uważając je za nieprzyjemne dla bóstwa. Przesąd był źródłem wielu klęsk ogólnych i nieszczęść indywidualnych. Wzrost bogactw, rękodzieł i handlu zrodziły potrzebę nowych zarządzeń prawnych.

Taką była ewolucya prawa, którego celem zasadniczym jest przyuczyć — przystosować ludzi do bytu społecznego, określając warunki tego bytu. Przepisy prawne powinny zapewnić możliwie największą

pomyślność każdemu członkowi społeczeństwa, ale w żadnéj epoce historycznéj nie są ściśle biorąc takie, jakiemi powinny być racyonalnie, ale tylko takiemi, jakie wynikły z działania i przeciwdziałania ścierających się sił społecznych.

Człowiek rodzi się ciemnym umysłowo, poczyna stawiać kroki omackiem i drogo, krwią własną, opłaca swe błędy, swą ciemnotę, a jeśli w téj walce o byt, powoli odszukał gościńce postępu, to stało się tylko dzięki ślepemu działaniu natury — dzięki stałym i niezmiennie działającym siłom fizycznym świata.

Ludy lepiéj zorganizowane, bardziéj karne i solidarne, lepiéj przystosowane do wspólnego a zgodnego pożycia, mają zawsze więcéj szans zwycięstwa w walce o byt, więcéj szans rozszerzenia swego panowania na ludy sąsiednie, niż te, które ani karnemi być nie chcą, ani solidarnie działać nie potrafią. Pod naciskiem życiowego współubiegania się, społeczeństwa ustanawiają sobie prawa, coraz to bardziéj odpowiednie do celów przystosowania jednostki do życia społecznego i do pomyślności całéj grupy społecznéj. Każdy działa na swą korzyść, ale działa w sposób przez prawo określony — a prawo naturalnego doboru sprawia w sposób nieświadomy, że ostatecznie interes pomyślności ogólnej bierze górę i uczucia altruistyczne biorą przewagę. Stąd postęp ogólny i stały.

Obok téj ewolucyi organicznéj i nieświadoméj rozwija się w epokach późniejszych ewolucya druga, nieorganiczna — świadoma. Nigdy średniowieczni zwycięzcy nie byli w stanie ostatecznie i trwale przystosować zwyciężonych do warunków życia w niewoli. Zwyciężeni powoli wydzierali im jeden po drugim, ustanowione przez prawo przywileje a prawa stawały się mniéj uciążliwe i niesprawiedliwe. Coraz to nowe hamulce prawne (*tempéraments*) i porozumienia społeczne (*compromis*) wchodziły w życie i powoli zjawiał się kierunek, dążący do zapewnienia pomyślności większości członków grupy. Wpływ tego kierunku zwiększa się w miarę wzrostu inteligencyi, oswobodzającéj człowieka od tyranii przesądów religijnych, i umiejętności stanowienia praw, osiągających cel przez prawo zamierzony. Dowiadując się, że mogą być dobre i złe prawa, człowiek uczy się ustanawiać dobre. Do dziś dnia u narodów najbardziéj ucywilizowanych istnieją całe szeregi szkodliwych przepisów prawnych, bo sztuka życia kosztem bliźniego nie zupełnie jest łatwa. Aby ten cel osiągnąć, trzeba umieć zastosować się do warunków i pojęć danéj epoki, zastosowywać metody coraz łagodniejsze — przynajmniéj z pozoru. W końcu ludzkość dochodzi do przekonania, że każde pasorzytnictwo jest niesprawiedliwością, że próżniactwo i ciemnota są najobfitszém źródłem wszelakich klęsk

społecznych. Wiele złego społeczeństwa znoszą przez egoizm i ciemnotę klass posiadajacych, które zamiast uważać to złe za skutek swych błędów, wydają je za skutki konieczne warunków przyrodzonych bytu. W ogólnéj jednak ewolucyi stosunków ludzkich ucisk stale się zmniejsza, a eksploatacya ludzi przez ludzi staje się coraz bardziéj racyonalną t. j. odbywa się z coraz to mniejszą stratą sił pożytecznych ludzkości.

Podług zdania Spencera, każda władza w społeczeństwie powstała z napaści, wskutek napaści, lub dla napaści. Naczelnik jest zawsze naczelnikiem wojennym i na sprawy pokoju wpływu niema; hordą rządzą obyczaje i zmarli. Naczelnik hordy jeśli staje się stałym, poczyna interweniować, jako pacyfikator, w sprawach wewnętrznych hordy czy rodu — a w plemieniu zbiera się rada starszych. Ale jeśli wojny stają się zbyt ciągłemi, jeśli się stają zjawiskiem nieustanném — naczelnik zagarnia władzę ostatecznie; zagarnia władzę karania, kontrolowania, wykonywania praw, sądzenia sporów i czuwania nad spokojem w rodzie.

Powoli władza i wpływ rodu — klanu — upadają i znikają, a wtedy władza podejmuje nowe obowiązki, o ile powstająca jednocześnie rodzina nie przyjmuje ich na siebie: obronę osoby i własności — prawo karne. Z pojawieniem się form państwowych znika wspólność majątkowa rodu. Klasy posiadające skupiają się koło władzy, użyczają jéj poparcia i czerpią z niéj obronę majątku. Wytwarza się powoli monarchia oparta na oligarchii. Zwykle jednak tym pierwocinom państwa towarzyszą częste wojny i podboje, które wprowadzają państwo na drogę nowéj ewolucyi. Zwycięzcy muszą dla zachowania zdobyczy zorganizować się silniéj — strona zewnętrzna i wewnętrzna wymagają większych wysiłków. Podział pracy wytwarza stan, klassę, lub kastę wojowników—oświata, rękodzieła i handel stanowią odrębne zajęcia.

Współdziałanie, początkowo obowiązkowe i przymusowe, z czasem staje się dobrowolném i umowném, niezależném od władzy państwowéj. W miarę wzrostu przemysłu i handlu, wolność indywidualna wzrasta, wzrasta też wolność zmiany zamieszkania i wyboru zajęcia. Metody pasorzytnictwa téż zmianom ulegają: niewola przechodzi w poddaństwo, poddaństwo w najemnictwo. Państwo dąży do oddania poddanym jak największéj ilości usług, a jednocześnie do pozostawienia im jak największéj swobody. Karność i posłuszeństwo w epokach wojennych prowadzą do wielkich rezultatów, ale przeniesione w epoki pokoju, rodzą nadużycia.

Państwa, jego organy, pochłaniają zawsze więcéj dóbr materyalnych aniżeliby tego wymagały ich wysiłki, więcéj aniżeli by tego wy-

magało prawo biologiczne. To też organy władzy cierpią zawsze na przesyt — przeładowanie pokarmami — hyperemię — przyczém inne organy, inne komórki organizmu naturalnie cierpią anemię, całość choruje a czasami umiéra.

Ponieważ społeczeństwa, w których ten stan anormalny najsłabiéj jest rozwinięty, t. j. społeczeństwa najlepiéj rządzone, mają najwięcéj szans zwycięstwa w walce o byt, dla tego też egoizm klas rządzących czasami miarkuje się (temperuje) i hamuje. Liczba obywateli, biorących udział w rządzie, wzrasta stale; z czasem klasy pochodzące od plemion zwyciężonych (Anglia — Francya) dochodzą do wpływu na władzę polityczną, biorą udział w walkach politycznych i na téj drodze dochodzą do poprawy swego położenia prawnego. Władza polityczna bierze ich pod swą opiekę o tyle, o ile oni sami mają siłę. Ewolucya odbywa się zwolna i z trudnością, ale jest konieczną i nieuniknioną, a źródłem jéj jest ta okoliczność, że zwycięzcy nie są w stanie przystosować zupełnie zwyciężonych, na wieki, do stosunku pasorzytnictwa.

Udział we władzy politycznéj i ograniczenie pasorzytnictwa mogą być opóźnione siłą i gwałtem, ale nigdy nie mogą być zupełnie powstrzymane. Wojownik, kapłan, arystokrata, muszą z czasem ustąpić swych praw większości ludu, z początku pozornie, potém rzeczywiście, aż do chwili, w któréj i większość potrzebuje być okiełznaną, co już będzie zadaniem przyszłych pokoleń.

Dotychczasowy przebieg ewolucyi społecznéj — sądzi Vaccaro — dozwala na stawienie pewnych przypuszczeń co do przyszłości. Państwo pierwotnie spełniało dwa zadania: obronę od napaści z zewnątrz, i zapewnienie zwycięzcom spokojnéj eksploatacyi zwyciężonych wewnątrz. Z czasem stanęły przed nim zadania nowe: utrzymanie zgody i pokoju, i wykonywanie sprawiedliwości. Wojny zewnętrzne wpłynęły na osłabienie walk wewnętrznych, i dwa zadania pierwotne tracą powoli pierwszorzędne swoje znaczenie, z czasem utracą go one całkowicie. Czyż jednak, dla tego państwo ma utracić w przyszłości racyę swego bytu zupełnie?

X.

Nie jest naszym zamiarem krytykować szczegółowo socjalną teoryę Vaccaro: pozostawiamy psychologom rozbiór kwestyi: czy przyjemność i ból są objawami siły kosmicznéj, dążącéj do równowagi i kierującéj organizm za pośrednictwem wrażeń z jednego do drugiego stanu

równowagi po linji najsłabszego oporu. Nie będziemy też rozbiérać, o ile prawdopodobną jest skréślona przez Vaccaro ewolucya społeczeństw pierwotnych (horda, ród, rodzina), ta ewolucya, co do którój nauka nie wyszła dotąd (i wątpliwém jest czy kiedykolwiek wyjdzie) po za granice mniéj lub więcéj prawdopodobnych hypotez, i o któréj sam Vaccaro mówi, że zapewne miała przebieg przez niego podany, lecz możliwém jest iż przebieg ten był inny. (str. 205/6).

Zauważymy tylko, że Vaccaro nigdzie w swojém dziele nie wypowiada wyraźnie swego poglądu na konieczność i pewność praw socyologicznych. Twierdzi on, że treść tych praw nie może być wzorowana na treści praw biologicznych; że prawa biologiczne przechodząc w sferę socyalną ulegają co do treści pewnym modyfikacyom; lecz nie mówi czy i o ile konieczność ich i pewność ulega téż modyfikacyi.

Zasadnicza teza Vaccaro: że treść ewolucyi społecznéj zawiera się w kolejném przystosowywaniu się człowieka do nowych warunków bytu, tworzących się niezależnie od jego woli, jest niewątpliwie prawdziwa. Twierdzenie, że biologiczne prawa walki o byt nie mogą być przenoszone wprost z biologii do socyologii można uważać za zupełnie uzasadnione. Obraz jednak przebiegu tych walk i zasadnicze rysy „kompromisów", któremi się one kończą — wymagają pewnego sprostowania.

Rozbiérając we wstępie teorye socyalne innych szkół, Vaccaro pomija zupełném milczeniem szkołę historycznego materyalizmu. Niewątpliwie należy on po części do niéj: w walce klas społecznych widzi najważniéjszy objaw socyalny, odbiega jednak znacznie od zasad téj szkoły. Główną przyczyną walk społecznych jest dla niego nierówny podział majątku — nie twierdzi jednak, aby podstawą wyłączną ewolucyi społecznéj był postęp w metodach produkcyi i bardzo wyraźnie dowodzi, że na przebieg walk wewnętrznych wpływają walki zewnętrzne. O możliwości walk wynikających z motywów czysto psychologicznych — religijnych, językowych, nie wspomina; walki prowadzą się tylko o chléb i o władzę w państwie, o tę władzę, którą, jak twierdzi idąc za Passy'm, zawsze i wszędzie wyzyskiwano dla zapewnienia sobie jak największéj ilości dóbr materyalnych. Idąc téż za zasadniczemi pojęciami materyalizmu historycznego, Vaccaro popełnia błąd, twierdząc że w społeczeństwach, a więc nawet i w dzisiejszych spełeczeństwach cywilizowanych istnieje jeden, wyraźny, stały podział społeczeństwa na dwie tylko klassy: posiadających i nieposiadających, rządzących i rządzonych, eksploatujących i eksploatowanych, pasorzytów i pracujących.

Błąd ten można zrozumieć tam, gdzie stanowi on punkt wyjścia dla sekty ekonomicznéj, naginającéj rzeczywistość do swych polityczno-

ekonomicznych celów, widzącéj w kwestyi robotniczéj jedyną, godną zastanowienia się sprawę społeczną, dzielącéj cały naród na robotników (i to specyalnie prawie fabrycznych) i nierobotników. W rzeczywistości jednak obecna organizacya społeczna nie jest tak prosta, jak się zwolennikom téj sekty wydaje, i klasyfikowanie walczących ze sobą, sprzecznych i niezgodnych interesów w społeczeństwach dzisiejszych przedstawia nie małe trudności.

Weźmy za przykład Anglię.

W końcu przeszłego stulecia teoretycy ekonomiczni angielscy zaznaczyli istnienie dwóch walczących o władzę kierunków, dwóch klas społecznych, które określono jako właścicieli ziemi i gotówki „*land interest*” i „*money interest*”. Z reformą parlamentarną 1832 wystąpił na widownię polityczną żywioł trzeci — klasa robocza „*labour interest*”. Te trzy jednak walczące ze sobą żywioły nie stanowią dziś wszystkich elementów społeczeństwa, świadomych swoich celów i dążących do ich osiągnięcia drogą porozumień z temi klasami, elementami i „interesami”, które w danym momencie, co do danéj kwestyi społecznéj mogą mieć „interesa” jeśli nie zgodne to przynajmniéj nie sprzeczne. Dość przeczytać ostatni (1898) raport komisyi do zbadania stanu rolnictwa w Anglii, aby się przekonać że dziś w wielu kwestyach prawodawczych t. z. „*land interest*” rozdwaja się na „*landlord's interest*” i „*tenants interest*” i że jeśli w wielu kwestyach ekonomicznych interesy właścicieli i dzierżawców są wspólne, to jednak często bywają one różne, n. p. w kwestyi waluty, a w sprawach uregulowania wynagrodzenia za nakłady przez dzierżawcę zrobione i w kwestyach upaństwowienia ziemi są wprost ze sobą sprzeczne. Tak samo i t. z. „*money interest*” nie jest dziś jedną grupą, jedną klasą społeczną, mającą zawsze jeden interes i działającą zawsze solidarnie.

W sprawach polityki ekonomicznéj – fabrykant angielski zgodziłby się na zaprowadzenie w Anglii ceł na towary nie pochodzące z kolonii brytańskich, byleby te kolonie dały towarom angielskim odpowiednie przywileje celne; lecz cała klasa handlująca musi ten „interes” uważać dla siebie za szkodliwy, — bo jéj „interesom” tylko absolutnie wolny handel dogadza. Interesa kupców i fabrykantów nie obejmują jeszcze całego dawnego „*money interest*”. Na zewnątrz pozostaje cała klasa „kapitalistów” *par excellence* — zwanych dawniéj — rentierami — któréj interesy polegają obecnie na powstrzymaniu spadku procentów — spadku, który w najwyższym stopniu dogadza „interesom” i kupców i przemysłowców. Po za tém wszystkiém stoi klasa pracujących w nauce, sztuce, zajęciach wolnych — klasa t. zw. inteligencyi pracującéj,

która ma tylko jeden ekonomiczny interes—dobrobyt całego narodu—bo żyje ona niewątpliwie z całego narodu.

Nakoniec nie można na chwilę zapominać, że ten teoretycznie jasny i wyraźny podział społeczeństwa na klasy wedle ich ekonomicznych interesów, w praktyce z trudnością daje się ściśle przeprowadzić, bo interesy ekonomiczne indywiduów ludzkich łączą w sobie po kilka interesów klasowych—i bardzo często niemożliwém jest oznaczyć do jakiéj grupy interesów dane indywiduum zaliczane być powinno; Anglik posiadający jednocześnie majątek ziemski, akcye przemysłowe, i własne przedsiębiorstwo handlowe nie jest w stanie powiedzieć, czy dane zarządzenie prawnoekonomiczne przyniesie mu stratę czy téż korzyści.

Społeczeństwa dzisiejsze nie składają się więc z dwóch tylko walczących ze sobą klas, w łonie ich niéma sporu dwóch tylko między sobą walczących „interesów" ekonomicznych,—ale jest cały szereg różnych: sprzecznych, niezgodnych, obojętnych, łącznych, zgodnych i identycznych „interesów", których przedstawiciele wchodzą ze sobą w kompromisy i umowy, a rezultatem tych kompromisów jest często ten fakt, że prawodawstwo kraju uwzględnia interesy mniejszości, interesy klasy nie stanowiącéj większości narodu.

O przykłady nie trudno: nigdzie, nawet w Anglii, klasa robotnicza nie stanowi większości społeczeństwa; niemasz jednak dziś państwa ucywilizowanego na kuli ziemskiéj, któreby nie ustanowiło całego systemu praw na ochronę zdrowia i sił robotnika z mniejszém lub większém ograniczeniem praw właściciela fabryki.

Na kontynencie Europy stosunki klasowe nie są bynajmniéj prostsze. Przypomnimy tutaj kwestyę wpływu cen zboża na gospodarstwa włościańskie—kwestyę, o ile klasy wielkich i małych właścicieli ziemskich mają interesy solidarne w obec ceł protekcyjnych zbożowych; kwestyę, którą na tém miejscu rozbiéraliśmy na początku roku. Stosunki własności ziemi na lądzie stałym wiążą interesy ludności włościańskiéj z interesami ludności robotniczéj w sposób tak ścisły i prawie nierozerwalny, że niepodobna jest określić, gdzie się kończy „*land interest*" a zaczyna „*labour interest*", że jasna np. dla Anglika kwestya upaństwowienia własności ziemskiéj — na wschodzie Europy zmienia charakter, i traci połowę swego realnego znaczenia.

Charakterystyczną cechą stosunków socyalnych jest—jak twierdził już Comte — ich zawiłość (*complexité*), a o ile analiza tych stosunków naukowa i badanie z osobna objawów starć między pojedynczemi „interesami" i pojedyńczemi klasami jest pożyteczna, a nawet dla nauki konieczna—o tyle twierdzenie, że w życiu walki te sprowadzić się dają

do jednéj zasadniczéj walki o dobra materyalne między posiadającemi i nieposiadającemi, identyfikowanie téj walki z walką rządzących z rządzonemi — albo z walką robotników fabrycznych z właścicielami fabryki jest z punktu widzenia nauki najzupełniéj błędne.

Mówiąc o walkach politycznych, Vaccaro rozróżnia klasy kapłanów, rycerzy i arystokracyę: ale walki ich mają u niego charakter walki domowéj śród klasy rządzącéj o władzę nad nieposiadającym plebsem. O walkach w społeczeństwie demokratycznem, wywołanych sprzecznościami interesów ekonomicznych, nie wspomina wcale—bo po za walką w klasie posiadającéj o władzę polityczną, zna on tylko jedną walkę klasy rządzącéj z rządzoną, posiadającéj z nieposiadającą—pasorzytów z pracownikami.

To prowadzi nas z kolei do zastanowienia się nad drugim poważnym błędem naszego autora, wynikającym z użycia w socyologicznem badaniu terminu „parazytyzm"—„pasorzytnictwo".

XI.

Vaccaro bardzo ostro krytykuje t. zw. szkołę organiczną—szkołę twierdzącą, że spłeczeństwo jest realnym organizmem. Metodę téj szkoły uważa za samowolną, opartą na pozornych analogiach (wstęp. str. XXV i nast.) a jednak sam dwa razy ucieka się do terminów biologicznych i oba razy ze szkodą dla wartości swojego dzieła.

Jeden z tych błędów wciska się do całości nieznacznie już w końcu pracy—tam, gdzie Vaccaro twierdzi, że „organ społeczny zwany państwem" pochłania o wiele większą ilość materyi odżywczych niżby tego wymagały prawa biologiczne, przez co „organ ten"—państwo—cierpi na „hyperemię" a reszta organizmu społecznego na anemię (str. 466). Państwo nie jest organem, ale pewną formą uspołecznienia, pewnym typem téj formy—który w rzeczywistości przedstawia niesłychaną rozmaitość odmian. — Jakim sposobem państwo może cierpieć na hyperemię, przy anemii społeczeństwa — to jest wprost niezrozumiałém; bo jeśli w ustępie tym zamiast państwo, powinno być powiedziane: „klasa społeczna władzę państwową posiadająca"—to wobec przytoczonego wyżéj zdania Passy'ego—które Vaccaro w zupełności akceptował, że każda klasa społeczna posiadająca władzę, używa jéj zawsze na swą korzyść i z krzywdą klas pozostałych — ustęp ten nic nowego nie zawiera — ale łatwo może wprowadzić w błąd czytelnika, dając mu mętne pojęcie o istocie państwa, które stojąc jakby po za społeczeń-

stwem, ssie z niego soki żywotne i przez anemię do śmierci prowadzi. Państwo jako jedna z form uspołecznienia po za społeczeństwem stać nie może.

Najważniejszym jednak błędem Vaccaro jest przeniesienie z obrębu biologii do socyologii terminu „pasorzytnictwo", użycie go w takiém znaczeniu, w jakiém używa go szkoła materyalizmu historycznego. Do wyrazu tego ucieka się Vaccaro po raz pierwszy, mówiąc o Rzymianach (str. 124), że jakkolwiek stosunek zwyciężonych do zwycięzców zrobili mniéj okrutnym, niż w którémkolwiek z państw starożytnych, tém nie mniéj był to stosunek „pasorzytniczy", który prowadzić musiał koniecznie do zwyrodnienia i upadku zarówno zwycięzców, jak i zwyciężonych. Nie określa Vaccaro ani tu, ani potém, czém jest pasorzytnictwo społeczne, i czy jest między niém a pasorzytnictwem biologicznem jaka różnica. Daléj, mówiąc o walkach wewnętrznych, używa tego terminu coraz częściéj: niewolnictwo jest najpierwszą formą stosunku pasorzytniczego—a dalsze jego złagodzone objawy—poddaństwo i najemnictwo oparte są na stosunku „pasorzytniczym". Klasy władzę posiadające: wojownicy, kapłani, arystokracya, mieszczaństwo—wszystkie w różny sposób eksploatują pracujących fizycznie—i stosunki w społeczeństwie opiérają się jakby wyłącznie na tym stosunku eksploatowania jednych przez drugich, dla których określenia terminem najodpowiedniejszym, podług Vaccaro, jest „pasorzytnictwo".

Zauważyć tu przedewszystkiém musimy, że pasorzytnictwo zoologiczne jest formą współżycia zachodzącą tylko między osobnikami różnemi co do gatunku i zwykle stojącemi od siebie daleko pod względem organizacyi fizyologicznéj. Daléj pasorzytnictwo nie wyczerpuje jeszcze wszystkich form współżycia zwierzęcego, ktorych klasyfikacyę i określenie znamy wszyscy od czasu pojawienia się „Społeczeństw zwierzęcych" Espinassa. — Espinass, oprócz pasorzytnictwa, przytacza jeszcze, jako formy współżycia, między zwierzętami różnemi gatunkowo: komensalizm i mutualizm. W pasorzytnictwie pasorzyt czerpie pokarm z ciała gospodarza, nie dając mu nic w zamian,—w komensalizmie—jeden osobnik pożywia się odpadkami pożywienia drugiego bez oddawania mu w zamian jakiejkolwiek usługi;—w mutualizmie osobniki różnogatunkowe, żyjąc razem, wzajemnie oddają sobie usługi.—Przytém Espinass który w społeczeństwie zarówno ludzkiém, jak zwierzęcém widzi „związek w celu skuteczniejszego prowadzenia walki o byt z naturą"—oparty na „poszanowaniu osobnika" (str. 131) twierdzi, że „życie społeezne i pasorzytnictwo są względem siebie antypodami" (str. 139).—Zwolennicy termninów biologicznych w socyologii—powinniby

poszukiwać zatém w stosunkach społecznych objawów nie tylko jednego pasorzytnictwa, ale także objawów komensalizmu i mutualizmu i starać się oznaczyć, gdzie zaczyna się i kończy każda z tych form współżycia. Z góry jednak można im przepowiedziéć niepowodzenie w takiém poszukiwaniu.

„Pierwsza trudność”—mówi Espinass o badaniu pasorzytnictwa—„polega na określeniu samego faktu pasorzytnictwa” (str. 135). Granica między pasorzytnictwem a komensalizmem jest zmienna i niepewna (str. 136). Najnowsze badania na polu symbiozy zwierzęcéj z których sprawozdanie podało „Ateneum” kilka lat temu [1]), nie zmieniły tego stanu rzeczy. „Nie zawsze naturalista może odróżnić pasorzyta od niepasorzyta” (str. 9) „pomiędzy pasorzytnictwem a symbiozą nie we wszystkich przypadkach daje się przeprowadzić ścisła granica i niejednokrotnie trudno orzec czy mamy do czynienia z pierwszym czy z drugą”. Te szczere przyznania naturalistów powinny być ostrzeżeniem dla socyologów, że i oni w stosowaniu tych terminów biologicznych powinni zachować najwyższą ostrożność.

Zoologowie stwierdzają tylko, że stosunek pasorzytniczy nie zmienia się nigdy w komensalizm, lub mutualizm, a ani komensalizm ani mutualizm nie przechodzą nigdy w pasorzytnictwo: fizyologiczne cechy indywiduów współżyjących czynią między niemi tylko jeden z tych stosunków możliwy.

Vaccaro, który tak stanowczo twierdzi, że prawa przystosowania się indywiduum do otoczenia w zakresie stosunków ludzkich zmieniają fizyognomię i modyfikują się (str. 63 i nast.), przenosi termin „pasorzytnictwo” do socyologii wprost, bez zastrzeżeń, a więc bierze go tak, jak go bierze zoologia, jako stosunek trwały, niezmienny—prowadzący do śmierci osobnika uległego pasorzytowi.

Sam jednak dostarcza faktów zbijających takie pojęcie pasorzytnictwa. Rzym jest dla niego najwspanialszym okazem międzyplemiennego pasorzytnictwa;—a jednak ten sam Rzym—mówi Vaccaro (str. 131) oddał cywilizacyi nieskończone usługi, zaprowadzając pokój „*pax Romana*” na całéj znanéj podówczas części świata cywilizowanego. Nie był więc typem zoologicznego pasorzyta, który nic w zamian nie daje, ale typem stosunku innego — stosunku, który do typowych stosunków biologicznych porównać się nie daje. W sferze wewnętrznych stosun-

---

[1]) Nusbaum. Pasorzytnictwo i współżycie w przyrodzie. „Ateneum“ rok 1894, t. III, str. 9 i nast.

ków społecznych Vaccaro dostarcza nam innego dowodu przeciw swéj teoryi tam, gdzie mówi o pasorzytnictwie klasy mieszczańskiéj i z goryczą porównywa panowanie jéj do panowania klasy wojowników (str. 315). Ta ostatnia klasa okupywała swe pasorzytnictwo spełniając ciężki obowiązek obrony kraju przed najazdem obcych. Nie była więc klasą pasorzytniczą, ale stawała się nią z biegiem czasu tyle razy, ile razy przestawszy spełniać obowiązek obrony kraju, zachowywała mimo to wszystkie prawa i przywileje przyznane jéj przez resztę narodu w nagrodę za spełnianie tego obowiązku—i jak tego najwyraźniejszym przykładem jest historya naszego kraju w XVII i XVIII w.—chciała mieć tylko prawa i przywileje —a żadnych względem kraju obowiązków. Jeśli zgodzimy się na to, że stosunek rycerstwa—szlachty do reszty narodu u nas w XVII i XVIII w. był stosunkiem pasorzytniczym — to jednak nie możemy zgodzić się na to, aby takie określenie tego stosunku cofnąć wstecz do wieków poprzednich i twierdzić, że w zaczątkach naszej historyi w wiekach X — XVI rycerstwo, szlachta, — broniąca kraju od Niemców, Tatarów i Turków — płacąc ciężki haracz krwi i majątku dla zabezpieczenia reszty narodu od najazdu, niewoli i ruiny—była społecznym pasorzytem.

Historya naszego rycerstwa jest bardzo wymownym przykładem niemożliwości określania stosunków społecznych terminami zoologicznémi, stwierdzeniem faktu powszechnie spotykanego w historyi wszystkich znanych społeczeństw, że charakter stosunków międzyklasowych w społeczeństwie, nie jest nigdy stałym, jak stosunki zoologiczne—ale w biegu historyi ciągłym ulega wahaniom. Nie jest on nigdy ani stałém wyłącznie pasorzytnictwem, ani też nigdy czystym niezmiennym komensalizmem lub mutualizmem — ulega wahaniom od jednego typu do drugiego — i ta plastyczność stanowi właśnie jego charakterystyczną cechę, któréj zoologiczne stosunki między zwierzętami — oparte na niezmiennych cechach gatunkowych nie posiadają i posiadać nie mogą. [1]).

Jeszcze jedną uwagę nastręczają nam te biologiczno-zoologiczne zestawienia. Stosunki symbiozy zwierzęcéj oparte są na cechach anatomicznych dla wszystkich indywiduów danego gatunku niezmiennych.

---

[1]) Pasorzyty są być może przejściowemi fazami rodowemi; pasorzyty dziś czasowe może przeobrażą się potém w stałe. Ale „na przeobrażenia podobne potrzeba nie setek, a nawet nie tysięcy lat, lecz olbrzymich okresów, o których równie trudno wyrobić sobie pojęcie, jak o odległości ciał niebieskich“... (Nusbaum l. c. str. 20). Wobec tego typy pasorzytnicze w zoologii wolno nam jest uważać za stałe i niezmienne.

Stosunki symbiozy społecznéj oparte są na stosunkach psychologicznych, które téj stałości w indywiduach danéj klasy społecznéj nie posiadają. Soliter, kleszcz, pchła muszą być pasorzytami; w sferze klas zaliczonych przez Vaccaro do pasorzytów, spotykamy imiona Gładstona, Pasteur'a, lorda Ashleya, hr. Chambrun, których pasorzytami społecznemi nazwać nie można. Dla Vaccaro rządzenie jest tylko prawem, nigdy obowiązkiem, a jednak bywa ono nieraz obowiązkiem i to nie łatwym do spełniania, tém cięższym im więcéj życie społeczne staje się złożoném, a „beneficya" rządzenia ulegają coraz większéj i troskliwszéj kontroli opinii publicznéj. Ustrój obecny społeczeństw cywilizowanych wymaga coraz większéj ilości jednostek zdolnych i gotowych spełniać bezinteresownie coraz większą ilość funkcyi społecznych, państwowych i niepaństwowych; i często w społeczeństwach, jakoby ucywilizowanych brakuje ludzi, którzyby te funkcye spełniać mogli, bo klasa „pasorzytów społecznych" jest jeszcze zbyt nieliczna, aby dostarczyć mogła odpowiednią liczbę osobników do spełnienia, téj funkcyi przygotowanych.

Jedynym znanym socyologiem, który używając wyrazu pasorzytnictwo starał się bliżéj zbadać jego objawy w społeczeństwie, jest Schäffle [2]). Dla niego jednak pasorzytnictwo jest przejawem walki o byt, nie zaś stanu równowagi" w społeczeństwie, albo „kompromisu" społecznego, jak chce Vaccaro; jest to, mówi Schäffle „może najokrutniejsza, najbardziéj rozpowszechniona i najbardziéj przeciwna rozwojowi, forma téj walki". Dla niego pasorzytem społecznym jest każda jednostka i każda klasa, która siłą i podstępem grabi innym jednostkom i klasom środki istnienia, ni dając społeczeństwu nic w zamian. Zastrzega się jednocześnie Schäffle, że „ekonomiczna nieprodukcyjność" nie jest „pasorzytnictwem" zawsze że indywidua nieprodukcyjne ekonomicznie, zajmując się polityką, dobroczynnością, sztuką i sprawami społecznemi, bywają często „najużyteczniejszemi" członkami społeczeństwa. Dla Schäffiego pasorzytami są: zbrodniarze, kobiéty publiczne, lichwiarze, spekulanci giełdowi, próżnujący urzędnicy i żołnierze, w końcu całe narody żyjące z grabieży i łupiestwa (koczownicy w Azyi, Hiszpanie w. XVI w Ameryce). Pasorzytnictwo rodzi się ze wstrętu do pracy zarówno w najwyższych, jak i w najniższych warstwach społecznych, jest rezultatem zarówno nędzy jak i nadmiaru bogactwa i kończy się śmiercią pasorzyta i jego ofiary.

---

[2]) Schäffle „*Bau und Leben des sozialen Körpers*" wyd. II, tom I. str. 490 *Exemplification des inneren Krieges am sozialen Parasitismus.*

Dla Schäfflego związek pasorzytnictwa z rządzeniem i posiadaniem jest luźnym, i pojęcie pasorzytnictwa łączy się tylko z pojęciem społecznéj bezużyteczności. Pasorzytem jest ten, kto swemu społeczeństwu żadnych usług nie oddaje, bez względu na to, czy żyje z roli, kapitału kościoła lub oręża.

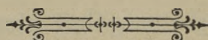
Wobec takiéj różnicy w znaczeniu, jakie może miéć termin pasorzytnictwo w socyologii, i wobec niemożliwości przeniesienia go do nauk społecznych, z tém znaczeniem, jakie do niego przywiązują zoologowie, lepiéj jest w nauce społecznéj nie używać go zupełnie, aby nie zwiększać tego pomieszania pojęć, którego i tak już w niéj nie brak.

Rozbierając w „Przeglądzie Filozoficznym" pracę Sighelego „o psychologii sekt", Dr. Stefan Balicki bardzo słusznie utyskuje na stan zawiązkowy nauki o społeczeństwie: „brak jéj metody, dokładnych określeń i klasyfikacyi"... „żadna téż nauka nie jest tak zabagnioną przez obce sobie naleciałości i zgoła nienaukowy materyał myślowy, jak socyologia". [1]).

Nam się zdaje, że do tych wszystkich braków dodać należy jeszcze brak jeden i to bardzo poważny, brak odpowiedni terminów ściśle naukowych dla określenia pewnych stosunków spolecznych. W kwestyi którąśmy tu poruszyli stoimy właśnie wobec takiego braku: jak nazwać te stosunki współżycia—symbiozy społecznéj, które nie są ani czystym pasorzytnictwem, ani czystym komensalizmem lub mutualizmem, i które z biegiem czasu ulegają wahaniom, zbliżając się to do jednego, to do drugiego typu, a wskutek tych wahań posiadają takie cechy charakterystyczne, jakich żadna symbioza zwierzęca posiadać nie może. Brak terminu usprawiedliwia po części Vaccaro, którego praca jako całość ma bardzo wiele poważnych zalet.

St. Piotrowski.

Ludynia 26 Sierpnia 1898 r.



---

1) „Przegląd Filozoficzny" Rok I. Zeszyt III, str. 115.

KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów 27 listopada.

Reminiscencye i horoskopy polityczne. — Uspokojenie umysłów i uchylenie stanu wyjątkowego w zachodnich powiatach.—Trzy głosy zakordonowe o stosunkach Galicyi.—Reforma szkół średnich).

Ze smutną rzeczywistością polityczną dni bieżących i posępnym horoskopem na przyszłość najbliższą łączą się w téj chwili w całéj Austryi przykre wspomnienia z powodu jubileuszu. Pięćdziesiąt lat bowiem upływa właśnie od pamiętnéj dla ludów austryackich chwili konania pierwszéj konstytucyi nowoczesnéj i powrotu do systemu absolutnego, wprawdzie niepozbawionego nowoczesnych urządzeń prawnych i społecznych, ale zawsze połączonego z takiém samém ograniczeniem swobody politycznéj, jaka cechowała złamany na krótki czas przedtém system metternichowski. Wszystkie dzienniki w Austryi, nie wyłączając i naszych, przepełnione były ku schyłkowi roku fejletonowemi i kronikarskiemi odświeżeniami wypadków, któremi przed laty 50 posępna jesień znaczyła swój pochód ku mroźnéj zimie kalendarzowéj i politycznéj.

Dla nas pamiętne były szczególnie pierwsze dni listopada 1848 r. istnie fantastyczną sceneryą polityczną. Zaledwie bowiem rozsiadł się wówczas w pałacu Namiestnikowskim pierwszy sympatyczny gubernator, Wacław Zaleski, znany w naszéj literaturze pod pseudonimem Wacława z Oleska, a już stanowczą przewagę za kulisami polityki w jéj centralném ognisku zyskały żywioły reakcyjne, a na przeniesionym

z Wiednia do Ołomuńca dworze cesarskim już się zaczął proces cofania machiny państwowéj z rozpędu konstytucyjnego na tory absolutystyczne. Na bruku lwowskim odbyła się generalna próba przygotowywanego starannie przewrotu. Po nad głowę sympatycznego namiestnika wysunął się komenderujący generał br. Hammerstein ze swoją tajną wyjątkową władzą i zbombardował stolicę kraju, a z Ołomuńca w lot nadeszła nietylko aprobata tego czynu, lecz nadto nowa instrukcya rządowa, niejako poddająca namiestnika pod przewagę generała br. Hammersteina. Namiestnik Wacław Zaleski, który w chwili objęcia steru mógł miéć jeszcze bodaj słabą nadzieję, że zdoła opanować sytuacyę, a przedewszystkiém zepchnąć br. Hammersteina z nienależnego mu panującego stanowiska politycznego, nie miał już teraz innéj drogi przed sobą, jak wzięcie dymisyi i powrót do Wiednia ze złamaném, literalnie złamaném sercem. Wkrótce bowiem potém zakończył życie niemal nagle, na chorobę serca.

Była to dla Galicyi chwila anarchii oficyalnéj, anarchii w tém znaczeniu, że władza wojskowa *via facti*, a wbrew zasadniczym normom organizacyi władz, chwyciła ster w swoje ręce, a więc wytworzyła stan taki anormalny, jaki niedawno groził Francyi, kiedy gabinet Brissona stanął wpoprzek tajnym zachciankom sztabu generalnego i ostatecznie pokrzyżował je, chociaż sam przy tém zginąć musiał na wyczerpanie sił politycznych. W Austryi ówczesnéj nie było komu ująć się za stanem normalnym, bo gabinet pierwszy zdał się na łaskę władzy wojskowéj. W Galicyi anarchia ta następowała bezpośrednio po innéj anarchii, społecznéj i administracyjnéj, wytworzonéj przez wypadki r. 1846, więc położenie jéj było bez porównania gorsze, niż innych krajów austryackich. Z drugiéj atoli strony, była Galicya szczęśliwsza od reszty krajów koronnych, bo posiadała na stanowisku wybitném, a wkrótce potém naczelném, męża, który całą działalnością swoją ilustrował niejako to przekonanie, że niéma położenia tak rozpaczliwego, ani stosunków tak opłakanych, żeby, ze stanowiska społecznego i politycznego rzecz biorąc, godziło się zwątpić o wszystkiém i po desperacku założyć ręce w fatalistycznéj gnuśności czy bierności. Mężem tym był hr. Agenor Gołuchowski, w r. 1848 wice-prezydent a już w następnym roku szef namiestnictwa. Nie tutaj miejsce na szkicowanie działalności tego statysty, od r. 1849 począwszy. Była ona—krótko mówiąc—jakby pomostem, po którym kraj przeprowadzony został z nad samego brzegu przepaści, jaką stanowiła anarchia społeczna i administracyjna z lat 1846—1848, na rozległy i bujny grunt konsolidacyi wszechstronnéj.

Czy ta konsolidacya dziś po upływie 50 lat jest tak silna, żeby mimo wszelkich symptomów rozstroju kraj mógł spokojnie patrzéć w przy-

szłość, której horyzont na schyłku roku tak fatalnie się zachmurzył już nietylko w Wiedniu lecz równocześnie, jak niegdyś przed 50 laty, także i w Budapeszcie?

Jest jedna sprawa publiczna, która z powodu swych przejść historycznych i wewnętrznego znaczenia mogłaby uchodzić do pewnego stopnia za miernik widoków pod powyższym względem. Mam tutaj na myśli podział Galicyi na dwa okręgi administracyjne, na dwie prowincye: Galicyę wschodnią i zachodnią, jako środek zerwania organicznéj łączności całego kraju. Pomysł ten zrodził się tam i wtedy, gdzie i kiedy wylęgiwały się wszelkie pomysły, mające służyć maksymie rządowéj *divide et impera,* w Wiedniu metternichowskim, zaraz po smutnych wypadkach galicyjskich z r. 1846. Br. Krieg, smutnéj pamięci faktyczny wielkorządca Galicyi w latach 1846—7 przygotował wszystkie szczegóły wykonania tego projektu, ale brzask ery konstytucyjnéj w r. 1848 zniósł całkiem pomysły tego rodzaju, a przynajmniéj pokrzyżował plany wykonania. Za to w chwili zamknięcia téj ery, a nawet przed oficyalném zamknięciem, bo jeszcze za pobytu namiestnika Wacława Zaleskiego we Lwowie, przyszedł z Wiednia rozkaz, aby zaraz wydzielono sześć obwodów zachodnio-galicyjskich i złączono je w osobną całość administracyjną pod kierunkiem komisyi czy expozytury namiestniczéj w Krakowie. Była tedy Galicya faktycznie rozdzielona czy rozdarta w ten sposób do chwili, gdy namiestnik Agenor hr. Gołuchowski powołany został na ministra stanu i, korzystając ze swojego zakresu działania, zniósł w r. 1860 krakowską ekspozyturę namiestniczą, przywracając tém samém krajowi dawną jednolitość administracyjną. Kiedy upadł hr. Gołuchowski, jedném z pierwszych zarządzeń jego następcy, wielkiego mistrza centralizmu, br. Schmerlinga, było przywrócenie dawnego podziału Galicyi, za czém gorąco się oświadczył wbrew względom na własną władzę także ówczesny namiestnik generał hr. Mensdorff-Pouilly. Była tedy znowu Galicya całe lata podzielona, dopóki na posadę namiestnika nie wrócił hr. Gołuchowski. Wraz z jego powrotem na widownię polityczną wraca jednolitość kraju, któréj aż dotąd nic już nigdy nie groziło. W ostatnich dopiero czasach w miarę, jak się mącić zaczęły stosunki parlamentarne i w ogóle polityczne w państwie i w kraju, odzywać się zaczęły nieśmiałe głosy za dawnym podziałem z tego obozu, który, zbankrutowawszy politycznie wraz ze swoim przewodnikiem, Romańczukiem. chciałyby wszystko zamącić, aby mieć potrzebną dla siebie — mętną wodę polityczną. Jakżeż inaczéj jednak wygląda dziś ten pomysł podziałowy! Tak on niepodobny do swojéj dawnéj postaci, jak prozaiczne straszydło na wróble do fantastycznego upiora. Nikt się nie lęka tego pomysłu a niéma zapewne w Wiedniu,

nawet w skostniałym świecie biurokratycznym, tak lekkomyślnego polityka, którył dziś gotów był do ponowienia takiego zamachu podziałowego. Mógł on być dla nas dawniéj niewygodnym, nawet niebezpiecznym, dopóki kraj dopiéro się konsolidował, ale dziś byłby tak niedorzecznym eksperymentem, że chyba partacz polityczny mógłby sobie po nim jakie korzyści obiecywać. Wszystkie te nieśmiało odzywające się głosy tęsknoty za dawnym podziałem Galicyi są dziś już tak samo strachami na Lachy, jak były tém w ustach wrogów kraju podczas tegorocznych rozruchów antysemickich po wsiach zachodnio-galicyjskich zapowiedzi blizkiego przekształcenia się ruchu antysemickiego w ruch skierowany ostrzem swojém przeciw dworom obywatelskim.

* *

*

Kiedy w połowie r. b. wśród najostrzejszego stadyum tych rozruchów zająłem stanowisko optymisty, bez obaw w przyszłość patrzącego, nie należałem z pewnością do większości, bo kiedy wkrótce potém zwiedzałem w przejeździe okolice, które stanowiły widownię największych wybryków, nawet miejscowi znawcy stosunków, wcale niesklonni ani do przesady, ani do pesymizmu, ostrzegali, aby przywróconego na pozór spokoju nie uważać jeszcze za stan normalny. Na miejscu bowiem świadkom naocznym tego, co było, i stanu obecnego położenie tak się przedstawiało, że po zatarciu się pierwszego wrażenia wyjątkowych środków prawnych i po ukończeniu zbiorów w porze jesiennéj rozruchy antysemickie mogą ponowić się w sposób tak samo niespodziewany, jak wybuchły na wiosnę. Tymczasem rzeczy tak stoją, że dziś, w późnéj jesieni, wcale wstydzić się nie potrzebuję owego optymistycznego horoskopu. Rozruchy nietylko nie ponowiły się, lecz owszem urzędownie stwierdzone zostało takie stanowcze uspokojenie się umysłów, że rząd mógł już znieść stan wyjątkowy w 25 powiatach galicyjskich. Pozostał on jeszcze w mocy na czas jakiś w ośmiu tylko powiatach, w których nieukończone dotąd sprawy karno-sądowe z okresu rozruchów wymagały czasowego zawieszenia sądów przysięgłych. Większa część tych spraw już załatwiona, niestety tak, jak być musiało, szeregiem wyroków skazujących głównych winowajców na dłuższe, lub krótsze więzienie. Co najgorsza jednak, to fakt, że jakkolwiek we wszystkich tych procesach karnych stwierdzono, iż główną rolę odgrywała baśń między ludem rozszerzona, jakoby cesarz pozwolił chwilowo żydów rabować, a papież zgodził się nawet na przedłużenie terminu rabunkowego, to jednak mimo najściślejszych dochodzeń nie powiodło się dotrzeć do

samego źródła téj baśni. Główni winowajcy uszli zatém bezkarnie, a jeżeli przypadkiem siedzą w więzieniu, to nie jako zdemaskowani autorowie téj baśni, więc intelektualni sprawcy całego nieszczęścia, lecz jako czynni uczestnicy ekscesów. Wieść i baśnie, wywołujące wzburzenie po wsiach, należą już snać do własności galicyjskich. W żadnéj prowincyi austryjackiéj nie zdarzyło się, żeby jakaś wieść niedorzeczna nagle pojawiła się po wsiach, ogarnęła odrazu, jak dżuma, znaczną przestrzeń kraju, znalazła wszędzie wiarę, pomimo w oczy wpadającéj niedorzeczności, i w końcu albo doprowadziła, jak w sprawie niniejszéj, do poważnych rozruchów, lub przynajmniéj, jak przed kilkunastu laty, kiedy przy wprowadzeniu w życie nowéj ustawy drogowéj lud wiejski zaczął obawiać się wznowienia pańszczyzny, do całego szeregu aktów oporu wobec dyspozycyi władzy, która musiała wtedy sięgnąć po bardzo dotkliwe środki egzekucyjne. Rzecz dziwna, że od trzydziestu lat, chociaż ogólne stosunki oświaty ludowéj zmieniły się na korzyść do niepoznania, a gminy wiejskie nietylko garną się do życia publicznego, lecz nawet zasilają je takimi inteligentnymi współpracownikami siermiężnymi, jak znany poseł Jakób Bojko, Potoczkowie i t. d., na punkcie łatwowierności co do najniedorzeczniejszych wieści i baśni lud wiejski tak mało się zmienił, iż głośno odzywa się u nas niejeden głos zwątpienia w skuteczność dotychczasowéj usilnéj pracy nad podniesieniem oświaty ludowéj. Wprawdzie wieść najświeższéj daty, wieść o wrzekomém zezwoleniu cesarskiém na obrabowanie żydów niéma już tak niebezpiecznego charakteru pod względem porządku społecznego, jak poprzednie wieści zmyślane na tle pańszczyźnianém i skierowane przeciw dworom, ale różnica, jakkolwiek na zaznaczenie zasługująca, nie zdoła ostatecznie zatrzéć tego fatalnego wrażenia, jakie świat odnosi co do inteligencyi ogółu włościan naszych. Jak to wytłómaczyć? Przypomina mi się przy tém pytaniu ciekawy dokument z r. 1846, który przypadkiem wpadł mi w ręce. W tym smutnym roku, w chwili gdy już dzieło rzezi zostało zamknięte, a wysłany z Wiednia nadzwyczajny komisarz rządowy, hr. Rudolf Stadion (brat późniejszego gubernatora galicyjskiego, hr. Franciszka Stadiona), objeżdżał powiaty katastrofą dotknięte, jeden z zachodnio-galicyjskich właścicieli dóbr, Franciszek Trzecieski z Gorajowic, zdobył się na wcale niebezpieczny w owych czasach akt odwagi obywatelskiéj i wręczył komisarzowi rządowemu obszerny memoryał, który w formie oględnéj, ale mimo to w sposób otwarty obwinił ówczesną biurokracyę niemiecko-galicyjską o intelektualne autorstwo katastrofy. Memoryał przytacza szczegóły na poparcie tego oskarżenia, a między temi szczegółami na pierwszém miejscu fakt, że ze sfer biurokratycznych dostała się między chłopów i w ich umysłach głębo-

ko utkwiła wersya, jakoby na czas rozruchów cesarz zniósł dziesięcioro przykazań Boskich. Trzecieski, jakby w nastroju proroczym, kładąc nacisk na tę wieść w sposób zbrodniczy rozpowszechnioną, zaklinał w memoryale swoim komisarza rządowego, aby docierał do jéj źródła, bo jeżeliby sprawa ta pokryta została milczeniem, to powstanie precedens na długie czasy niebezpieczny. Memoryał Trzecieskiego utonął w koszach biurokratycznych, jak tyle innych niewygodnych podań i memoryałów ówczesnych. Gdyby go kto dziś wydrukował, to ów ustęp o wieściach niepokojących uderzyłby z pewnością każdego, jakby ziszczony głos proroczy zdrowego rozumu obywatelskiego.

* *

*

Trzy głosy z za kordonu o naszych stosunkach zwróciły w ostatnich czasach żywszą uwagę w naszéj prasie, a dwa dały nawet powód do rozpraw polemicznych. Najdrażliwszém było odezwanie się jednego z obywateli litewskich (księcia F. Puzyny) w „Kraju" petersburskim z okazyi ostatnich rozruchów antysemicko chłopskich w Galicyi zachodniéj, a na temat wrzekomo opłakanéj doli czeladzi gospodarskiéj po wsiach galicyjskich. Jeżeli chodziło o sprawienie sensacyi, to głos ten szlachcica, rzadko za pióro chwytającego i z tego powodu zapewne nieostrożnego w władaniu tą bronią, poszczycić się może sukcesem, jakiego pozazdrościć mogliby dziennikarze zawodowi, wysilający się na efekt. Wskutek głosu ks. Puzyny bowiem wzięli się do pióra także i nasi przygodni publicyści po dworach szlacheckich i szeregiem artykułów polemicznych, jakby krzyżową sztuką, natarli tak natarczywie na swojego przeciwnika litewskiego, że w końcu sekundanci-redaktorowie musieli dać hasło do zaniechania walki, t. j. przestali umieszczać dalsze odprawy, nadsélane ze wsi galicyjskich. Ks. Puzyna po raz drugi zabrał głos w „Kraju" i odciął się energicznie przeciwnikom swoim, ale wcale ich nie przekonał. Zwycięzkiém było ostatecznie odparcie zarzutów ks. Puzyny, bo mu jego przeciwnicy cyframi wykazali, że dola naszych parobków i fornali wiejskich nie jest bynajmniéj gorszą od doli właścicieli małych gospodarstw chłopskich. Ale odparcie zarzutów nie mogło odnosić się do tego, co się odeprzéć nie da, t. j. do smutnéj doli ludu wiejskiego, przygniecionego lichwą i wygórowanemi podatkami. *Cui bono* wypadła cała ta polemika? Chyba téj naszéj frakcyi radykalno-ludowéj, która biédę, zależną nie od systemów politycznych, lecz od położenia ekonomicznego, wyzyskuje zawsze, jako główny motyw agitacyjny przeciw „większości szlacheckiéj", wrzekomo niedbającéj ani

w sejmie, ani w radzie państwa o interesa ludu wiejskiego. Podobne głosy, wypowiadające w Galicyi niejako *à vol d'oiseau* uwagi krytyczne o naszych stosunkach politycznych, uznane zostały u was za szkodliwe, a prasa nasza wskutek tego już oddawna zaniechała takiego traktowania rzeczy. Czy za to nie należy się nam wzajemność?

Drugi głos zakordonowy zwrócony był przeciw naszéj młodzieży uniwersyteckiéj, jako wrzekomo zajętéj wyłącznie planami i marzeniami o karyerze biurokratycznéj, a nie starającéj się zdobywać innych ważniejszych dla rozwoju kraju zakresów pracy publicznéj. I ten głos osiągnął sukces niemały, gdyż rozumowanie o biurokratycznych aspiracyach w naszém społeczeństwie weszło od niejakiego czasu w modę i odzywa się w takiéj formie, jakgdyby Galicya pozaprzepaszczała jakie kolonie zamorskie lub wielkie fabryki dla braku ludzi potrzebnych do ich fachowéj obsługi! Tymczasem rzecz się ma faktycznie tak, że i ten mały procent młodzieży, poświęcającéj się zawodowi technicznemu i wogóle zawodom praktycznym, aż nadto wystarcza na potrzeby rzeczywiste. A przecież nikt nie zechce utrzymywać, że gdyby młodzież garnęła się tłumnie do studyów i zawodów praktycznych, to samą nadwyżką sił ponad potrzebę rzeczywistą podniosłaby przemysł, pomimo braku kapitałów i innych warunków, do tego niezbędnych. A wreszcie, gdyby nawet procent młodzieży wybierającéj studya z planem poświęcenia się służbie publicznéj, czyli, jak się z przekąsem mówi, biurokratycznéj, był rzeczywiście rażąco wysoki, to jeszcze i w takim razie rzeczy téj nie godziłoby się traktować tak, jakgdyby to miał być symptom jakiegoś upadku, czy skarłowacenia intelektualnego i społecznego. Jest to bowiem najważniejsza i najcenniejsza zdobycz nasza z całego okresu konstytucyjnego, że granica między urzędem a służbą obywatelską zupełnie się zatarła, że oba pojęcia stały się synonimami do tego stopnia, iż nie może być dziś w Galicyi dobrym urzędnikiem ten, kto nie jest zarazem dobrym obywatelem. Jak oka w głowie strzedz trzeba téj zdobyczy, a strzeże się jéj najlepiéj wtedy, jeżeli społeczeństwo dostarcza służbie publicznéj świeżych sił i świeżych talentów w obfitéj mierze. Żeby już tych sił było za wiele, o tém tutaj nikt nie słyszał, bo przeciwnie odzywają się z niektórych urzędów utyskiwania, iż nie można przebierać między kandydatami, lecz trzeba brać wszystko, co się nawinie. A gdzie chodzi o opróżnione i wyborem współobywateli a nie dekretem wyższéj władzy obsadzane posterunki publiczne, tam już nawet panuje dotkliwy brak takich kandydatów, którzyby studyami byli należycie przygotowani do zadań na tym posterunku czekających.

Za to trzeci głos zakordonowy, spostrzeżenia Bolesława Prusa w podróży po Galicyi, podane w „Kraju" petersburskim, sprawił wrażenie

jaknajprzyjemniejsze i, co ważniejsza, oddał sprawie publicznéj ważną przysługę. Rozumny głos takiéj powagi sympatycznéj, jaką jest i u nas Prus, o żywotności społecznéj i politycznéj ruchu ludowego w Galicyi bardzo był potrzebny w téj chwili, gdyż tegoroczne rozruchy antysemickie w Galicyi zachodniéj zdawały się galwanizować te mumie polityczne, które wśród zmienionych stosunków żyć nie umieją, a usunąć się nie chcą, bo trudno im pogodzić się z myślą, żeby obecne wejście inteligentnych włościan na arenę publiczną w sejmie i radzie państwa miało być już nieodwołalnym krokiem naprzód w naszéj ewolucyi społecznéj i politycznéj. Świeżym a rażącym objawem takiego niezrozumienia sytuacyi jest smutny, nawet gorszący fakt, że w jednéj reprezentacyi powiatowéj Galicyi zachodniéj wybrańcy większéj własności ziemskiéj rozmyślném usuwaniem się od zbiorowéj pracy udaremniają ukonstytuowanie się rady dlatego, iż włościańscy wyborcy swoich kandydatów postawili i przeparli przy wyborze.

* * *

Szerokie koła inteligencyi zajęte były żywo a poniekąd są jeszcze ciągle zajęte obradami ankiety, która, zwołana przez wydział krajowy a złożona z samych wybitnych osobistości, cały tydzień prowadziła obrady nad podniesioną w sejmie i ztamtąd wydziałowi krajowemu do sprawozdawczego opracowania przekazaną sprawą reformy szkół średnich (gimnazyalnych i realnych). Na szkoły te nie rozciąga się kompetencya ustawodawcza sejmu, więc obrady i uchwały ankiety mają właściwie znaczenie tylko akademickie. Mimo to jednak uwaga całéj inteligencyi zwraca się, jak powiedziałem, ku téj sprawie, nietylko dla jéj żywotnego interesu społecznego, lecz nadto z tego powodu, że ostatecznie dla sfer powołanych w danym razie do sformułowania i ustawodawczego dokonania reformy szkolnéj nie może być obojętna opinia, wyrażona przez fachowych znawców i reprezentacyę największego w państwie kraju koronnego. W dziejach sejmu galicyjskiego zaznaczył się już jeden fakt szczęśliwéj inicyatywy w sprawie, która, chociaż nie leżała w jego zakresie ustawodawczym, jednak przezeń została najpierw podniesiona i tak skutecznie poparta, że dotarła do rady państwa, a znalazłszy tam większość, wydała pożądaną ustawę, obowiązującą dziś na całym obszarze państwa, co więcéj za przykładem Austryi także i w Niemczech uchwaloną, Mam tu na myśli ustawę karną o pijaństwie, do któréj uchwalenia pobudka wyszła z łona sejmu galicyjskiego tak samo, jak równocześnie i impuls do wskrzeszenia dla Galicyi sankcyi karnéj za

lichwę, uznaną w erze liberalnego ustawodawstwa z pierwszych lat konstytucyjnych za sprawę natury czysto-ekonomicznéj nie zaś karno-prawnéj. Kiedy przed dwudziestu kilku laty w sejmie lwowskim skromny poseł, ks. Stępek, pierwszy podniósł obie te sprawy i popiérał je z większym zasobem kaznodziejskiego zapału, aniżeli ścisłéj wymowy parlamentarnéj, liberalni sceptycy pewnie nie przypuszczali tego, że za lat kilkanaście prąd ten wrzekomo antyliberalny tak spotężnieje akcesem opinii, iż dotrze zwycięsko do arcyliberalnéj ówczesnéj rady państwa i znajdzie wyraz w jéj aktach ustawodawczych.

Roformie szkół średnich, podniesionéj obecnie w naszym sejmie a zależnéj od centralnych organów administracyjnych i ustawodawczych, nie można, na razie przynajmniéj, rokować takiego akcesu, bo postawiona została tak, że dotąd nietylko niéma zgody na główny postulat, lecz nawet różnica zdań zaostrzyła się dziś więcéj, aniżeli w chwili pojawienia się pierwszego wniosku w sejmie. Gdyby bowiem chodziło tylko o ulepszenia szkół, mianowicie o zapobieżenie niewątpliwemu przeciążaniu młodych głów przez odpowiedniejszą metodę nauczania i trafniejszy rozkład materyału naukowego, lub o poprawę warunków zdrowego wychowawczego oddziaływania szkoły średniéj w kierunku moralnym i fizycznym, nie byłoby pewnie ani w ankiecie, ani w sejmie, ani wreszcie w kołach inteligentnego obywatelstwa różnicy zdań co do samego postulatu, a wszyscy powołani do objawienia opinii zastanawialiby się tylko nad obmyśleniem najodpowiedniejszych środków. Tymczasem hasło i główny postulat reformy streszcza się w żądaniu, aby stworzony został typ jednolitéj szkoły średniéj, t. j. takiéj, któréj uczniowie po ukończeniu nauk mieliby otwarty wstęp do wszystkich wyższych zakładów naukowych, więc zarówno do uniwersytetu, jak i do politechniki. Ponieważ wobec ogólnie przyznanego przeciążenia, a już co najmniéj obciążenia uczniów w dzisiejszych szkołach średnich najprostsza droga do tego celu, t. j. kumulacya materyału naukowego obu szkół, gimnazyalnych i realnych, jest wykluczona, więc autorowie powyższego wniosku krakowskim targiem proponują, aby wziąć rozbrat z greką, pozostawić łacinę, w skromniejszym oczywiście wymiarze nauczania, i w ten sposób wytworzyć z programów obu szkół średnich kompozycyę, która miałaby stanowić program nowéj jednolitéj szkoły średniéj. Ta amputacya greki miałaby się według wnioskodawców reformy odbyć bez żalu, nawet bez skrupułu, nie jako akt niemiłéj, ale twardéj konieczności, lecz przeciwnie z lekkiém sercem, jakby odrzucenie balastu zbytecznego, z tém przekonaniem, że się raz trzeba ocknąć i uczynić to, co zdrowy rozum i względy na dobro młodzieży a nawet na interesa społeczeństwa już dawno uczynić nakazywały.

W obradach ankiety uczestnicy obu obozów, zwolenników jednolitéj szkoły średniéj i dzisiejszego jej podziału na typ humanistyczny i realny, traktowali sprawę ze stanowiska wyższego i zakreślili jéj widnokrąg szeroki. Pierwsi mieli po swojéj stronie oprócz samego wnioskodawcy, posła Rottera, takiego znakomitego i dla sprawy poniekąd rozentuzyazmowanego szermierza, jak poseł Stanisław Szczepanowski, drudzy powołać się mogą nietylko na głosy szeregu znakomitych fachowych znawców stosunków szkolnych, lecz nadto na taką powagę literacką, jak Stanisław hr. Tarnowski. Interesa i interesiki praktyczne, jak np. ten, żeby jednolita szkoła usunęła zakorzeniony w społeczeństwie przesąd, jakoby w hierarchii intelektualno-naukowéj wyższość zawsze mieć musieli ludzie ze studyami humanistycznemi i t. d., zeszły na drugi plan i odzywały się tylko nieśmiało w niektórych przemówieniach, które do najświetniejszych zaliczać się nie będą, a natomiast górowały argumenta ogólnéj natury. Poseł Szczepanowski, który w Anglii odbył szkołę życia praktycznego i stosunki społeczeństwa angielskiego zwykł zawsze za wzór stawiać, wystąpił jako szermierz nowoczesnego kierunku wiedzy i zastosowanego doń systemu szkolnego, który powinien uzbrajać młode pokolenie pod względem charakteru i wykształcenia tak, aby stanąć mogło do walki życia z wszelką szansą zwycięztwa. Szkoły gimnazyalne, w których balast greki i łaciny uniemożliwia należyte traktowanie nauk przyrodniczych i skierowanie młodzieńczego umysłu na tory praktyczne, nie mogą wydać potrzebnego zastępu takiéj inteligencyi, jakiéj wymagają najwyższe interesa kraju w dobie dzisiejszéj. Zwolennicy dzisiejszego systemu nie zaprzeczali téj potrzeby, ale nie uznawali tego założenia, żeby dzisiejsze gimnazyum nie stało, względnie po wprowadzeniu pewnych ulepszeń i uzupełnień nie mogło stanąć, na wysokości takiego zakładu, jakiego potrzeba społeczeństwu dla zapewnienia sobie potrzebnego zastępu inteligencyi. Szkoła średnia nie może wtłoczyć w umysł młodociany całokształtu wiedzy, lecz tylko przysposabia go do późniejszéj ścisłéj pracy naukowéj, w której drogi zawsze rozchodzić się muszą, stosownie do zamiłowania i powołania. Niepodobna samą łaciną, jak chcą zwolennicy jednolitéj szkoły, zabezpieczyć dostatecznie humanistycznego elementu w kształceniu młodzieży, bo łacina, oderwana od wspólnego pnia kultury greckiéj stanie się oschłym, chyba do miary praktycznych widoków, jak łacina kuchenna, przykrojonym przedmiotem. A nie wolno społeczeństwu, chcącemu utrzymać się na szczycie téj wielkiéj piramidy cywilizacyjnéj, na jaką całe wieki się złożyły, podważać jéj podstawy, niejako odrywać się od niéj, nie wolno wogóle, a najmniéj w czasach dzisiejszych, gdy wybujały i już nawet w młode umysły wżerający się

prąd materyalistyczny wymagałby raczéj wzmocnienia pierwiastku idealnego w kształceniu kultu ideałów, których źródło wiecznie tryskające i ożywcze świat starożytny pozostawił w spuściźnie całéj ludzkości.

Jak zawsze w takich razach bywa, skończyło się na uchwale pośrednią drogę zalecającéj. Ankieta uchwaliła wniosek hr. Reya, według którego należałoby zaprowadzić jednolitą szkołę średnią z „bifurkacyą" (*sic*) w klasach wyższych, z których jeden oddział miałby odróżniać się od drugiego nauką helenizmu z nadobowiązkową nauką języka greckiego, a oba oddziały kwalifikowałyby potém zarówno do wstępu na uniwersytet, jak i do politechniki. Może niejasném wyda się czytelnikowi powyższe streszczenie uchwały „bifurkacyjno"-szkolnéj, ale to już nie moja wina, bo wytrawni nawet pedagogowie w artykułach poświęconych uchwale ankiety oświadczają wprost, że jéj dobrze nie rozumieją, a przynajmniéj nie mogą sobie dobrze wyobrazić, jakby w szczegołowym rozkładzie i planie nauk wyglądała szkoła zorganizowana według téj uchwały „bifurkacyjnéj"!

Od uchwały naszéj ankiety szkolnéj do ułożenia formalnego projektu reformy ze wszystkiemi szczegółami jeszcze daleko, a gdyby nawet odległość ta w jaki sposób skrócić się dała, to o wprowadzeniu uchwały w życie na razie mowy niéma. Na odrębną bowiem organizacyę szkoły średniéj w Galicyi rząd nie zgodzi się, a nawet nie leży w interesie kraju, aby taką odrębną organizacyą zamknął młodzieży swojéj drogę do uniwersytetów pozakrajowych. Żeby zaś postulat galicyjski, chociażby dopiéro po usunięciu dzisiejszéj niejasności i należytém sformułowaniu, znaleść miał zaraz żywy odgłos i akces w całéj Austryi, tego oczekiwać nie można. Na razie przeto wypadnie zadowolić się tym, zresztą wcale niemałym zaszczytem, że, kiedy w innych krajach koronnych walki wewnętrzne na tle narodowych sporów absorbują całą uwagę i doprowadziły już do obojętności dla poważniejszych spraw publicznych, u nas samodzielna inicyatywa reformatorska w tak poważnym zakresie spraw mogła obudzić żywy interes ogółu i zachęcić najświetniejsze umysły w kraju do zajęcia się nią we wszystkich szczegółach.

Ale kiedyś przecież przyjść musi do zaprowadzenia jednolitego typu szkoły średniéj! Tak mówią jéj zwolennicy, niezrażeni wszelkiemi zaporami dzisiejszemi. Być może, ale kwestya ta wchodzi już w sferę—proroctw. Na razie opinia jest podzielona. Ale zapaleni reformatorowie łudzą się, jeżeli mniemają, że dzisiejszy system szkół średnich nie posiada równie gorących zwolenników, jak idealizowana przez nich szkoła jednolita. Piszący to odbył studya gimnazyalne za dawnych czasów, pod niemieckimi profesorami, wysortowanymi dla zapadłéj Galicyi z niemieckich prowincyi Austryi, a jednak głośno to po-

wie każdemu, że za nic nie oddałby dziś tego, iż uczył się greki. Co więcéj, piszący to ma syna, który, ukończywszy gimnazyum w dzisiejszych szczęśliwszych czasach, wybrał sobie w studyach uniwersyteckich nauki przyrodnicze, jako zawodowy zakres wiedzy, a mimo to, po wysłuchaniu wszystkich argumentów za szkołą jednolitą, także otwarcie przyznaje się do tego, że za nic nie dałby sobie wydrzéć tego, iż uczył się greki.

W czém jednak zwolennicy jednolitéj szkoły średniéj już nie łudzą się, lecz wprost mylą, to w tém, że swój obóz nazywają „postępowym", a przeciwników, jeżeli nie wprost zacofańcami, to co najmniéj zaśniedziałymi konserwatystami. Właśnie tam, gdzie taki nacisk położono na nauki przyrodnicze, podział powyższy razi brakiem wszelkiego uzasadnienia. Wszakżeż nie na tendencyi ku ujednostajnieniu typów, lecz na ich rozmaitości polega ewolucya w przyrodzie, a w sferze duchowéj nie można postępowi zakréślać odwrotnego kierunku. Jeżeliby tedy chodziło o postęp w reformie szkolnictwa w znaczeniu do potrzeb i kierunków współczesnego życia zastosowaném, to wypadałoby myśléć nie o przekształcaniu obecnego systemu, lecz raczéj o jego udoskonaleniu, a przedewszystkiém o uzupełnieniu takiemi nowemi typami szkół, któreby społeczeństwu zapewniały potrzebne zastępy fachowych pracowników we wszystkich działach prac i potrzeb.

Ita.



ZAKŁADY GÓRNICZE

w Białogonie.*)

Rozszerzająca się z każdym dniem działalność fabryki wymagałała wielu nowych urządzeń. To też w r. 1834 zbudowano tu piec kopulowy (kopulak) do odlewów różnych części maszyn, wymagających dokładności i pośpiechu. Mieścił się on w końcu pawilonu, zajętego przez nową walcownię: wiatru zaś do niego dostarczał miech cylindrowy, żelazny, poruszany przez koło wodne dawnych warsztatów mechanicznych. Prąd jego przechodził rurami podziemnemi do regulatora żelaznego, skąd znowu dostawał się przez aparat ogrzewalny, umieszczony nad gichtą, do formy wprost ku ognisku zwróconéj. Nadto powiększono warsztaty kowalskie przez urządzenie czterech nowych ognisk w budynku, przeznaczonym za czasów Staszyca na kotlarnię miedzianą, a położonym poza prawym pawilonem. Tu odkuwano także różne części składowe maszyn; kosy jednak do sieczkarń sprowadzano z Anglii, gdyż zakłady górnicze w kraju nie produkowały stali. Oprócz zwykłych narzędzi i machin rolniczych, wykonano w tym roku w Białogonie różne większe roboty, o których tu jako o faktach, dających miarę budzącego się u nas przemysłu, nie możemy przemilczéć. Tak dla papierni w Jeziornie odrobiono lewary do podnoszenia stawideł; dla

*) Obacz „Ateneum“ zeszyt listopadowy r. b., str. 329.

fabryki sukna w Przedborzu prasy hydrauliczne; do fabryki Steinkellera w Żarkach różne części do maszyn, wreszcie dla Kanału Augustowskiego lewary, zawiasy dla śluz oraz stawidła.

W ciągu tego roku puszczono w bieg także po długiéj przerwie walcownię i hamernię, które pod kierunkiem zawiadowcy, Mieszkowskiego, wyprodukowały:

	centnarów,	funtów
Blachy żelaznéj, zwyczajnéj . . .	1663	80
„ kotłowéj	850	84
Pasków i precików rzniętych . .	133	34
Blachy ołowianéj	18	60
„ miedzianéj.	282	57
Miedzi kutéj w hamerni . . .	402	88

Nie ograniczając się na produkowaniu surowéj blachy żelaznéj, zaprowadzono pobielarnię do cynkowania blach, początkowo według planu Klimkiewicza, następnie Girarde'a. W dążeniu jednak do ciągłego rozwoju i udoskonalenia zakładów białogońskich, Łubieński, idąc za myślą przewodnią swego poprzednika, pragnął je utrzymać na wysokości podobnych zakładów angielskich, i w tym celu w r. 1835 wysłał Preachera do Anglii, któremu zalecił zbadanie stanu tamtejszych fabryk, sprowadzenie modeli, i zastosowanie wszelkich ulepszeń do zakładów górniczych w kraju. Preacher, po całorocznym pobycie w Anglii, przywiózł z sobą nietylko mnóstwo modeli i rysunków, ale nadto sprowadził trzech Anglików, którzy dotychczasowy sposób pobielania blachy na więcéj produkcyjny zmienili. Z tych Wiliam Allen zajmował się walcowaniem blachy, Tomasz Butler jéj pobielaniem; ogólny zaś kierunek nad walcownią objął inżynier, Tomasz Felvers, który Mieszkowskiego zastąpił.

Bez względu na nieobecność Preachera, zakłady białogońskie w ciągu roku 1835 dokonały ważnych robót dla nowo powstających zakładów kąpielowych w Busku. Jakoż zbudowały i ustawiły na miejscu maszynę do pompowania wody mineralnéj, kotły żelazne, parowe do jéj ogrzewania, oraz wanny cynkowe. Nadto z rozporządzenia wydziału górnictwa wzniesiono 10 domów dla rzemieślników, z przeznaczeniem po cztery rodziny na każdy. Nie mniéj zwiększyła się i produkcya walcowni. Tak blachy żelaznéj, surowéj wyrobiono więcéj, niż w roku poprzednim o 277 centnarów i 91 funtów; kotłowéj o 669 cent., 13 funtów; miedzi kutéj o funtów 6. Nadto, czém nie zajmowano się w roku minionym, wyprodukowano blachy miedzianéj 393 cent., 79 funtów, oraz narożników do kotłów cent. 8, funtów 73. Natomiast pasków i pręcików rzniętych wyrobiono mniéj o 56 cent. i 29 funtów.

Preacher, po swym powrocie z Belgii, zajął się nietylko wykonaniem wielu robót według przywiezionych modeli, lecz i licznemi ulepszeniami i rozszerzeniem fabryki. Przedewszystkiém, do pieca kopulowego wybudował nowe koło, umieszczając je w krytym budynku. Ruch nadawała mu woda, odpływająca kanałem z pod kół warsztatów mechanicznych. By zaś i miech cylindrowy, który wiatr do pieca za pomocą rur podziemnych przesyłał, niezależnym od nich uczynić, przeniósł go do tegoż budynku, a na jego miejscu postawił wiatraczek, który za pomocą rur podziemnych dostarczał wiatru do 10 ognisk kowalskich, do czego wprzódy używano tyleż ręcznych miechów skórzanych. Tym sposobem zaoszczędzano pracę 10 dymaczów i zyskiwano na pośpiechu i dokładniejszém szwejsowaniu. Nadto w warsztatach mechanicznych zaprowadził więcéj tokarni, znosząc ścianę, oddzielającą je od sali rysunkowéj, którą urządził na górze. Rozszerzył także kotlarnię parową i wzniósł nowy komin przy kotle parowym, przeznaczonym do próbowania wytrzymałości wyrabianych machin parowych. Cały zakład wreszcie otoczył parkanem, osadzonym w murowanych słupach.

Rok 1836 upamiętnił się nietylko w dziejach Białogona, lecz i całego górnictwa. Z chwilą tą bowiem rozpoczyna się wykonywanie długo obmyślanych planów przebudowy dawnych pieców, lub wznoszenia nowych w celu zapewnienia większéj wydajności w produkcyi żelaza. Na początek wystawiono wielkie piece w Niwce i Mroczkowie. Do nich więc wyrabiano w Białogonie miechy żelazne cylindrowe, oraz kotły parowe dla zakładów górniczych w Dąbrowie. W tymże roku dokonano budowy gichtociągów do blachowni w Pradłach (okrąg zachodni, dziś fabryka prywatna); nadto wyrabiano: sikawki pożarne, regulatory, wagi, oraz wiele gospodarskich maszyn i narzędzi. Wprawdzie blachy żelaznéj surowéj wyrobiono mniéj, niż w roku poprzednim o 72 centnarów i 45 funtów; blachy miedzianéj o 238 cent., 8 funtów; miedzi w hamerni o 169 cent., 76 funtów; ale za to wyprodukowano więcéj blachy kotłowéj o 1,199 cent., 46 funtów; pasków i pręcików o 390 cent., 99 funtów; wyciągnięto blachy ołowianéj 134 centnarów, 41 funtów, i wyprodukowano blachy do pobielania 228 cent., 87 funtów, z któréj otrzymano 35,782 pobielanych arkuszy. Nadto fabrykantom postronnym przewalcowano najzylbru cent. 20 i funt. 80.

Pomimo wszakże tak pomyślnego stanu górnictwa w roku następnym zaszła w niém najmniéj spodziewana odmiana. W d. 1 maja 1837 roku, kontraktem, zawartym na lat 25, Bank wypuścił w administracyę całe górnictwo Maurycemu Koniarowi, dotychczasowemu administratorowi dochodów tabacznych. Korzyść była ta, iż Bank, zapewniwszy sobie ściśle oznaczony dochód z górnictwa i, zobowiązawszy Koniara

do przeprowadzenia wszelkich zamierzonych w niém ulepszeń, pozbywał się kłopotów, wynikających z bezpośredniego niém zarządu.

Bez względu na zaszłą zmianę skład urzędników w górnictwie ten sam pozostał: w Białogonie nawet stworzył Koniar nowe posady, mianowicie: magazyniera, asystenta, oraz dwóch dozorców przy warsztatach mechanicznych, gdy przy piecu kopulowym i walcowni ustanowił po jednym. Nadto z anglikami: Allenem, Butlerem i Felvers'em odnowił kontrakt na trzy lata.

Z swojéj strony Bank, pragnąc ułatwić zbyt maszyn rolniczych, otworzył na ich zakup kredyt właścicielom ziemskim, rozkładając wypłatę na raty, które mogły nawet kasy powiatowe przyjmować. To téż nic dziwnego, iż zeń korzystano szeroko.

W tym roku wybudował również Bank 12 domów mieszkalnych, każdy na dwie rodziny dla urzędników górniczych. Tym sposobem osada rozciągała się aż do szosy krakowskiéj. Z domów tych jeden przeznaczono na szkołę elementarną dla dzieci fabrykantów i mieszkanie nauczyciela, na którego utrzymanie składała się osada.

Z robót ważniejszych, jakiemi w ciągu roku 1837 zajęte były zakłady białogońskie, wymienić należy: miech cylindrowy, żelazny do pieca wielkiego w Maleńcu (własność Tadeusza Bocheńskiego), z kołem wodném i trybowém, przenoszącém jego ruch na maszyny, należące do pieca, oraz te same przyrządy do pieca wielkiego, budującego się w Rejowie, a nadto stawidła i gichtociąg, dostarczający rudę, wapień i węgle nie zapomocą windy mechanicznéj, lecz kolei trybowéj, ustawionéj na równi pochyłéj, sięgającéj od ziemi do wysokości pieca. Po téj kolejce za pomocą łańcucha wciągała wózek, wyładowany rudą lub węglem odpowiednia maszyna, tyle zużywając czasu, ile go istotnie było potrzeba, dla zasilenia pieca nowym nabojem. Ów gichtociąg, po latach 60, dziś jeszcze bez zmiany swoje funkcye wypełnia!

Działalność walcowni była niemniéj natężona w tym roku. Saméj blachy żelaznéj, surowéj wyrobiono 2,073 centnarów, 85 funtów; blachy kotłowéj 1,908 cent., 65 funtów; wreszcie blachy do pobielania 1,330 cent., 78 funtów, z których wyprodukowano 177,259 arkuszy.

Dla przekonania się, jak idą fabryki pod administracyą Koniara, zwiedził je w październiku t. r. generał-lejtenant, Szypów, dyrektor główny w Komisyi spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia publicznego; następnie w listopadzie sam namiestnik, ks. Paskiewicz.

Koniar istotnie nie zawiódł położonego w nim zaufania i, by należycie wywiązać się z przyjętych na się zpbowiązań, wyprawił na swój koszt do Anglii Preachera dla poznania nowych wynalazków, ulepszeń oraz sprowadzenia modeli. Nie dość na tém, na czas jego nieobecności

wyznaczył mu zastępcę w osobie inżyniera Johna Douglas'a, właściciela fabryki żelaznéj w Lublinie, aby brak kierownika nie odbił się na biegu prawidłowym zakładów.

Preacher tym razem przebywał w Anglii od 1 czerwca 1838, do końca maja 1839 r. i wrócił z obfitym zapasem modeli wyrobów ozdobnych, jak kominki, ławeczki, stoliki, kraty, nagrobki i t. p.; wreszcie z modelami maszyn i różnych działaczów w warsztatach mechanicznych. Do takich np. należała mała heblarnia do obrabiania sztuk drobnych, które dotąd produkowano ręcznie, co wiele zabierało czasu; daléj nutowania — maszyna do wycinania rowków, w które kliny kół trybowych wpadają, oraz do robienia otworów okrągłych w mufach, szajbach, i innych sztukach dla dopasowania ich do osi. Nadto sprowadził wiertarnię obrotową, wiszącą, oraz dwie maszyny do kucia nitów do kotłów parowych, jednę o silę 10 koni, drugą o sile czterech. Pierwszą, po zrobieniu z niéj dokładnego modelu, przeznaczono do warsztatów w Suchedniowie, drugą pozostawiono na miejscu.

Produkcya walcowni w latach 1838 i 1839 jest nieco niższa, niż w roku poprzednim, ale wyrównywa ilości otrzymywanéj blachy przed rokiem 1837. Pochodzi to zapewne wskutek zmniejszonych zapotrzebowań i nadmiaru blachy, znajdującéj się na składach. Oto, jak się wydajność przedstawia:

	Rok 1838		Rok 1839	
	Centnarów,	funtów.	Centnarów,	funtów.
Blachy zwyczajnéj żelaznéj	1,138	50	1,840	8
„ kotłowej . . .	1,601	63	865	34
„ do pobielania . .	1,520	40	6	50
„ ołowianéj. .	13	85	53	7
Pasków i pręcików . .	13	50	475	15
Nejzylbru	71	46	212	90
Blachy pobielanéj arkuszy .	140,050		6,795	

Natomiast warsztaty mechaniczne pracowały w ciągu tych dwu lat usilnie. Podobnie jak w Niwce, Mroczkowie i Rejowie, z rokiem 1838 zabrano się do budowy trzech pieców wielkich w Starachowicach, oraz pudlingarni o 6 piecach pudlowych w Michałowie i Brodach, a do każdéj z tych miejscowości Białogon potrzebnych maszyn dostarczał.

Tak dla Starachowic zbudowano tu dwa miechy cylindryczne z blaszanym regulatorem; dla Michałowa zaś i Brodów koła wodne, wraz z transmisyjnémi kołami trybowemi. Nadto do budującéj się cukrowni hr. Małachowskiego w Nowém-Mieście nad Pilicą wygotowano prasy hydrauliczne, pompy, kotły parowe, młyn do buraków, młyn do mielenia węgla z kości zwierzęcéj z sześcio-konnym kieratem.

Prócz tego, w tych dwóch latach, po stronie lewéj od bramy, wzniesiono poprzeczny pawilon, na pomieszczenie: w jednéj jego części kasy, którą dotąd przechowywano w domu zawiadowcy, zbudowanym przez Kadena; w drugiéj dla pomieszczenia wyprodukowanych maszyn, których coraz większe gromadziły się zapasy.

Do robót, które dotąd przetrwały, a wykonanych w r. 1839, należy: przeprowadzenie szosy, od drogi bitéj krakowskiéj do fabryki i zbudowanie na niéj murowanego mostu, rzuconego nad dopływem Silniczki.

Rok ten rozpoczyna się w księdze pamiątkowéj szeregiem licznych podpisów, które do 179 dochodzą. Tylko charakter osób, zwiedzających zakłady białogońskie, nieco odmienny. W okresie poprzednim zjeżdżano tu jedynie w celu poznania robót hutniczych; obecnie, lubo nie brak i takich, co dla zaspokojenia ciekawości podejmują podróż z dalszych nawet okolic kraju, większość ma cele utylitarne: przybywa dla zamówień machin lub narzędzi rolniczych. Stąd przeważnie spotykamy przemysłowców, rządców dóbr i obywateli ziemskich.

Rok 1840 zapisał się przedewszystkiém znaczną produkcyą blachy żelaznéj zwyczajnéj, oraz miedzianéj, któréj wyrób od lat trzech zaniedbano zupełnie. Pierwszéj, wyprodukowano centnarów 4,632, funtów 67; drugiéj cent. 3,460. Natomiast wyrób blachy pobielanéj ogranicza się zaledwie do 31 centnarów. Przyczyną tego był odjazd do Anglii Allena, Butlera i Felversa, którzy po upłwie lat trzech nie chcieli odnowić zawartego z nimi kontraktu. Odtąd pobielaniem blachy zajmować się miał hutmistrz walcowni, Zawadzki.

Skąd jednak brano tyle miedzi, jeżeli kopalnie jéj były wyczerpane już za czasów Staszyca? Dobywano ją w małéj ilości z osuszonych kopalń miedzianogórskich, wreszcie sprowadzano z zagranicy. Koszt nabycia i transportu pokrywały zyski, jakie, otrzymywano po jéj przerobieniu zwłaszcza wobec zapotrzebowań rozwijającego się przemysłu gorzelnianego.

W warsztatach mechanicznych wykonano w tym roku: do cukrowni w Homlu kotły parowe, oraz cztery prasy hydrauliczne; dla generała Koseckiego cały tartak z kieratem; do Sancygniowa w krakowskiem (Deskura) maszyny do młyna wodnego, tartaku, gontarni i olejarni; dla Hermana w Warszawie dwie walcownie do wyrabiania cienkich blaszek ołowianych do owijania tabaki; wreszcie dla warzelni soli w Ciechocinku, oraz zakładów rządowych w Suchedniowie i prywatnych w Chlewiskach maszyny do kucia gwoździ.

Co do miejscowych ulepszeń: podwyższono piec kopulowy i wybudowano przy nim wieżę gichtową, z windą do wciągania węgla i surow-

ca; nożyce wielkie do obcinania blach, oraz żóraw do ładowania maszyn na wozy.

Jak za czasów Staszyca r. 1820, tak w okresie obecnym, r. 1840 zaznacza się największą liczbą osób zwiedzających Białogon. Jest ona wyższa nawet bo dosięga cyfry 217. Pomiędzy niemi zwiedza zakłady białogońskie Ignacy Turkułł, po Grabowskim nowy minister-sekretarz stanu, w towarzystwie dyrektora wydziału dóbr i lasów w Komisyi przychodów i skarbu, referendarza, Koseckiego. Rozwijały się też fabryki tutejsze nader pomyślnie; obstalunki napływały do nich ze wszystkich okolic kraju.

Rok 1841 nie ustępuje pod tym względem latom poprzednim, a nawet je może przewyższa. Oprócz narzędzi rolniczych, zakłady białogońskie wyrabiają dla Brzeskiego do Krakowa maszynę nizkiego ciśnienia o sile sześciu koni do olejarni, młynki do mielenia i aparat do prażenia rzepaku, prasę hydrauliczną z pompą do wyciskania z niego oleju, oraz całą maszyneryę do tartaku. Do Galicyi dla firmy Fritsche et Com. walcownią wodną do produkcyi blach i dwa miechy cylindrowe, drewniane; dla Kirchmajera do Krakowa różne części do olejarni; dla Ewansa do Warszawy kocieł parowy i heblarnią małą według modełu angielskiego; dla fiirmy: Erwin i Gajer z Łodzi wiele kunsztownych odlewów; do Sławuty dla firmy Landenbach i Szajtz maszyny do papierni; dla Wielogłowskiego miech cylindrowy do pieca wielkiego w Bliżynie; do Radzynia na Podlasiu kotły parowe, oraz różne części maszyn do cukrowni Szlubowskiego; dla hr. Scypionowéj prasy hydrauliczne do cukrowni w Ćmielowie; daléj suszarnie blaszane dla Schäffera z Warszawy i Józefa Gołuchowskiego z Garbaczu; dla hr. Łubieńskiego w lubelskiém tartak wodny; kasy żelazne, ogniotrwałe dla Banku polskiego; do Ciechocinka wiatrak do pompowania wody; dla zakładów górniczych w Dąbrowie i Chlewiskach kotły parowe, oraz do takichże zakładów w Suchedniowie maszynę do robienia łańcuchów i nożyce do strzyżenia pasków na gwoździe rozmaitéj wielkości; wreszcie do Sielpi, jednego z zakładów górniczych rządowych, mechanizm zębaty do podnoszenia stawideł i różne części do pieców wielkich w Starachowicach. Dodajmy, że większą część wyprodukowanych maszyn ustawiali maszyniści na miejscu, a możemy podziwiać zarówno energią głównych ich kierowników, jak i pracowitość robotników i majstrów. Nie mniéj w walcowni produkcya blachy żelaznéj, zwczajnéj powiększyła się o 729 centąrów, 95 funtów, niżli w roku poprzednim; natomiast blachy kotłowéj otrzymano tylko 1027 cent., 27 funtów, pasków i pręcików 147 cent., 40 funt., najzylbru 316 cent., 60 funtów; blachy zaś miedzianéj, ołowianéj i pobielanéj nie wyrabiano wcale. Za to wprowadzono do wal-

cowni jedno ważne ulepszenie: zbudowano w niéj maszynę parową o sile 40 koni, nizkiego ciśnienia z dwoma kotłami do poruszania jednéj uprzęży walców blachowych, oraz środkowych do produkowania blach pobielanych. Nowość tę zaprowadzono na przypadek zamarznięcia wody w kanale lub zwiększenia się zamówień. Nadto przy kole wodném, poruszającém miech cylindrowy, przeznaczony do pieca kopulowego, urządzono drugi miech drewniany dla wzmocnienia wiatru, gdyż jeden, po dokonaniu przeróbki rzeczonego pieca, nie był wystarczający. Zbudowano także młynek do mielenia węgla kamiennego dla giserniané) formierni, puszczono w ruch nową tokarnię w warsztatach mechanicznych a dla kotlarni parowéj urządzono maszynę do przebijania blachy kotłowéj (*Loch-Maschin*). W tym czasie zakłady białogońskie zwiedziło 138 osób. Rok 1842 był ostatnim, w którym się górnictwo pod kierunkiem hr. Łubieńskiego i administracyą Koniara rozwijało normalnie. Ostatniém ulepszeniem, jakiego dokonano w zakładach białogońskich było zbudowanie machiny o sile 2-ch koni, z jednym kotłem parowym do poruszania trzech tokarń, przeznaczonych do obtaczania modeli drzewnych, z piłą do przerzynania bali i tarcic. Wprzód dokonywano tego siłą ręczną.

Również kotlarnia i warsztaty mechaniczne miały dosyć zajęć w tym roku. Do fabryk Chlewiskich, w Nadolnéj, zbudowały maszynę parową o sile 10 koni, wysokiego ciśnienia do poruszania miechów; takąż maszynę do wielkich pieców w Szczecnie dla Nowosielskiego; daléj do Bodzechowa dla Kotkowskiego miech cylindrowy, żelazny, dla hr. Artura Potockiego z Krzeszowic machiny gorzelniane; dla hr. Henryka Potockiego z Koniecpola do cukrowni kocieł parowy; dla Gajera z Łodzi różne części maszyn do przędzalni; dla br. Larysza machiny do tartaku wodnego, wreszcie dla teatru krakowskiego różne maszynerye sceniczne.

W walcowni wyrobiono blachy żelaznéj, zwyczajnéj o 220 cent., 92 funtów więcéj, niż w r. 1841, kotłowéj o 96 cent, 15 funtów. Nadto blachy do pobielania otrzymano cent. 51, funt. 70, ołowianéj cent. 38 funt. 50, pasków i pręcików cent. 159, funt. 20, najzylbru cent. 406, f. 26, oraz wyprodukowano blachy pobielanéj arkuszy 5315, miedzianéj 23 centnarów.

Poczynając jednak od r. 1842 liczba zwiedzających Białogon nagle się zmniejsza. Obecnie było ich tylko 47. Bo też nad górnictwem znowu w tym roku ponura groźba zawisła.

Upadek Józefa Lubowidzkiego, ówczesnego prezesa Banku i wiceprezesa Łubieńskiego, podkopując zaufanie do téj jedynéj, poważnéj instytucyi finansowéj w kraju, podkopywał także i dotychczasowy byt

rozwijającego się górnictwa. Nie wchodząc, o ile tak ciężkie zarzuty, jak dokonywanie fałszywych obrotów w Gdańsku wysyłaném na sprzedaż zbożem; jak niedobory, ujawnione w dochodach w młynie parowym na Solcu i w papierni w Jeziornie, zostających w administracyi Banku; jak wykryte malwersacye przy paleniu wyszłych z obiegu biletów kredytowych, wreszcie udzielanie nieograniczonych kredytów Steinkellerowi i nabycie na własność osobistą w r. 1839 ogromnych dóbr Lubartowskich, obciążały winą sprzeniewierzenia się ówczesnych kierowników Banku; (sprawa ta bowiem, dotąd nietknięta, domaga się przedmiotowego wyjaśnienia); faktem jest przecież, nie dającym się obalić, iż pod zarządem Łubieńskiego górnictwo weszło u nas na drogę rzeczywistego rozwoju i rokowało na przyszłość najpiękniejsze nadzieje. Nie mówiąc już o stałém jego dążeniu do utrzymania zakładów białogońskich na wysokości fabryk angielskich; wszystkie piece wielkie, pudlingarnie, fryszerki, jakie dotąd istnieją, za jego rządów powstały. A cóż mówić o budowach wodnych, które dziś jeszcze zdumiewają trwałością, mocą i ogromem! Co o groblach bitych na stawach fabrycznych, ujętych ze stron obydwóch obudową ciosową, jak w Rejowie; o tych upustach murowanych na wzór wodociągów rzymskich w arkady w Brodach, a mających piętrowych domów wysokość; co wreszcie o kamiennych tarasach w Starachowicach, o mostach śmigających śmiałymi łuki, lub wodnych, sklepionych kanałach, przeprowadzonych na znacznych nieraz przestrzeniach! Wszystkie te budowy dowodzą, że myślą sięgał w przyszłość daleko, że, co tworzył, temu trwałość niespożytą nadawał.

Rok 1842 położył kres płodnéj jego działalności nazawsze. Pierwszą też zapowiedzią zmian, mających nastąpić w górnictwie było rozwiązanie zawartego z Koniarem na lat 25 kontraktu i wydelegowanie Felicyana Frankowskiego, inżyniera drogi warszawsko-wiedeńskiéj, do spisania inwentarza wszystkich zakładów górniczych. Wreszcie ukazem cesarskim górnictwo od d 1 stycznia 1843 roku przeszło z pod zarządu Banku pod zarząd Komisyi przychodów i skarbu, przy któréj ustanowiono wydział górnictwa z dyrektorem Eliaszem Szenszynem, pułkownikiem artyleryi, który z tą nową godnością rangę generalską otrzymał. Nie od razu jednak usunięto Koniara; pozostał on przy administracyi aż do zupełnego ukończenia czynności likwidacyjnych, tylko mu dodano kontrolerów ze strony rządu. Nadto z ramienia namiestnika ustanowiono komisyą do rewizyi wszystkich zakładów pod kierunkiem Ankiewicza, naczelnika wydziału górnictwa.

Bez względu jednak na gotujące się zmiany, w walcowni białogońskiéj produkcya blachy żelaznéj w tym roku doszła do *maximum*.

Wyrobiono jéj 7082 centnarów, 40 funtów. Natomiast produkcya blach innych znacznie się zmniejszyła. Blachy kotłowéj wyrobiono tylko 533 cent., 97 f.; blachy do pobielania 112 cent.; ołowianéj 349 cent., 70 f.; pasków i pręcików 90 cent., 50 f.; najzylbru 280 cent., 51 funt., oraz pobielono blachy 23575 arkuszy.

Faktem godnym uwagi jest to, że właśnie w téj przełomowéj dla górnictwa chwili, przybyła w r. 1843 z Prus delegacya dla zbadania i złożenia swemu rządowi sprawozdania o stanie górnictwa w Królestwie Polskiém. Delegacyą tę składali: Nögeraht, starszy radca górniczy i prof. uniwer. w Bonn; Carnalla, dyrektor górniczy w Górach Tarnowskich (Tarnowitz), oraz Mentzel, inspektor zakładów w Friderichshüte.

Należy wątpić, by delegacya ta, zwiedzała zakłady białogońskie w celu zaznajomienia się z postępami na polu techniki górniczéj; przypuszczać raczéj należy, iż szło o przekonanie się, o ile podkopany kredyt Banku wpłynie ujemnie na zakłady górnicze i czy fabryki pruskie mogą co na tém skorzystać.

W ciągu następnych lat dwóch produkcya zakładów słabnie. Że wciąż coś się tu robi, widzimy choćby stąd, że do Białogona odkomenderowano 19 rekrutów górniczych, którzy wprzód zajęci byli w Mostkach i Parszowie odlewami amunicyi; tu zaś wykonywali odpowiednio do uzdolnienia różne wyroby w walcowni, giserni i warsztatach mechanicznych; ale zdajc się, iż w ogóle, z przyczyny zmiany administracyi, przyjmowano jak najmniéj zamówień nowych i tylko wykończano dawniejsze. Zestawienie zresztą cyfr, odnoszących się do wyrobionego materyału w saméj walcowni, przekonywa o tém wymownie.

	W r. 1844.		1845.	
	Cent.	funtów	Cent.	funt.
Blachy żelaznéj zwyczajnéj:	3831	2	3944	87
„ kotłowéj.	1061	60	326	50
„ do pobielania:	133	—	281	19
„ miedzianéj:	29	25	—	—
„ ołowianéj:	—	—	—	—
Pasków i pręcików:	—	—	—	—
Najzylbru:	139	63	50	31
Pobielono blachy arkuszy;	14075		27000	

Nakoniec z d. 1 lutego 1845 r. zarząd górnictwa przeszedł faktycznie z pod administracyi Koniara do Komisyi przychodów i skarbu, a ze zmianą tą i dla Białogona nowy się okres rozpoczął. Zanim się jednak nim w dalszym ciągu zajmiemy, zaznaczyć musimy innego jeszcze rodzaju działalność zakładów białogońskich, najściślej z tyloma wzno-

szonemi w nich budynkami związanéj. Mówimy tu o produkcyi cegły i wapna, wydobywanego z sąsiedniéj góry Kadzielni. Otóż w okresie pomiędzy rokiem 1833 a 1845 wyrobiono pierwszéj ogółem sztuk: 3518950, czyli przecięciowo 270688 rocznie; drugiego zaś wypalono korcy 51918, czyli po 3993 rocznie. Na mocy jednak wyższéj decyzyi z końcem r. 1845 wydanéj, cegielnia i wapiennia przeszły w zawiadywanie rządu gubernialnego radomskiego, który jednak ograniczył ich produkczą z téj przyczyny, iż w skutek zniesienia gubernii Kieleckiéj, m. Kielce zaprzestało na długie lata nowych domów budować.

IV.

Szenszyn objął kierunek wydziału górnictwa za dyrektorstwa Morawskiego w komisyi skarbu... Jako artylerzysta nie był bez nauki. Owszem, umysł miał bystry, obejmujący każdy przedmiot w najdrobniejszych szczegółach; ale szorstki i gwałtowny, wymagał od podwładnych posłuszeństwa, jak od prostych żołnierzy i nawet w sprawach technicznych nie znosił przeciwnego zdania. Stąd służba w górnictwie dla ludzi wykształconych i mających długoletnią praktykę pod jego zwierzchnictwem stała się wprost niemożliwą.

Pierwszy do uwolnienia, z zajmowanego stanowiska naczelnego zawiadowcy zakładów białogońskich, podał się Preacher i, po zdaniu służby, objął dyrekcyą fabryki stali w Serocku, założonéj przez towarzystwo prywatne. Opróżnione po nim miejsce, w charakterze zastępcy, zajął Bonawentura Chlebowski, dotychczasowy zawiadowca warsztatów ręcznych w Suchedniowie.. Za przykładem Preachera poszli inni: Fryderyk Lempe, naczelnik wydz. górniczego, Jerzy Pusch (ojciec), zasłużony profesor i autor cennego dzieła: *Krótki rys geognostyczny Polski i Karpat*; dalej Szerner, nacz. sekcyi administracyjnéj górniczéj, Jan Strahler, naczelny budowniczy okręgu zachodniego, wychowaniec akademii górniczéj w Kielcach, Aleksander Watson, inżynier machin i wielu innych.

Wszystko to, tém niekorzystniéj na górnictwo wpływało, że nie było ludzi, którzyby ich ze względu na uzdolnienie i znajomość techniki, mogli zastąpić. Dawna bowiem szkoła górnicza, przeniesiona z Kielc do Warszawy od r. 1832 istnieć przestała i cały korpus górniczy, niezasilany stąd nowemi dopływy, musiał z czasem zmienić swój charakter. Ze stopniowém usuwaniem się z posad dawnych jéj wychowańców, opróżnione po nich miejsca z konieczności zajmowali ludzie bez specyalnego przygotowania, nauki, słowem rutyniści, praktycy, lub co gorsza

wykształceni biurowo. Przyszło do tego, iż cały niemal skład górnictwa przybrał urzędniczy charakter. Wprawdzie utworzenie w r. 1845 szkoły wyższéj realnéj w Kielcach, z dążnością technologiczną, miało zastąpić brak dawnéj akademii górniczéj; ale szkoła ta, sześcioklasowa, obejmująca ni mniéj, ni więcéj tylko 23 przedmiotów, przy 192 godzinach lekcyj tygodniowo, zaledwie słabe uczniom dawała o górnictwie pojęcie. Jak zaś mało uwzględniała kształcenie ich w tym kierunku, dość powiedzieć, iż w ciągu lat 17 istnienia, dwie tylko naukowe odbyto z nimi do zakładów górniczych wycieczki: w r. 1846 do Białogona pod przewodnictwem nauczyciela, Hipolita Święcickiego, i w r. 1855 pod kierunkiem tegóż Święcickiego i Antoniego Rogalewicza do Miedzianéj Góry i Sielpi. Pierwszy z nich wykładał historyę naturalną, drugi technologię górniczą i chemię. Najniepomyślniéj zaś na rozwój przemysłu górniczego wpływało zupełne zerwanie stosunków z Anglią, na któréj dotąd wzorowały się zakłady białogońskie. Rozumié się, o dalszym rozwoju fabryki, o zaprowadzeniu koniecznych w niéj ulepszeń bez tego nie mogło być mowy. Wprawdzie w początkach niniejszego okresu widzimy jeszcze ku temu jakieś usiłowania. Tak zastępca zawiadowcy, Chlebowski, robi próby zużycia na panewki aliażu Fultona, mieszając 80 części cynku z $14^1/_2$ cyny i $5^1/_2$ miedzi i zastosowanie téj nowości wydział górniczy zatwierdza. Ale już w r. 1848 nie udają się próby pobielania blach cyną angielską. Przy zastosowaniu bowiem okazało się, iż na 100 funtów cyny, odpada jéj f. $8^1/_4$. Więcéj prób nie ponawiano. Brak ludzi z udolnieniem techniczném uniemożliwia postęp w tym kierunku. Zakłady białogońskie funkcyonują i na pozór odpowiadają swemu przeznaczeniu. Tak samo, jak dawniéj, wytwarzają narzędzia rolnicze, maszyny, kotły, dokonywają odlewów z mosiądzu i wielu robót ozdobnych, ale wszystko to według dawnych modelów; fabryka idzie raz nabytą rozpędową siłą, lecz na nowe tory nie wchodzi. Zmieniają się tylko ludzie. Po Reklewskim, stanowisko naczelnika okręgu wschodniego od r. 1854 obejmuje Aleksander Szmidecki; na naczelnika zakładów białogońskich, po Chlebowskim, powołany zostaje w r. 1847 Smirnow, dla którego etat podniesiono do rb. 1,500. Po jego śmierci, na posadę tę od 23 października 1853 r. dostaje się Jan Łęski. W ogóle cały 12-letni okres zarządu Szenszyna nie zaznaczył się w zakładach białogońskich postępem. Sądząc o ich działalności z otrzymanych każdorocznie dochodów, możemy zauważyć wielkie różnice. Tak w r. 1853 wynoszą one zaledwie 16,521 rb., gdy tymczasem w r. 1856 dochodzą do 58,837. Widocznie na zmniejszenie zakupów i obstalunków wojna krymska wpływała; po kongresie bowiem pa-

ryskim od razu się zwiększają i w téj wysokości mniéj więcéj utrzymują przez następne lata.

Lecz za to liczba osób zwiedzających Białogon z każdym rokiem się zmniejsza. Jeszcze w r. 1846 spotykamy ich 91. Ale już w r. 1847 podpisów jest tylko 12, w następnym ani jednego, w 1850 r., 17; a w r. 1851 jeszcze mniéj, bo 14 i t. d.

Szenszyn pozostawał na stanowisku dyrektora wydziału górnictwa do r. 1857. Na przedstawienie namiestnika Królestwa z d. 7/19 czerwca t. r., na jego miejsce naznaczony został generał-major Jossa. Za jego zarządu zaprowadzono jedno z ważniejszych ulepszeń. Polegało ono na zastosowaniu systemu ogrzewania gazem drzewnym pieców pudlingowych, szwejsowych i gliowych. Tym sposobem zaoszczędzano wiele paliwa i zyskiwano na czasie. Z zawiązaniem téż Towarzystwa rolniczego zwiększa się pokup na maszyny i narzędzia rolnicze, tak, iż dochód w zakładach białogońskich w r. 1858 dosięga sumy 66,937 rb. W następnym wprawdzie zmniejsza się do rb. 55,165, ale za to w téj mierze po r. 1862 utrzymuje się stale.

Na rządy margrabiego Wielopolskiego, przypada nowa organizacya górnictwa. Na dyrektora wydziału powołany został Hieronim Łabęcki [1]; na wice-dyrektora Aleksander Szmidecki, który od roku 1854 zajmował stanowisko naczelnika okręgu wschodniego; na jego zaś miejsce powołano Jana Łęskiego, po którym posadę zawiadowcy w Białogonie otrzymał Józef Zaorski, który na tém stanowisku pozostawał po r. 1896.

Teraz istotnie zdawać się mogło, iż górnictwo na dawne tory zawróci i, wzorując się na daleko posuniętych w swym rozwoju fabrykach angielskich i niemieckich, zacznie nowe ulepszenia wprowadzać. Tymczasem rok 1863, jeżeli gdzie wywarł fatalne skutki, to bezwątpienia najbardziéj w téj gałęzi pracy społecznéj. Spowodował on nietylko rozbicie ówczesnéj organizacyi górnictwa, lecz zarazem i byt jego zachwiał w posadach. Myśl sprzedaży wszystkich fabryk rządowych w Królestwie Polskiém może jeszcze nie powstała w sferach decydujących; ale to pewna, że sfery te od pierwszéj chwili zwróciły na nie baczną uwagę. Okazuje się to z często ponawianych wizyt i rozporządzeń dotyczących spraw górnictwa.

---

[1]) Autor „Historyi górnictwa w Polsce“, (tomów 2, Warszawa, 1841), oraz wielu innych dzieł odnoszących się do téj gałęzi przemysłu. Dość wymienić: „O sławniejszych górnikach olkuskich“, „Przypadki nieszczęśliwe w kopalniach węgla kamiennego w Polsce“, „Początki nauki kopalnictwa“, wreszcie: „O prawach własności ziemi, szczególniéj jéj wnętrza, według praw polskich i przepisów dziś obowiązujących.

Ograniczymy się do zakładów białogońskich.

Tak w połowie r. 1864 zwiedza je z rozporządzenia władzy wyższéj, pułkownik sztabu generalnego, adjutant cesarski, Annenków. Tegoż roku w końcu sierpnia przybywają do Białogona, w celu zebrania wiadomości o stanie jego zakładów i robotnikach, pułkownik inżynieryi Arseniew i pułkownik sztabu generalnego, Goremykin, w towarzystwie wice-dyrektora wydziału górnictwa, Szmideckiego.

W r. 1865 szkołę początkową, założoną przez Bank dla dzieci robotników fabrycznych i zostającą pod bezpośrednim nadzorem zawiadowcy naczelnego zakładów, przyłączono reskryptem z d. 10/22 lutego do gminy Niewachlów.

W r. 1866, naczelnik okręgu wschodniego, Jan Łęski, otrzymał uwolnienie, na jego zaś zastępcę naznaczony został tymczasowo Józef Zaorski, naczelnik zakładów białogońskich.

W r. 1867, w sierpniu, zwiedza je Aleksander Iwanowicz Antipow, urzędnik klasy V do szczególnych poruczeń przy ministrze finansów; w początkach zaś września t. r., otrzymuje z rangą radcy stanu nominacyę na zawiadującego górnictwem w Królestwie Polskiém i do korespondencyi wprowadza język rosyjski. Jednocześnie z ustanowieniem Izb obrachunkowych w Warszawie, Łomży i Lublinie przyłączono do téj ostatniéj pod względem rachunkowym okrąg wschodni, do Warszawskiéj zachodni.

Rok 1868 tém się jedynie zaznacza, iż listę zwiedzających ostateeznie zamyka. Właściwie od r. 1857 frekwencya prawie była już żadna. Są lata, w których zaledwie jedna, dwie, lub pięć osób zwiedza zakłady białogońskie. Najwyższą zaś ich cyfrę wykazuje r. 1862, bo 13! Liczby te mówią same za siebie.

W r. 1869, w marcu, na opróżnione po Łęskim stanowisko, naczelnikiem okręgu wschodniego zamianowany został inżynier górniczy, Paweł Onufrowicz Nechwedowicz. Zdawało się więc, iż zmiany zamierzone nastąpią co do osób jedynie. Tymczasem, myśl sprzedaży zakładów już dojrzała, a pierwszym jéj objawem, było zakupienie przez Esenmanna głównego górniczego magazynu żelaza przy ulicy Królewskiéj w Warszawie.

Po dokonaniu téj tranzakcyi, nastąpiły inne ważniejsze.

Jakoż w d. 1 lipca 1870 r., zwinięty wydział górnictwa przy Komisyi skarbu (ostatnim jego dyrektorem był Miłowanów), przyłączono do takiegoż wydziału przy ministeryum finansów; większość urzędników spadła z etatu, lub przeniesi zostali do Petersburga, gdzie mieli obrabiać sprawy górnicze Królestwa, dopókiby wszystkie zakłady nie znalazły prywatnych nabywców; po rozwiązaniu zaś dawnego korpusu górni-

czego, zniesiono i przywiléj, uwalniający od służby wojskowéj robotników górniczych.

Wszystkich tych zmian dokonano za ministerstwa Reuterna. Wreszcie po objeździe zakładów górniczych w Królestwie przez dyrektora departamentu górnictwa, Raszeta, który w tym roku i Białogon w październiku nawiedził, rozpoczyna się ich sprzedaż, powodująca dalsze spadanie urzędników z etatu.

Przedewszystkiém uległy jéj zakłady: Starachowickie z trzema piecami wielkiemi; pudlingarnie: w Michałowie i Brodach, oraz walcownia w Nietulisku. Fabryki te z nieprzebranemi kopalniami: Herkules, Henryk, Elżbieta, Józef, Tychów, oraz z lasami, składającemi dawne leśnictwo iłżeckie, a obejmującemi 45,000 morgów, przeszły na własność br. Frenkla za sumę 1,500,000, która w ciągu lat 33 miała być spłacona ratami.

Za tym kompleksem zakładów fabrycznych, przeszły inne w ręce prywatne. W okręgu wschodnim: Ostojów, Ogonów, Jędrów, Błoto, Pstrążnica, Stokowiec, Baranów, Jasiów, Janaszów, Humor, Światełko i Małachów. W zachodnim: Pradła, Huta Bankowa, Niwka, Blachownia, Praszczyki, Cyganka i Kostrzyn.

Podobny los i Białogonowi do r. 1874 zagrażał. Już pierwszą co do tego wskazówką było oddanie szkoły w zawiadywanie gminie Niewachlowskiéj; późniejsze zmiany jeszcze wyraźniéj zapowiadały, iż władza zamierza odjąć osadzie państwowy jéj charakter. Tak w d. 10 lutego, 1869 r., komisarz włościański, Petrow, zjechawszy na miejsce, oddał na własność wszystkie domy skarbowe fabrykantom zakładów białogońskich, jeżeli tylko ci zamieszkiwali je przed dniem 2 marca 1864 r. Następnie w d. 29 maja t. r. rozdał tymże fabrykantom grunta górnicze, zwane „Pietraszki”, a położone u stóp góry Stokowéj. Wreszcie w d. 12 września obdzielił ich gruntami, położonemi przy folwarku Szewce, co wszystko ogółem wynosiło 135 morgów, 215 prętów. Niedość na tém, ukazem z d. 19 czerwca 1870 r. oddano w zawiadywanie gminie Niewachlowskiéj drogę bitą, od szosy krakowskiéj do zakładów wiodącą, któréj utrzymaniem zajmował się zarząd górniczy.

To włączenie do obszarów gminnych dawnych gruntów fabrycznych, pozostawiło zarząd w nader trudném i kłopotliwém położeniu i na wielkie straty narażało fabrykę. Przez te grunta, od strony Kielc, przepływa rzeka Silniczka i z wiosną zwykle wylewa szeroko. Zarząd nie mógł obecnie przedsiębrać na nich środków ochronnych w celu zabezpieczenia się od niéj; gmina nie poczuwała się znowu do obowiązku

ochraniania fabryki od możliwéj powodzi: stąd wynikały spory i klęski dla zakładu dotkliwe.

Pierwszy wylew, który szkód niemało uczynił, nastąpił w r. 1868. Drugi wydarzył się się w d. 21 lutego i był jeszcze groźniejszy. Rozerwawszy bowiem starą groblę przy drodze do Karczówki wiodącéj, wezbrane wskutek nagłéj odwilży wody, przedostały się na plac fabryczny i zatapiając stolarnię, składy maszyn, kasę i walcownię, ogromne spustoszenia w budynkach i materyałach zrządziły. Samych węgli drzewnych 50 korcy uniosły.

Nowy zalew nawiedził Białogon w r. 1873, gdy w nocy z 24 na 25 czerwca, wskutek nawalnego deszczu i wezbrania Silniczki, woda w stawie, pomimo otwartego upustu, rozerwała groblę do szczętu. Tym razem nie zatopiła fabryki, ale, opróżniwszy staw, pozbawiła warsztaty mechaniczne motoru. Wszystkie te klęski, narażając zakład na straty, usposabiały niechętnie względem zarządu ówczesne władze kierujące. To też sprzedaż Białogona zdawała się być nieuniknionèm tego następstwem.

Stało się przecież inaczéj.

Z dniem 1 stycznia 1874 r., na mocy najwyższéj decyzyi, górnictwo z pod zarządu ministeryum finansów przeszło w zawiadywanie ministeryum dóbr państwa, na którego czele stał radca tajny, Wałujew. Decyzya ta nietylko wpłynęła na zmianę systemu w zarządzie, lecz położyła kres i dalszéj sprzedaży ocalałych fabryk górniczych. Liczba ich wprawdzie zmalała; ale przekształcone według wymagań postępowej techniki górniczéj, mogły przynosić dla skarbu znaczne jeszcze dochody. Do takich należały: Bzin, Rejów, Mostki, Mroczków, Sielpia, Białogon, Sławków, Panki i Dąbrowa. Wszystko to były zakłady czynne. Natomiast: Berezów (Suchedniów), Parszów, Samsonów, Królewiec i Adamów zaliczano do zakładów upadłych.

W każdym razie sama osobistość ministra dawała co do ich przyszłości otuchę. Nie brakło téż od początku wskazówek, iż potrzeby téj, od lat wielu zaniedbanéj gałęzi przemysłu krajowego, nakoniec uwzględnione zostaną. Ujawniło się to naprzód wydaniem w d. 9 grudnia 1874 nowéj ustawy dla zakładów górniczych i kopalń; następnie zakupem dla Białogona wielu modeli, na których mu od czasu przejścia z pod zarządu Banku zbywało. Pomiędzy innemi sprowadzono model młockarni ręcznéj, nader misternéj konstrukcyi, któréj nabycie było dostępne nawet dla małych gospodarstw. Jeżeli zaś co świadczyło o dobrych chęciach ministra dla krajowego górnictwa, to bezwątpienia powołanie w r. 1876 Jana Hempla na stanowisko naczelnika okręgu wschodniego, które przedtém Mechwedowicz zajmował. Hempel był jednym z dawnego

autoramentu, naukowo wykształconych górników i do roku 1868 pełnił obowiązki naczelnika okręgu zachodniego. Usunięty jednak rozporządzeniem ministra finansów, przyjął obowiązki dyrektora kopalni i fabryki siarki w Czarkowach, stanowiących własność hr. Pusłowskiego i na tém stanowisku zwrócił zapewne na siebie uwagę Wałujewa, jako ministra spraw wewnętrznych, który go teraz, jako uzdolnionego górnika, nanowo do służby powołał.

Przecież nietylko wogólnym, lecz i w bardziéj specyalnym kierunku ujawniła się troskliwość ministra o podniesienie górnictwa.

Etaty jego, ułożone przed kilkudziesięciu jeszcze laty, nie odpowiadały już podniesionym cenom produktów i wogóle wszystkich przedmiotów, stanowiących codziennego życia potrzeby. Otóż w roku następnym, wyznaczył on do ich rozpatrzenia i unormowania komisyę, która pod prezydencyą Hempla, składała się z zawiadowców wszystkich fabryk, budowniczego górniczego i buchaltera. Następstwem ułożonego przez nią referatu było istotnie podwyższenie płac, co urzędników górnictwa stawiało bez porównania w lepszych, niźli dotąd warunkach.

Wobec tych zmian, zdawało się, że i zakłady białogońskie odzyskają dawne swoje znaczenie i, podnosząc wytwórczość maszyn i narzędzi rolniczych, czynić będą zadość istotnym potrzebom kraju. Ale niestety, obecne warunki nie sprzyjały już ich rozwojowi dalszemu. Przedewszystkiém ustawa gminna krępowała zarząd w uregulowaniu Silniczki. Zaledwie ponaprawiano uszkodzenia, wynikłe wskutek jéj wylewów w latach 1871 i 1874, gdy znowu w lutym 1876 wielki napływ wody rozerwał groblę, usypaną niedbale przy drodze do Karczówki wiodącéj, i jeszcze większe szkody w fabryce, niż poprzednio wyrządził. Rozszalałe fale wyrwały znaczną część ściany w walcowni i, wymuliwszy ciosowe ocembrowanie kanału, stanowiące *skok* koła wodnego, zatrzymały całą fabrykę w jéj biegu.

Nim dokonano naprawy, podtrzymywano ruch w warsztatach mechanicznych i walcowni za pomocą lokomobil, sprowadzonych z kopalni. Było to tém konieczniejsze, iż właśnie w r. 1877 zwiększyło się zapotrzebowanie maszyn i wogóle wyrobów żelaznych. Dość powiedziéć, że, kiedy w r. 1875 dochód w zakładach białogońskich spadł do sumy 17,679 rb.; w roku 1877 doszedł do cyfry 56,672. W następnym, wynosił już tylko 18,043 rb.; w 1879 podniósł się, ale tylko do 25,840 rb. W tym samym jednak roku 1877, tak pomyślnym dla handlu żelazem wogóle, zdobyto w Białogonie przeświadczenie, iż walcownia nie produkuje już blachy w tak wyborowym, jak w latach poprzednich, gatunku. Przyczyna tego była prosta. Dopóki w posiadaniu rządu były pudlingarnie w Michałowie i Brodach, dopóty przerabiane w nich że-

lazo dostarczało odpowiednio przygotowanego materyału, który w walcach łatwo ciągnąć się dawał. Od czasu jednak, gdy, zapas dawnego żelaza w magazynach się wyczerpał i do wyrobu blachy zaczęto brać surowiec z pieców w Rejowie i Bzinie, wtedy i produkowana z niego blacha okazała się kruchą, łamliwą i do użytku niezdatną. Robiono z nią wprawdzie próby gliowania, lecz te nie wydały rezultatów dodatnich. W r, 1868 zniesiono nawet w Białogonie piec kopulowy, opalany węglem drzewnym, gdyż taki piec w Rejowie opalany koksem, o wiele mniéj był kosztowny.

Przecież stroną najbardziéj ujemną zakładów białogońskich był obecny stan inwentarza fabrycznego, jaki się w r. 1879 okazał, po oszacowaniu dokonaném z rozporządzenia ministra. Z działalności komisyi wyznaczonéj w tym celu, okazało się, iż wartość ich dochodziła zaledwie:

	rb.	kop.
W warsztatach mechanicznych z maszynami . . .	27,720 —	28
W stolarni i budynku kowalskim . . . . . . - .	9,517 —	34
W walcowni, giserni mosiężnéj i kopniaku	3,795 —	84
W budynku, obejmującym kasę i skład maszyn . .	2,889 —	89
W budynku, przeznaczonym na kotlarnię	2,716 —	14
W węgielni	1,416 —	50
W magazynie żelaza	1,930 —	31
W walcowni staréj	1,161 —	12
W parkanach, mostach, upustach, kafarach, stawie i grobli	3,987 —	80
W domach, pozostałych przy górnictwie	11.376 —	29
W ziemi i placach	797 —	98
Wartość ogólna	143,933 —	20

Tak nizka ewaluacya fabryki, mającéj niegdyś świetną przeszłość za sobą, mogłaby istotnie zadziwiać, gdybyśmy nie wiedzieli, że wszystko, co w niéj komisya znalazła, powstało przed r. 1842—słowem, że przez lat 37 nie zaprowadzono w niéj żadnych prawie zmian i ulepszeń. Wszystkie maszyny już wtedy przestarzałéj były konstrukcyi. Tymczasem od owéj daty, ileż w mechanice dokonano wynalazków i uproszczeń i jak się budowa warsztatów mechanicznych zmieniła! Chcąc przywrócić Białogonowi dawne znaczenie, należało z gruntu jego zakłady przekształcić. I gdyby minister Wałujew pozostał był dłużéj na urzędzie, może i dla nich nastałyby pomyślniejsze czasy. Ale z ustąpieniem jego, późniéj kierujące górnictwem sfery, zrażały się zawsze ogromem wydadków, potrzebnych na zaprowadzenie koniecznych zmian i ulepszeń i, zwróciwszy całą uwagę na rozwój hut w Dąbrowie Górniczéj i walcownie cynku w Sławkowie, oraz na osuszenie kopalń olku-

skich, ku czemu przygotował projekta zdolny, a zawcześnie zmarły inżynier górniczy, Wincenty Kosiński, wznawiając dawno zapomniane ks. Lubeckiego plany; Białogon na długo pozostawiły na stronie. Wprawdzie od r. 1883, t. j. od czasu objęcia zarządu okręgu wschodniego przez inżyniera górniczego, rz. radcę stanu Wincentego Choroszewskiego, w zakładach białogońskich nie jedno zmieniło się na lepsze. Przynajmniéj zaopatrzono je w kilka przyrządów nowych i modele; ogół jednak maszyn jest ten sam, jaki był przed laty dwudziestu. Nic też dziwnego, że i wytwórczość ich pozostaje w prostym stosunku do tego stanu, do jakiego doprowadził je czas wszystko niszczący.

Białogon, jako pierwszorzędna niegdyś fabryka machin i narzędzi rolniczych, nie mógł współzawodniczyć nietylko już z maszynami sprowadzanemi przez licznych składników z Ameryki, Anglii i Niemiec, lecz i z wytwarzanemi na miejscu przez wiele fabryk krajowych. Buduje wprawdzie, jak za lat dawnych, młockarnie, kieraty, młynki do czyszczenia zboża, sieczkarnie, pługi, siewniki; wreszcie dokonywa reparacyj różnego rodzaju maszyn, poleruje odlewy, wykonane w Rejowie, ustawia żelazne krzyże, nagrobki, pokostując je i złocąc, ułożone na nich napisy, lecz już nie przedsiębierze robót na większą skalę, a w każdym razie to, co produkuje, dalekie jest od téj dokładności, jaką przywykliśmy widzieć w zagranicznych wyrobach. Dochód też, jaki rocznie osiąga, daleki jest od cyfr, wykazywanych poprzednio. Od roku 1884 środkuje on pomiędzy 10,000, a 22,000 rb. Również warsztaty co raz mniejszą liczbę robotników zajmują. Dość powiedzieć, że gdy pomiędzy rokiem 1854 a 1862 pracowało tu od 70 do 80 robotników; dziś w warsztatach mechanicznych, kuźni i stolarni zaledwie się ich 20 do 30 znajduje.

Nadto od r. 1887 walcownia ostatecznie funkcyonować przestała. Było to naturalném następstwem wzrostu fabryk prywatnych, a głównie niemożności współzawodniczenia z blachą, sprowadzaną z cesarstwa, któréj przymioty okazały się o wiele wyższe od łamliwéj blachy tutejszéj. To też zapas jéj pozostały z lat dawnych i wynoszący 11,000 pudów, dziś może być jedynie na szmelc użyty.

Zresztą, Białogon, jak i wszystkie fabryki żelazne, stanowiące własność rządową, był krępowany cenami stałemi wyrobów, które wydział górniczy w Petersburgu na cały rok zatwierdzał, gdy tymczasem zakłady prywatne, stosując się do większych lub mniejszych zapotrzebowań i zmieniających się cen żelaza, mogły je u siebie dowolnie w każdéj chwili normować.

Był to wzgląd ważny, który wpłynął wielce na zmniejszenie zamówień w fabrykach rządowych. Ograniczenie też zarobków w zakła-

dach białogońskich zraziło wszystkie młode, zdolniejsze siły do szukania przy nich pracy stałéj, a tém samém zapewnienia sobie przyszłości. Pozostali więc nieliczni, starego autoramentu lub mniéj uzdolnieni robotnicy. Ale pierwszych z każdym rokiem coraz więcéj ubywa; drudzy zaś, nie umiejąc wykonywać poruczanych im robót z tą dokładnością, jakiéj dzisiejszy postęp w technice górniczo-przemysłowéj wymaga, nie będą mogli zastąpić ich w przyszłości.

To téż myśl puszczenia zakłaoów białogońskich w długoletnią dzierżawę, do arcyszczęśliwych należy. Tylko tym sposobem mogą one dawne swe znaczenie odzyskać, rozumie się, pod warunkiem, że w nich stare maszyny przez nowe zastąpione zostaną.

Obecnie Białogon robi wrażenie upadłéj wielkości.

Gdy przez drzwi boczne przy bramie, któréj strzeże odźwierny, dostaniesz się na dziedziniec zarosły trawą i znajdziesz w otoczeniu białych budynków fabrycznych, które, ustawione w podkowę, wychylają się z poza otaczających rzędami kasztanów o potężnych konarach; wtedy, zwłaszcza, gdy w kuźni młoty umilkną, możesz mniemać, żeś się znalazł na cmentarzu jakiegoś opustoszałego klasztoru. Bo naprzód, wzdłuż podjazdowéj ulicy widzisz mnóstwo żelaznych, lanych krzyżów i nagrobków, całe zresztą partye krat najrozmaitszego rysunku, a wszystko to stoi wśród wysokich traw, dziewanny, ostów i powojów, rozrzucone bezładnie. Wprawdzie wiesz, że to są obstalunki, czekające na odbiorców, lub stare, zardzewiałe modele; w każdym razie, otoczony niemi,, nie możesz opędzić się myśli, że koło mogił przechodzisz. Wrażenie potęguje się tém bardziéj, że prócz pory obiadowéj i chwili ukończenia robót dziennych, co na odgłos dzwonka następuje o godzinie 6 wieczorem, zwykle na zewnątrz, nie dostrzegasz żadnego ruchu: wszyscy bowiem ludzie, zajęci w obrębie fabryki, przy warsztatach pracują. Ku nim też przedewszystkiém zwracasz swe kroki, gdyż w nich teraz głównie ogniskują się wszystkie zajęcia. Lecz i tu, znalazłszy się w téj długiéj halli, w jednéj połowie zastawionéj maszynami, a w drugiéj warsztatami ślusarskiemi, doznajesz nie mniéj dziwnego w pierwszéj chwili wrażenia. Uderza cię przedewszystkiém panujący tu mrok, mimo okien olbrzymich, umieszczonych gęsto w ścianie frontowéj środkowego budynku. Ale okna te, zaopatrzone w prostokątne szybki z trudnością tylko przepuszczają światło dzienne przez grube warstwy osiadłego na nich kurzu i osłony pajęcze. Kurz ten pokrywa grubo i nietynkowane, choć niegdyś bielone ściany wewnętrzne i, osiadając od lat wielu na ich chropowatéj powierzchni, nadaje im, mimo pobiały, szary, ciemny koloryt, który wytwarza owe mroki, nie dające się przez

słabo wnikające światło dzienne rozproszyć. W tych chłonących się wzajem półświatłach i półcieniach, godnych pędzla Wouwermana lub Maksa Gierymskiego, widzisz u szczerniałéj powały wirujące w szalonym biegu cylindry, niby tamburyna podrzucane dłońmi powietrznych tanecznic i błyskawicznie przewijające się na nich pasy, które obrotową ich siłę przenoszą na coraz mniejsze cylindry,—siłę, która, udzielając się pośrednio, w miarę oddalania się od głównego ogniska, traci coraz bardziéj swą hyżość. Pod wpływem téż jéj działania spostrzegasz obracające się zwolna walce i drągi żelazne w łożysku, do którego stale przymocowane dłóto struże je na drzazgi i wióry, nadając im gładkość zwierciadlanéj powierzchni; daléj prostopadle ustawioną wiertarnią, która, obracając się, jak fryga, dziurawi sztaby, lub grubsze jeszcze od nich sztuki;—nie widzisz tylko ludzi, gdyż nieliczni, a rozrzuceni przy warsztatach po hali, giną w jéj mrokach i ogromie. Również nie słyszysz ich głosu, gdyż go tłumi wark maszyn i szum koła wodnego.

Pomimo jednak ogłuszającego łoskotu, jaki cię na wstępie spotyka, zwolna przekonywasz się, przeszedłszy hallę z jednego końca na drugi, że zaledwie jeden walec górny, lub dwa są czynne, że reszta z braku zamówień pozostaje w spoczynku. One téż unaoczniają ten zastój, w jakim się fabryka od lat wielu znajduje, a zarazem dają miarę tego ruchu i życia, jakie tu panowało niegdyś, gdy wszystkie te cylindry i koła trybowe były w pełnym biegu, gdy wszystkie warsztaty były obsadzone przez fabrykantów górniczych.

Dziś, jest to powolne zamieranie olbrzyma, który wskutek braku prawidłowego dopływu krwi został sparaliżowany w swych członkach.

To samo znajdujemy w kuźniach, pomieszczonych w prawym pawilonie. Dwa ich ogniska kowalskie buchają wprawdzie sypiącym iskry płomieniem, rozpalając do czerwoności sztaby żelazne, które pod uderzeniem młotów również skrzą się i na wszystkie strony rozpryskują gwiazdami, przybierając kształty, jakie im wola majstra nadaje. Ale ośm innych ognisk wyszczerzają tylko swe czarne, a zimne czeluści, daremnie wyczekując kolei.

Choć wszakże smutny to widok, zawsze jeszcze w warsztatach i kuźniach jakieś utrzymuje się życie. Gdy jednak przejdziesz do pawilonu lewego, w którym się mieści zabita na głucho walcownia, wtedy dopiéro uderzy cię obraz baltazarowego zniszczenia.

Tu większa jeszcze panuje, niż w halli warsztatów mechanicznych pomroka, gdyż jeszcze gęstsza warstwa kurzu pokrywa ściany i szyby, zmatowane działaniem słońca; niestrudzona zaś praca pajęcza nietylko w oknach, na ścianach, powale i wszystkich maszynach swoje sieci roz-

pina, ale jeszcze chwyta w nie całe tumany pyłu, które wiatr z zewnątrz przez wybite szyby nanosi.

Gdy się jednak w tym pół mroku rozpatrzysz, doznajesz wrażenia, jakbyś się znalazł wśród ruin, których dawne kolumny, głowice, architrawy legły w chaotycznym zamęcie.

Tu co chwila potrącasz nogą to o jakieś porzucone drągi żelazne, to o połamane rury, wreszcie o cegły z pieca kopulowego opadłe.

Ze wszystkich jednak przyrządów i maszyn, głównie zwraca twą uwagę koło wodne, którego pierwsze puszczenie w ruch biedny Pees życiem przypłacił, Dziś ono nieruchome, od lat 11 po dokanych pracach spoczywa. Ale choć zapylone i pajęczyną osnute, przecież pociąga oczy swą misterną, lekką budową, niby jedno z tych cacek drzewnych, któremi przemyślna Szwajcarya celuje. Rozmiary jego wszakże i ramienniki żelazne przekonywują, że mechanicy angielscy nie dla dziecinnéj robili je zabawki. Znać w ich więzi potężną siłę. A jednak mimowoli nasuwa się pytanie, czy, puszczone w ruch po tyloletnim zastoju, nie potrzaskałoby się w kawałki?

Obecnie nie zostaje ono nawet w związku z walcownianemi przybory. I koło bowiem szalone i koła trybowe, które w ruch dwa przęsła walców wprawiały, stoją odosobnione od niego. Zresztą, rdza przejada wszystkie kotły parowe i miechy cylindryczne żelazne; z pod murów wyrastają grzyby i całe wnętrze, przesycone wilgocią, wieje stęchlizną i martwotą cmentarną.

A jednak kiedyś, gdy piece kopulowe buchały żarem, rozpalając do białości poddane ich działaniu żelazo, gdy warczały puszczone w bieg walce, tłocząc i miażdżąc je na cienkiéj blachy arkusze, życie potężne tu wrzało. Dziś słyszysz tylko echa własnych kroków i rozmowy, którą z przewodnikiem prowadzisz, jakgdyby dziwiły się mury że jeszcze jakiś dźwięk o nie się odbija.

To téż opuszczasz je z wewnętrznem niemal zadowoleniem, niby podziemia grobowe i, wyszedłszy na dziedziniec, wciągasz całą piersią świeże powietrze i radujesz się ciepłem i światłem słonecznem.

W takim stanie obecnie znajdują się zakłady białogońskie.

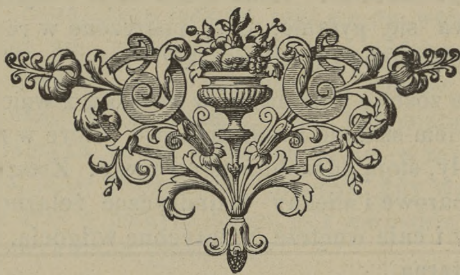
Gdy to jednak piszemy, gazety przynoszą wieść, iż w d. 21 września r. b., przed regentem, Redychem, w Kielcach, spisano umowę, na mocy któréj zakłady górnicze w Białogonie, z całym ruchomym i nieruchomym inwentarzem, wypuszczone przez rząd zostały w trzydziestoletnią dzierżawę inżynierowi górniczemu i dyrektorowi zakładów Towarzystwa rusko-francuskiego w Dąbrowie Górniczéj, Skibińskiemu,

za cenę dzierżawną: w pierwszych latach piętnastu po 3,500, w drugich po 4,500 rubli rocznie, z możnością przedłużenia dzierżawy za tę ostatnią sumę do lat następnych trzydziestu.

Wobec tego faktu można tylko wyrazić życzenie, by w tym lat długich szeregu Białogon dawne swe znaczenie odzyskał, i tak się chlubnie w dziejach górnictwa krajowego, jak w chwilach najpiękniejszych swego rozwoju, zapisał.

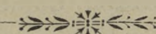
Roman Plenkiewicz.

Wrzesień, 1898 r,



SZKOŁY TECHNICZNE

w Anglii.



(Dokończenie) *).

III.

Szkoły techniczne londyńskich korporacyi.

Korporacye londyńskiéj „City" mają licznych nieprzyjaciół, opiekrających czynione im zarzuty na wielu i bardzo poważnych powodach. Nie mamy zamiaru wchodzić tutaj w tę sporną kwestyę i udowadniać w oczy bijącéj prawdy, że gildye i korporacye zatraciły swój pierwotny charakter. Królewska komisya, ustanowiona do zbadania ich organizacyi oraz użytku, jaki robią z posiadanych funduszów, wykazała w swym raporcie 1884 r., że roczny dochód, jakim korporacye rozporządzają, wynosi nie mniéj, jak 800,000 funt. szt., z których 200,000 ma ściśle ograniczone przeznaczenie na dzieła miłosierdzia i dobroczynne fundacye, ale reszta, t. j. co najmniéj 600,000 f. szt., obracaną bywa na prywatny użytek jakich 9,000 osób, które z tych lub owych tytułów uważane są za członków korporacyi,

---

*) Patrz „Ateneum" 1898, t. IV, str. 240.

Na okrzyk oburzenia, jakie ten raport komisyi wywołał, pośpieszyli obrońcy korporacyi wykazać, że tak źle znowu rzeczy nie stoją, że suma 175,000 f. szt. jest corocznie obracana na podatki, taksy, dziesięciny, budowle, reperacye, pensye, zasługi — i że jedynie 40,000 f. szt. pobiérane bywa wprost przez członków korporacyi, pełniących obowiązki sądownicze; ale nawet oni zaprzeczać nie mogli, że 100,000 f. szt., obracane są na bankiety i uczty gildyi. Z tego znacznego dochodu suma 155,000 f. szt. poświęcana być miała na oświatę. Nie trzeba skrupulatnie wchodzić w dokładność powyższéj sumy, gdyż niema najmniejszego wątpienia, że korporacye nie uważały, aż do ostatnich czasów, zakładania i utrzymywania szkół i szerzenia oświaty za jeden z najważniejszych obowiązków. Nie można ich atoli obrzucać sromem z tego powodu, bo nie stanowiły wyjątku, ale czuły względem szkolnictwa tę samą obojętność, co i inne warstwy społeczne. Zakłady szkolne, jakie gildye ufundowały, jak np. szkoła ś-go Pawła, i szkoły bławatników, sukienników, korzenników, etc., nie miały żadnego technicznego charakteru, ale były poprostu szkołami średniemi, podchodzącemi pod typ *grammar schools*.

Zwrot ku lepszemu nastąpił dopiéro po ogłoszeniu raportu królewskiéj komisyi w 1884 r., w którym położono nacisk na to, że korporacye mają moralny obowiązek obracania dochodu ze znacznych powierzonych sobie funduszów na użytek publiczny na biblioteki, muzea, szpitale, łaźnie, parki, mieszkania dla ludności robotniczéj, a przedewszystkiém na szkoły, i to na szkoły techniczne, któreby kształciły zawodowo młodzież, związaną z tym lub owym cechem, Istotnie zaczynają one ruszać się w tym kierunku, przeznaczać stypendya dla studentów kształcących się w rozmaitych kolegiach Londynu, i rozciągają swą opiekę oraz współudział finansowy na szkoły techniczne na prowincyi, jak np. w Leicester, Nottingham. Manchester etc. Uwieńczeniem ich działalności było jednak ufundowanie londyńskiego instytutu City i Gildyi.

Projekt takiego zakładu o wiele dawniéj kołatał po umysłach tych, którzy zdawali sobie sprawę z naglącéj potrzeby oświaty technicznéj, tak upośledzonéj w Anglii. W r. 1878 komitet, utworzony przez korporacye dla obmyślenia środków ułatwiających techniczne wykształcenie rzemieślników i przemyslowców, w którym brali udział pomiędzy wielu innymi ludzie takiéj rozgłośnéj sławy, jak lord Armstrong, pułkownik sir John Donnelly, sir Douglas Galton, profesor Huxley i t. d., wykazał w swym raporcie naglącą potrzebę otwarcia zakładu, któryby zześrodkował wykształcenie techniczne na wzór istniejących na stałym lądzie. Następstwem tego raportu

była decyzya ufundowania instytutu przez gildye londyńskiéj City o charakterze uniwersyteckim, z wykładami teorytycznemi i praktycznemi ćwiczeniami różnych gałęzi wiedzy, zastosowanéj do rzemiosł i przemysłu.

Nie zwlekano z wykonaniem, gdy raz zasada została przyjętą. Korporacye przeznaczyły naprzód 50, a niebawem 100,000 f. szt. na budowę gmachu. Wznosi się on w południowym Kensingtonie, prawie naprzeciwko muzeum. Jest to budowla okazała i przestronna, a pomimo tego głównym jéj niedostatkiem jest brak miejsca. Wzniesiono ją dla pomieszczenia 200 uczniów, a liczba ta szybko przewyższoną została. Instytut posiada sale wykładowe, amfiteatry, laboratorya, pracownie, warsztaty i jest jedynym gmachem, który, zbudowany *ad hoc*, odpowiada wewnętrzném swém urządzeniem niemieckim politechnikom. Ale gdy się porówna przestrzeń, jaką londyński instytut Gildyi zajmuje—3,344 metrów kw.—z 82,460 metr. kw. berlińskiéj, z 21,900 akwizgrańskiéj, z 16,150 m. darmstadzkiéj politechniki, to widać natychmiast, że tu o równości mowy być nie może.

Taka, jaka jest, szkoła ta oddaje niepomierne usługi. Kursa wykładowe, rozłożone na lat trzy, obejmują inżynieryę cywilną, mechaniczną i elektryczną, chemię, fizykę etc. Katedry obsadzone są przez znakomitości naukowe, których cała działalność należy wyłącznie do instytutu. Najlepszym dowodem wysokiéj reputacyi, jaką sobie pozyskał, jest to, że królewska komisya, ustanowiona do przygotowania planu uniwersytetu wykładowego w Londynie, zaproponowała, ażeby ten instytut wszedł w jego skład, jako kolegium nauk. Pierwszy całkowity kurs rozpoczął się w styczniu 1885 r., a skończył w lipcu 1887 r. W pierwszym roku tylko 6 studentów zapisanych było na dzienne lekcye, a 227 na wykłady wieczorne; przy końcu pierwszego okresu cyfry te wynosiły już 76 i 634; a w roku 1894/5 do 208 i 526. Ale natychmiast przekona się czytelnik, że to dopiéro drobna i nieznaczna część całkowitéj organizacyi, gdyż odnosi się jedynie do kolegium centralnego technicznego, a instytut posiada dwa inne: kolegium techniczne w dzielnicy Finsbury i szkołę sztuki technicznéj w dzielnicy Kennington.

Powstały one prawie jednocześnie z instytutem centralnym. Kolegium techniczne w Finsbury już w 1883 r. miało swój gmach obecny. Do dawniejszych wieczornych wykładów dodane tylko zostały klasy dzienne, obejmujące inżynieryę elektryczną, mechanikę, chemię; kursa trwają od dwóch do trzech lat. Jest to zakład średni,

przeznaczony do uzupełnienia wykształcenia młodych ludzi, wstępujących wcześnie do zawodów praktycznych, i przygotowuje kandydatów do centralnego kolegium technicznego. Klasy i wykłady wieczorne są przeznaczone dla czeladników i młodych rzemieślników. Liczba uczniów w kolegium Finsbury wynosiła w 1894/5 roku na dziennych wykładach 210, a na wieczornych 926. Wielu słuchaczów przyjmowanymi być nie mogą dla braku miejsca. Z opłaty pobieranéj od uczniów w kolegium centralném otrzymuje instytut 5,000 f. szt., a od kolegium w Finsbury 3,000 f. szt.

Szkoła sztuki technicznéj w Kennington, mająca na celu uzupełnienie artystycznego wykształcenia młodzieży poświęcającéj się snycerstwu, rytownictwu, dekoracyi mieszkań, ilustracyi książek i dzienników, ceramice etc. ma pracownie dla jakich 150 uczniów. Szkoła ta znajdująca się pod kierunkiem pierwszorzędnych specyalistów, oddaje nieocenione usługi wielu gałęziom twórczości artystycznéj, a coroczne wystawy prac uczniów pokazują takie postępy, że uczniowie przed skończeniem jeszcze kursów znajdują z łatwością miejsca o wysokim zarobku.

Ważną gałęzią instytutu są egzamina technologiczne. Dzięki takowym instytut ten stał się w krótkim przeciągu czasu centralną organizacyą krajową dla wykształcenia technicznego. Zakreśliwszy programat wykładów w jakich sześćdziesięciu specyalnych przedmiotach, instytut rozesłał je do wszystkich rad hrabstw, municypalności i szkół technicznych, polecając go ich uwadze, wzywając do utworzenia klas i kursów w myśl tego programatu, i oświadczył gotowość delegowania egzaminatorów przy końcu roku szkolnego, którzy z jego ramienia wydawać będą dyplomy elementarne uczniów. Ci z nich, którzy pragną się ubiegać o wyższy, przystępują do egzaminu w samym instytucie londyńskim, tak jak to czynią kandydaci na na profesorów. Nieocenione przysługi oddało to ześrodkowanie dyrekcyi oświaty technicznéj, wprowadzając do niéj systemat i jednolitość i stwarzając wielką liczbę ognisk naukowych po całéj przestrzeni kraju. W r. 1895 było ich już 353. A nietylko instytut egzaminował ustnie i przeglądał wypracowania piśmienne kandydatów do elementarnego dyplomu w trzech zjednoczonych królestwach, ale działalność jego obejmuje także dalekie kolonie, jak Indye, Australia, Kanada i t. d. Liczba wykładów udzielanych podług instrukcyi instytutu gildyi londyńskich wynosiła w owych 353 ogniskach egzaminacyjnych 739, mających 24.220 słuchaczy, którzy przedłużyli do egzaminu 10,293 wypracowań. Coraz częściej także instytut otrzy-

muje wezwanie od władz prowincyonalnych, ażeby nadesłał im delegatów do otwarcia wykładów w téj lub owéj gałęzi przemysłowéj albo inspektorów, którzyby zbadali dokładnie miejscowe zakłady i wskazali czego im brakuje.

Jak wielkie zaufanie wzbudził instytut u rozmaitych gałęzi produkcyi, pokaże najlepiéj wniosek, jaki do niego uczyniła w 1888 r. korporacya rymarzy i stowarzyszenie szewców o otworzenie specyalnéj szkoły szewctwa. W 1889 r. instytut utworzył taką szkołę w dzielnicy Bethnal Green. Z początku były wielkie trudności w znalezieniu uzdolnionych profesorów-majstrów, ale widocznie zakład ten odpowiada potrzebom i uznany jest za użyteczny, skoro w ostatnim roku miał 230 uczniów na zimowym, a 264 na letnim semestrze. Dawniejsze szkoły techniczne, założone przez niektóre korporacye, jak np. sukienników, złotników i t. d., zostały także korzystnie przekształcone przez wprowadzenie wykładowego programatu tego instytutu centralnego.

Koszta tego zakładu są mniejsze, aniżeli przypuścićby można z góry: 21 korporacyi i gildyi, które go podtrzymują, poświęcają na ten cel od 25,000 do 30,000 f. szt. rocznie. Przez cały 18-to letni peryod istnienia swego instytut otrzymał od nich 480,000 f. szt., z których 150,000 f. szt. wydane zostały na budowle i urządzenie szkół. Następująca tablica pokazuje koszta utrzymania wszystkich działów instytutu za rok szkolny 1895-ty.

	Koszta f. szt.	Dochody poboczne, t. j. pobiérane nie od korp. i gildyi funt. szt.	Czysty wydatek f. szt.
Centralne kolegium techniczne	11,685	4,993	6,690
Kolegium techniczne w Finsbury	9,551	3,225	6,326
Szkoła techniczna sztuki . . .	1,173	95	1,078
Egzamina wraz z 415 funt. szt. na nagrody , ...	6,133	1,600	4,533
Szkoła rymarsko-szewcka . .	1,037	66	971
Stypendya	1,026	428	598
Administracya	1.087	70	1,917
Zasiłki pomocnicze	625	—	625
Razem f. szt. .	32,315	10,477	21,838

Mały stosunkowo dochód, jaki instytut otrzymuje po za sumą udzielaną przez korporacye i gildye—a jest ona zupełnie dowolną z ich strony i może być wycofana w każdéj chwili—tłómaczy się ta-

nią opłatą studentów. Za kurs całoroczny płacą oni tylko 25 f. szt., co jest nieznaczącą sumą, gdy się weźmie na uwagę, że materyały, narzędzia i przyrządy w klasach, laboratoryach i pracowniach są im dostarczane bezpłatnie. W kolegium techniczném w Finsbury uczniowie płacili tylko 9 funt. szt. rocznie z początku, a 12 funt. szt. obecnie.

Nie można zamykać oczu na niedostatecznie silną podstawę finansową instytutu. Grozi ona nawet jego istnieniu, a niezawodnie tamuje jego normalny rozwój. Nie można wprawdzie przypuszczać, ażeby korporacye przestały całkowicie utrzymywać ten zakład, który stworzyły—nikt ich o tak ohydne zamiary nie posądza, ale jedynie moralny obowiązek na nich ciąży, mogą zajść okoliczności nieprzyjazne. Zdarzały się już one. I tak korporacya sukienników wycofała swą roczną subskrypcyę 2,000 f. szt. i przeniosła ją na szkołę utworzoną przy People Palace. Korporacya złotników przepołowiła swoją, przeznaczając drugą połowę na szkołę własną, utworzoną wyłącznie dla swego cechu. Nie można wywierać innéj, jak moralnéj, presyi na ofiarodawców, a wobec najrozmaitszych instytucyi, które powstają, wobec szkół, które przy swych fabrykach i zakładach otwierają wielcy przemysłowcy, jak np. lord Armstrong w Elswick, pp. Mather i Platt w Salford, jak kompania drogi żelaznéj północnéj w Crewe i t. d., łatwo zrozumiéć, że niezależność temperamentu angielskiego i osobisty interes mogą zwrócić prąd subskrypcyi w innych kierunkach i wyjałowić grunt, na którym się instytut wzniósł i rozwinął.

Obecnie instytut korporacyi i gildyi kwitnie dzięki niestrudzonéj a rozumnéj i wszechstronnéj działalności swego dyrektora, *sir* Filipa Magnus. Jest on jednym z ludzi, którzy najskuteczniéj się przyłożyli do tryumfu idei wykształcenia technicznego w Anglii. Jako pedagog i organizator, nie łatwo znajdzie on sobie równego. W rozmowach, jakie miał zaszczyt mieć z nim piszący, *sir* Filip Magnus nie wyrażał nigdy obaw o przyszłość instytutu, ale odgadnąć można, że uważać będzie dopiéro wtedy byt jego za zabezpieczony raz na zawsze, gdy wejdzie on, jako kolegium technologiczne, w skład przyszłego uniwersytetu londyńskiego, albo, w ostatnim razie, gdyby wydział nauk i sztuk wziął go pod dyrekcyę państwa.

Spostrzegł już zapewne czytelnik, że społeczność angielska, uznawszy naglącą potrzebę otwierania szkół technicznych, wzięła się do dzieła pośpiesznie, a jako naród praktyczny, nie traciła czasu na wypracowanie systematycznego, jednolitego planu, lecz otwiérała,

jak mogła i gdzie mogła, wykłady częściowe albo szkoły. Brakowało uzdolnionych profesorów, brakło laboratoryów, ale nie zatrzymywało to inicyatywy municypalnéj, korporacyjnéj lub prywatnéj. Niedostatki takiéj zaimprowizowanéj organizacyi wyszły jednak najaw niebawem. Powiedzieliśmy już uprzednio, jak wydział nauk i sztuk, w imieniu państwa, stara się z chaosu tego wybrnąć. To samo czyni instytut korporacyi i gildyi londyńskiéj *City* i w tém leży główna jego zasługa. Nie trzeba zapominać, że przy braku szkół średnich uczniowie wstępujący do szkół technicznych posiadają jedynie to wykształcenie, jakie im dają szkółki elementarne. Było tedy rzeczą pierwszéj użyteczności stworzyć szkołę przygotowawczą, techniczną, i zadania tego dopełnia wyśmienicie szkoła w Finsbury, a centralny instytut ma już następnie do czynienia z młodzieżą naukowo przygotowaną. Nie trzeba także zapominać, że zarówno szkoła techniczna w Finsbury, jak mnóstwo innych tego samego stopnia mają przedewszystkiém na widoku młodzież rzemieślniczą, czeladników i robotników zatrudnianych w rozmaitych zakładach. Stąd płynie, że kursa wieczorne, na które im uczęszczać łatwiéj, mają tam przeważne znaczenie. Inaczéj się dzieje w instytucie centralnym. I on także nie postawił sobie za cel kształcenia paniczów, wyrafinowanych synów klas zamożnych, ale, otwierając swe podwoje dla młodzieży przyzwyczajonéj i obytéj z pracą ręczną i przeznaczającéj się do różnych zawodów praktycznych, przez sam wpływ wyższéj oświaty wytwarza z niéj, jak to *sir* Filip Magnus z chlubą podnosi, prawdziwych gentlemanów.

IV.

Szkoły techniczne z prywatnych fundacyi.

Ażeby wyczerpać kwestyę wykształcenia technicznego w Wielkiéj Brytanii wypada jeszcze zapoznać czytelnika z kilku zakładami, które byt swój zawdzięczają inicyatywie indywidualnéj. W bogatéj i oświeconéj Anglii jest ich wiele a każdy z nich posiada odrębne cechy, jak to] z góry przypuszczać było można. Są one tem ciekawsze, że właśnie w pośród nich znaleźć można dwa rysy, których brak uderzyć musi każdego spostrzegacza w wymienionych dotychczas instytucyach: naprzód systematyczną ciągłość w wykładach i prowadzenie uczniów przez całą drabinę naukową szczebel po

szczeblu, a następnie uwieńczenie gmachu przez najwyższe wykształcenie uniwersyteckie, z którém dotąd tylko pośrednio i ubocznie spotkać nam się przyszło. Niejedna z tych instytucyi, z których słusznie szczyci się Anglia, zasługiwałaby na specyalną monografię. Przy konieczności ograniczenia się w opisie, wybieramy trzy typowe miasta: Manchester, Glasgow i Birmingham,

Manchester, metropolia północnéj Anglii i bawełnianego przemysłu, siedlisko potężnéj wytwórczości fabrycznéj, miasto o blizko 400.000 mieszkańców, poświęcających się przeważnie zawodom, w których techniczne uzdolnienie jest niezbędném warunkiem powodzenia, posiada szkoły techniczne średnie, będące pod kierunkiem wydziału państwowego nauk i sztuk, i szkoły utrzymywane przez municypalność swoją. Nie byłoby jednak powodu mówić o organizacyi ich, tak jak jest obowiązkowém mówić o organizacyi szkolnéj w sąsiednim Birminghamie, gdyby Manchester nie posiadał najznakomitszéj w Anglii wyższéj szkoły technicznéj i nieledwie można powiedzieć jedynéj. Mówimy tu o kolegium Owena.

John Owen, bogaty przemysłowiec i kupiec manchesterski, bezżenny i prowadzący życie skromne, umierając w r. 1846, pozostawił testament, w którym, po uczynieniu różnych zapisów prywatnych i dobroczynnych przeznaczal caly swój majątek na ufundowanie instytucyi kształcącéj młodzież we wszystkich przedmiotach, wchodzących w zakres wykształcenia uniwersyteckiego z wyjątkiem teologii. Jedyne zastrzeżenie, jakie fuudator czynił, było, że instytucya miała być całkowicie i wyłącznie świecka, bez żadnych ograniczeń co do wyznania religijnego studentów i profesorów. Zastrzeżenie to wytłumaczyć sobie nie trudno, wiedząc, że uniwersytety angielskie znajdują się w ręku duchowieństwa i że teologiczny ich nastrój stawał na przeszkodzie rozwojowi wiedzy i do niedawnych jeszcze czasów robił je niedostępnemi dla tych, którzy nie należeli do kościoła państwowego. Wykluczając z góry wpływ kościelny z instytucyi, którą stwarzał, John Owen wskazał, że pragnął otworzyć na rozcież jéj podwoje dla nauk ścisłych i wiedzy doświadczalnéj, prowadzącéj do rezultatów praktycznych.

Fundusz, jaki kuratorowie upełnomocnieni do zarządzania tém kolegium mieli do rozporządzenia, wynosił bez mała 100.000 f. szt. Otwarte w 1851 r. w niewielkim domu, należącym do Ryszarda Cobdena, przyjaciela fundatora, znalazło odrazu takie powodzenie, że stała się widoczną potrzeba wybudowania gmachu specyalnego. Ponieważ Owen zabronił ażeby zostawiony przezeń kapitał pochłonięty był przez budowle, trzeba było znaleźć inny, dodatkowy. Nie

przedstawiło to trudności w mieście, gdzie wielkich fortun jest wiele, i w 1867 r. suma 211.152 f. szt. została zebraną jako fundusz dodatkowy; w 1871 r. parlament udzielił nadawczą *Chart* kolegium Owena, a w dwa lata późniéj stanął wspaniały gmach szkolny, wzniesiony podług planów słynnego budowniczego, członka akademii, Alfreda Waterhose w stylu neo-gotyckim. Został on rozszerzony, następnie, gdy włączono do kolegium Owena fakultet medyczny, a po wzniesieniu zakładów gimnastycznych, urządzeniu dziedzińców i galeryi dla gier i ćwiczeń fizycznych, nowych sal i laboratoryów dla kursów wieczornych, a nakoniec po przelaniu muzeum miejskiego, bibliotek, czytelni, wielkich sal publicznych, kolegium Owena, ukończone w 1888 r., stanowi nie tylko pokaźną, ale i imponującą całość. I gmach sam w sobie i całość zakładu sprawiają wrażenie poważne. Otworzono wprawdzie w ostatnich czasach i szkołę średnią dla niedorostków, ale w kolegium samém, na szerokich jego korytarzach, wspaniałych wschodach, przestronnych dziedzińcach widać młodzieńców w akademickich czworokątnych czapkach, i spotkać można także panny, bo kolegium techniczne dla kobiet, urządzone naprzód oddzielnie, przeniesiono w 1877 r. do budowli centralnéj. Gdy się miało sposobność, jak się to piszącemu zdarzyło, być obecnym na odczytach znakomitych profesorów, zajmujących katedry tego kolegium, albo przypatrzéć się doświadczeniom, prowadzonym we wzorowo urządzonych laboratoryach, to się nabiera przekonania, że instytucya ta pod względem naukowym odpowiada najwyższym wymaganiom.

Czytając obszerną monografię, jaką poświęcił temu kolegium p. Józef Thompson, i stwierdzającszybki i nadzwyczajny jego rozwój przekonać się można, że instytucya ta miała wątłe początki, że liczba 62 studentów, których liczyła w pierwszym roku swego istnienia spadła była w 1856/7 do 33 i że na seryo rozbierano myśl zwinięcia jéj w obec obojętności publicznéj. Ale to przeszło, poczucie potrzeby oświaty wyższéj rozwinęło się wśród społeczności angielskiéj i obecnie liczba studentów wpisanych na dzienne kursa przewyższa 1000, a drugie tyle uczęszcza na kursa wieczorne. Uczyniły władze w kolegium wszystko co było w ich mocy, ażeby rozbudzić interes do zakładu, rozdając stypendya wyznaczając nagrody i premia zawiązując stowarzyszenia studentów, stawiając kolegium w związku, z uniwersytetem londyńskim, wydając dyplomy inżenierom cywilnym, chemikom, geologom. Szczodrobliwość mieszkańców Manchester przychodzi bezustanku w pomoc kolegium Owena, a chociaż

nowa, olbrzymia fundacya pokrewna mu duchem—instytut ufundowany przez barona Whitworth'a — skierowała część kapitałów w tamtą stronę, to można już uważać jego byt jako zabezpieczony raz na zawsze.

Specyalną i najdoskonalszą stroną kolegium są jego laboratorya, uorganizowane na wzór najlepszych niemieckich przez uczonego wszechświatowéj sławy, sir Henryka Roscoe, i dopełnione następnie przez fundacye Whitwortha i Beyera. Laboratorya chemiczne, składają się z dwóch wielkich sal, jednéj dla początkujących, drugiéj dla specyalistów, i z siedmiu mniejszych dla analizy organicznéj, analizy gazów i t. d. W suterenach znajdują się oprócz tego laboratorya chemiczne dla studentów medycyny, laboratorya metalurgiczne, farbierskie, foto- i spektrograficzne. Na pierwszém piętrze, naokół wielkich laboratoryów znajdują się prywatne laboratorya profesorów, którzy przez okna swe mogą ciągle śledzić prace studentów i kierować niemi. Urządzenie to wychwalane jest powszechnie. Równie wzorowo urządzone są laboratorya fizyczne, podzielone na rozmaite działy, połączone z oddzielnym budynkiem dla dynamów o 26 wielkich akumulatorach.

Kolegium Owena posiada następnie specyalne laboratorya dla inżynierów, ufundowane przez lady Whitworth i dające studentom możność mierzenia wytrzymałości materyałów używanych do budowy machin. Przyrządy parowe i hydrauliczne, piece, zbiory najdoskonalszych narzędzi i instrumentów czynią z tych pracowni instytucyę nieocenionéj użyteczności, która sama jedna wystarczyłaby do sławy tego zakładu. Nakoniec istnieją jeszcze laboratorya Beyera, ufundowane przez niego olbrzymim kapitałem 112.000 f. szt. Są one poświęcone badaniom biologicznym, dyssekcyom i obserwacyom mikroskopiczym i mają przyłączone do siebie zbiory zoologiczne i botaniczne, wzrastające z każdym rokiem. Zasadniczą myślą kierującą dyrekcyą kolegium Owena jest, że udzielana tam nauka nie ma być ani wyłącznie teoretyczna, ani wyłącznie praktyczna, ale ich ścisłém, organiczném zjednoczeniem. Każdy wykład teoretyczny jest albo popierany natychmiastowemi doświadczeniami i zastosowaniami, albo téż do wykładu z katedry dodane są w wieczornych godzinach prace w laboratoryach, dokonywane przez samych studentów, pod kierunkiem profesora, albo jego asystenta.

Włączenie do kolegium Owena szkoły medycznéj, utworzonéj już w 1825 r. i uposażonéj następnie zamożnie przez innych dobroczyńców, otwarcie biblioteki naukowéj, posiadającéj już obecnie blizko 70.000 tomów, i gabinetu instrumentów a nakoniec przeniesie-

nie do jego gmachu manchesterskiego muzeum nauk przyrodniczych z jego bogatemi zoologicznemi, botanicznemi i geologicznemi zbiorami dopełniło organicznéj całości, nie zostawiającéj nic do życzenia. Łatwo zrozumiéć, że mieszkańcy Manchesteru, chlubiąc się z takiej instytucyi, chcieli uwieńczyć dzieło, nadając swemu kolegium nazwę i godność uniwersytetu.

Jeszcze w XVII wieku Manchester, uważając się za pierwszy gród północnéj Anglii, nosił się z myślą otworzenia w nim uniwersytetu, ale na seryo usiłowania w tym kierunku zaczęły się dopiero za życia Owena, gdy się utworzył komitet wybitnych osobistości miejscowych do popierania tego projektu. Ale gdy się kolegium ustaliło i wyrosło, gdy cały szereg szczodrobliwych fundacyi pozbawił je troski materyalnéj, agitacya w tym przedmiocie wzrosła pod dyrekcyą kilku profesorów, zdaniem których ich instytucya posiadała wszystkie pierwszorzędne warunki uniwersytetu i, jako taki, usankcyonowana być winna. W 1877 r. delegaci kolegium Owena przełożyli lordowi prezydującemu w radzie ministrów — był nim wówczas książe Richmond i Gordon — petycyę o nadanie mu *Charty* uniwersytetu manchesterskiego z prawem udzielania naukowych stopni na fakultetach sztuk, nauk ścisłych, medycyny i prawa. Było to widocznie żądanie przesadzone, bo niektórych z tych fakultetów, jak np. prawnego, kolegium Owena wówczas nie posiadało. Niektóre kolegia, istniejące w sąsiednich hrabstwach, a przedewszystkiém Leeds, założyły opozycyę przeciwko utworzeniu uniwersytetu manchesterskiego. Opozycya ta była dość silną, ażeby się z nią rachować przyszło. Kolegium Owena uczyniło ustępstwo i zamiast przekształcić się na uniwersytet zgodziło się zostać tylko częściowym jego organem. Postanowiono utworzyć już nie wyłącznie manchesterski uniwersytet, ale zbiorowy, federacyjny uniwersytet hrabstw północnych, pod nazwą Wiktoryjskiego. Myśl ta znalazła natychmiast ogólne poparcie, co dziwić nie potrzebuje, bo jak wiadomo, każdy uniwersytet w Anglii jest zbiorem kilku, albo kilkunastu kolegiów, z których każde posiada swój majątek, swoje statuta, swą organizacyę, tworząc bardzo luźny jednolity organizm. Uniwersytet Wiktoryjski miał się różnić od istniejących tém, że zamiast posiadać kolegia w różnych dzielnicach jednego miasta miał je posiadać w sąsiadujących ze sobą hrabstwach. Tak przekształcony projekt uzyskał sankcyę rządu i w d. 20 Marca 1880 r. uniwersytet Wiktoryjski otrzymał swą nadawczą chartę, i w skład jego weszły trzy kolegia, kolegium Owena w Manchesterze, kolegium uniwersyteckie w Liverpoolu i kolegium Yorkshire w Leeds. Jeżeli nie

może ten nowo utworzony uniwersytet rościć pretensyi do sławy, jakie posiadają Oxford i Cambridge — od których wszelako stoi znacznie wyżéj pod względem nauk ścisłych i działu technologicznego — to jest on szczęśliwiéj uorganizowany od Londyńskiego, który nie jest wykładowym, a ograniczać się musi do egzaminowania kandydatów i udzielania im dyplomów.

Przechodząc do technicznego kolegium w Glasgowie, na innym znajdziemy się gruncie. Nie wiem, czy da się stwierdzić statystycznie ową pretensyę Szkotów, że pomiędzy każdemi stu umysłowemi znakomitościami Wielkiéj Brytanii jest dziewięćdziesiąt ich narodowości, ale jest niezaprzeczoną prawdą, że Szkocya chlubić się może wysokim stopniem i szerokiém rozpowszechnieniem oświaty. Oprócz tego jest rzeczą uwagi godną, że umysł szkocki, dający się owładnąć potędze imaginacyi w poezyi i romansie, lubuje się i w subtelnościach metafizyki i w naukach ścisłych. Uniwerty szkockie są rozsadnikami wiedzy we wszystkich jéj kierunkach. Ponieważ zaś społeczność ta posiada nastrój ducha energiczny, a jest wysoce praktyczną, nie dziwota iż usiłuje wyciągnąć z nauki teoretycznéj wszystkie możliwe korzyści. Jeżeli kraj ubogi i przez naturę upośledzony, jest obecnie tak przedziwnie zagospodarowany i w posiadaniu przeważném a nieledwie wyłączném kilku donioslych gałęzi wytwórczych, to wytłómaczyć sobie to można doskonalszém i wcześniejszém rozpowszechnieniem wykształcenia technicznego, aniżeli to miało miejsce w innych częściach Wielkiéj Brytani.

Pierwsze kolegium techniczne, jakie w niéj utworzoném zostało, liczy nie mniéj, jak sto lat istnienia. Było ono ufundowane w Glasgowie w r. 1796 przez profesora Johna Anderson'a i istnieje bez przerwy pod rozmaitemi nazwami: Instytutu Andersona, uniwersytetu Andersona, kollegium Andersona, mechanicznego instytutu i kolegium nauk i sztuk, Technicznego kolegium wschodniéj Szkocyi. Pod tym szeregiem nazw z których każda oznaczała inną fazę rozwoju instytucyi pierwotnéj, jest to ciągle jeszcze ta sama „Andersoniana", która spłodziła całe pokolenia wykształconych techników i posłużyła za wzór dla większéj części szkół technicznych w trzech zjednoczonych królestwach.

Słowo osobistego wspomnienia należy się Andersonowi, który wyprzedził tak znacznie ruch obecnie tak powszechny. Urodzony w 1726 r., był on w uniwersytecie glasgowskim profesorem filozofii naturalnéj, czyli innemi słowy fizyki. Zamiast wykładać ją teoretycznie tylko, podług ówczesnéj metody, niedość że rozszerzył jéj zakres do nauk z fizyką zbliżonych, ale, co najgłówniejsza, dodał

do swych odczytów ćwiczenia praktyczne i doświadczenia. Ta zuchwała inicyatywa wywołała żywą opozycyę ze strony konserwatywnego ciała uniwersyteckiego. Ta jednak nie tylko go nie zachwiała w jego planach, ale przeciwnie utwierdziła. Do swych wieczornych prac w laboratorym, na które studenci nie potrzebowali przychodzić w szkarłatnych togach, przypuszczał rzemieślników, robotników, dyletantów naukowych, a zbliżywszy się w ten sposób do ręcznych pracowników, zdał sobie sprawę, jak wielce nauka wpłynąć może na udoskonalenie wytwórczości. Przewodnią myślą jego życia stało się ufundowanie instytucyi, w któréjby całość wiedzy i jéj praktyczne zastosowania nauczane były. Nakréślił też cały plan „Andersońskiego uniwersytetu“ w swym testamencie, a gdy umarł w 1796 r., obszerny ten plan musiał, niestety! być bardzo zredukowany, bo cały majątek fundatora wynosił zaledwie 1000 f. szt. Wobec olbrzymich fundacyi na setki tysięcy funtów, które za naszych dni milionerzy miast przemysłowych czynią dla wykształcenia technicznego, drobna ta sumka wydawać się może śmieszną. Byłoby atoli krzyczącą niesprawiedliwością i nieledwie bluźnierstwem takim mierzyć ją łokciem. Działo się to w prowincyonalném miasteczku o 70,000 mieszkańców, przed stu laty, gdy pieniądz inną niż teraz miał wartość; przedewszystkiém zaś był to zarodek przyszłego, potężnego organizmu.

Wykonawcy testamentu Andersona zrozumieli, że nie było sposobu kusić się o założenie uniwersytetu i ograniczyli się do instytutu. Umieszczony naprzód w jednéj sali, przeniesiony został do swego własnego domu, dzięki napływowi słuchaczy na kursa fizyki chemii, mechaniki znakomitych profesorów Garnetta, Birkbecka i Ure'a, którzy jeden po długim świetnemi swymi wykładami ściągali uczniów. Zauważyć trzeba, że od samego początku kobiety przypuszczone były na wykłady. W 1828 r. następuje zmiana w instytucie Andersona: nabywszy inną, obszerniejszą posiadłość, przybiera nazwę uniwersytetu i zachowuje ją do 1877 r. Ten drugi 40-o letni peryod istnienia zakładu Andersona zaznaczony był licznemi donacyami, które pozwoliły powiększyć zbiory i bibliotekę, wybudować obszerne i wygodne laboratorya fizyczne i chemiczne, a przedewszystkiém otworzyć nowe katedry, gdyż uniwersytet o jednéj był w całém tego słowa znaczeniu unikatem. W każdym razie stał on w 1877 dość silnie pod względem materyalnym, aby udać się do parlamentu z proźbą o nadawczą *chartę*, którą też otrzymał pod urzędową nazwą Andersońskiego kolegium w Glasgowie. No-

sił ją atoli tylko łat 10, i w ciągu tego okresu obok fizyki i chemii, dotąd tu przeważnie uprawianéj mechanika nabiera coraz większego znaczenia, co się tłómaczy tém, że Szkocya stawała się coraz bardziéj warsztatem, w którym budowały się okręty nie tylko dla Wielkiéj Brytanii, ale dla marynarek całego świata. Znacznie pierwéj powstał już był, niezależnie od kolegium Andersona, ale za przykładem jednego z jego profesorów, Birkbecka, tego samego który założył w Londynie instytut mechaniki, takąż noszący nazwę instytut w Glasgowie, który miał ogromne powodzenie. Całe warsztaty robotników; zatrudnianych w ciągu dnia w swych zawodowych pracach, przychodziły *in gremio* na wieczorne odczyty do instytutu mechaników; byli słuchacze, którzy codzień, z wiosek okolicznych, kilka mil pieszo na takowe przychodzili. Laboratorya dla mechaników, hojnie uposażone przez bogatych przemysłowców, przyczyniały się wielce do rozrostu tego zakładu. Naturalném się stało, że kolegium Andersońskie, które na tém współzawodnictwie cierpiało, uznało za właściwe zlać się z taką kwitnącą instytucyą, która świeżo przybrała była nazwę kolegium nauk i sztuk.

Istotnie zjednoczenie to nastąpiło w 1887 r. Aktem parlamentu cztery instytucye wykształcenia technicznego istniejące w Glasgowie, t. j. kolegium Andersońskie, kolegium nauk i sztuk, instytut Allan Glen'a i instytut Atkinsona, zostały połączone w jedno wielkie ciało, pod nazwą technicznego kolegium Glasgowa i Zachodniéj Szkocyi. W posiadaniu znacznego funduszu, mając doskonałych profesorów i obszerne, uspecyalizowane i nic do życzenia nie zostawiające laboratorya, pracownie, warsztaty, muzea wzorów, próbek i okazów, kolegium to bez najmniejszego trudu stało się przedziwnym typem zakładu wykształcenia technicznego. Pierwszym wybranym prezydentem tego kolegium był lord Kelvin: to nazwisko najznakomitszego uczonego współczesnéj Anglii samo jedno świadczyć może o naukowém znaczeniu téj instytucyi. Zwierzchnicza rada kolegium zrozumiała od samego początku, że należy zestawić każdéj z przedtém samodzielnych instytucyi wszelką możliwą niezawisłość i zostawiła zespolenie ich szczelne czasowi. Dokonało się to prędzéj, niż się spodziewać było można, i niéma śladu nieporozumień i zawiści. Profesorom zostawiona jest także całkowita swoboda wyboru i traktowania téj lub owéj części danego przedmiotu. Wyrobiła się w ten sposób szybko wielka specyalizacya naukowa. Coraz nowe katedry są fundowane, jak w ostatnich czasach—motorów parowych i elektrycznych, i coraz nowe wydziały otwierane, jak np. tkactwa i przędzalnictwa. Departament mineralogiczno-geologiczny

posiada doskonałe laboratorya metalurgiczne z piecami do topienia kruszców podług najdoskonalszych modeli. Trudno opisać życie, jakie panuje w tém kolegium! Na wykłady elektryki i inżynieryi elektrycznéj tłoczyło się przeszło 500 studentów: należało przepołowić kurs i mianować dodatkowego profesora. Grono profesorskie składało się w 1894 r., ostatnim z którego posiadamy sprawozdanie, z 10 zwyczajnych profesorów, 19 docentów, 5 dodatkowych profesorów, 12 nauczycieli w wydziale sztuki przemysłowéj i 17 asystentów przy laboratoryach. Wykłady odbywają się w dzień i wieczorem, te ostatnie pod nadzorem profesorów zwyczajnych. W roku szkolnym 1893 było 658 studentów na dziennych kursach, a 3,907 na wieczornych. W tymże roku 2,545 stanęło do egzaminu w wydziale nauk i sztuk, pod którego zwierzchnictwem techniczne kolegium glasgowskie się znajduje. Dyplomy, które ono samo wydaje i które są uznane przez uniwersytet glasgowski, obejmują inżynieryę cywilną i mechaniczną, budownictwo okrętów, elektrykę, architekturę, chemię inżynierską, metalurgię, górnictwo, rolnictwo, matematykę, fizykę i chemię,

Całość szczegółów, odnoszących się do technicznego kolegium w Glasgowie pozwoli czytelnikowi zdać sobie sprawę o jego znaczeniu, wpłynie i korzyściach praktycznych, jakie przynosi społeczeństwu. A nie należy zapominać, że ani municypalność, ani budżet państwowy nie przyłożyły się do jego założenia i utrzymania złamanym szelągiem i że stoi ono jedynie i wyłącznie prywatnemi fundacyami.

Na zakończenie tego obrazu technicznéj oświaty angielskiéj zostawiliśmy Birmingham. Należało go wyosobnić, gdyż jest on miastem wyjątkowém, jedyném na całéj przestrzeni Wielkiéj Brytanii. Posiada całkowity, kompletny organizm szkolny, zaczynający się od najniższego szczebla, a dochodzący do uniwersyteckiego i wielkie fundacye milionerów splątane są tam tak szczelnie z działalnością światłéj, postępowéj i energicznéj municypalności, że nie można traktować ich odrębnie.

Nawet szkółki elementarne Birminghamu, chociaż uorganizowane podług programatu państwowego, mają tutaj piętno odrębne. Za przykład można podać szkołę na Bridge Street. Ufundowaną ona została przez bogatego przemysłowca, p. Dickson, dla synów robotników, ale od kilku lat utrzymywana jest kosztem miasta. Do zwykłego programatu elementarnego dodany jest tam dział techniczny, obejmujący mechanikę teoretyczną i stosowaną, chemię,

elektrykę, rysunek, geometryę stosowaną i zasady budowy machin. Nie trzeba zapominać, że z wykładów téj elementarnéj szkółki korzysta kilkuset uczniów, z których najstarsi nie mają jeszcze 15 lat skończonych. Szkółka ta posiada dwie lokomotywy parowe, jednę całkowitą, a drugą rozebraną na składowe swe części. Chłopcy studyują je i robią rysunki zdumiewającéj precyzyi, a następnie podług tych rysunków wykonywają w pracowni modele z drzewa.

Z tego rodzaju szkółek elementarnych jest przejście naturalne do szkół średnich, tak zwanych *Grammar School*. Podczas, gdy reszta kraju dotkliwie brak takowych uczuwa, Birmingham znajduje się pod tym względem w uprzywilejowaném położeniu. Król Edward VI-ty zapisał w 1552 roku dochód z ziemskiéj posiadłości na szkołę średnią w Birminghamie. Wynosił on wtedy 23 f. szt. rocznie; przy końcu zeszłego stulecia wynosił on już 1,200 f. szt., a przy końcu naszego wynosi nie mniéj, jak 50,000 f. szt. Nie dziw, że rozporządzając takiemi funduszami i wydarłszy je z rąk kościoła anglikańskiego, który usiłował obrócić je na swój wyłączny użytek, miasto pobudowało dla szkół średnich okazałe gmachy i pałace, założyło cały szereg wzorowych zakładów średnich dla chłopców i dziewcząt, i u ich szczytu szkołę wyższą, *High School*, w ostatniéj klasie któréj nauki ścisłe wykładane są gruntownie i wszechstronnie.

I tutaj jednak nie zatrzymała się gorliwość orędowników oświaty. Obywatele Birminghamu z własnych funduszy utworzyli nie jeden, ale dwa zakłady, gdzie wykształcenie techniczne ma charakter uniwersytecki. Jest to „*Birmingham and Midland Institute*" i kolegium Mason'a.

Instytut Birminghamu i hrabstw środkowych otwarty został w 1855 przez ks. Alberta. Sam gmach kosztował blisko 100,000 f. szt. Jakich 2,000 obywateli dostarczyło nań funduszów i nie przestają ich dostarczać. Instytut jest skomplikowaną i wielokierunkową organizacyą, ale przeważnie jest to uniwersytet popularny. Mieści się tam klub, zasiadają różne uczone stowarzyszenia, odbywają się odczyty, koncerta, posiada bibliotekę i czytelnię doskonale zaopatrzoną. Poniedziałkowe odczyty wieczorne w olbrzymim amfiteatrze, mogącym pomieścić 1,000 słuchaczy, cieszą się szeroką popularnością, i takie znakomitości narodowe, jak Karol Dickens, jak Kingsley, dziekan Stanley, historyk Froude, sir John Lubbock, profesorowie Huxley i Tyndall—odzywali się tam nieraz do chłonącego ich słowa audytoryum.

Ale jest to dopiéro jedna strona instytutu: drugą jest szkoła. Wykłady obejmują tam wszystkie możliwe przedmioty, od rana do

wieczora brzmią tam sale tłumem uczniów, ale przedewszystkiém wieczorem panuje ruch w tym naukowym ulu, bo instytut pragnie być uniwersytetem popularnym, uniwersytetem dla robotników, którzy téż setkami przybywają tu po całodzienéj pracy w warsztatach i fabrykach. Przeszło 5,000 studentów uczęszcza na lekcye i pracuje w laboratoryach instytutu, i wszystkie stany, wieki i płcie są tu reprezentowane. Wydając przeszło 10,000 f. szt. rocznie na szerzenie oświaty i nie zaniedbując ani literatury, ani języków obcych, zwraca szczególną pieczę na fizykę, chemię, geologię, mechanikę, elektrykę etc. Ze względu na to, że metalurgia stanowi główną gałęź wytwórczości miejscowéj, instytut otworzył oddzielny wydział metalurgiczny o dwóch klasach, teoretycznéj i praktycznéj, zaopatrzony w laboratorya i warsztaty doświadczalne. Przeszło 500 uczniów uczęszcza na kursa dniem i wieczorami, i synowie milionowych przemysłowców mieszają się tam z prostymi wyrobnikami. W arystokratycznéj Anglii, jest to rzecz nowa i brzask nowego porządku rzeczy.

Co najbardziéj zadziwia w instytucie, to prostota administracyi, brak wszelkiego formalizmu, swoboda i elastyczność tego skomplikowanego mechanizmu. Wszyscy, co znali dawniejszy ohydny, ponury Birmingham o zmateryalizowanéj, zdziczałéj ludności robotniczéj, przyznają, że w przeciągu ostatniego pół wieku dokonał się w nim przewrót, jakiemu, żadne inne europejskie miasto nie miało równego. Panuje tam obecnie gorączkowy popęd do oświaty, a czytelnie, biblioteki, muzea, galerye przepełnione są nietylko przedstawicielami warstw zamożnych i niezależnych, ale warstw ludowych, które zrozumiały tutaj lepiéj, niż gdziekolwiek indziej, że jedynie przez umysłowe wykształcenie robotnik jest w stanie dokonać całkowitéj ewolucyi, do któréj istota ludzka jest uzdolniona. Instytut przyczynił się do tego odrodzenia więcéj, niż jakikolwiek inny zakład.

Jak powiedzianém już było, Birmingham posiada jeszcze drugi zakład naukowy uniwersyteckiego nastroju, specyalnie poświęcony oświacie technicznéj: jest to kolegium Mason'a. Prosty robotnik, Jozua Mason, który wytrwałą pracą i siłą inteligencyi dorobił się magnackiéj fortuny, gdy został dygnitarzem i baronetem, nie zapomniał o trudnościach, jakie ludność zarobkująca znajduje w wybiciu się na wierzchołkową jaśnię przy braku odpowiednich szkół zawodowych, ufundował kolegium noszące jego imię. Poświęcił na ten cel okazałą summę 200,000 f. szt. Stanął wspaniały gmach go-

tycki, będący ozdobą miasta, które tyle pięknych budowli w ostatnich czasasach wzniosło. Otwartém zostało kolegium w 1880 i ma do 500 studentów na dziennych i blisko tyluż na wieczornych wykładach; 12-tu profesorów, czterech asystentów i tyluż preparatorów stanowi jego sztab nauczycielski używający wszechświatowéj reputacyi. I tutaj metalurgia odgrywa ważną rolę, ale chemia w różnych zastosowaniach do przemysłu walczy z nią o lepsze. Kolegium Masona przygotowuje kandydatów do dyplomów uniwersytetu londyńskiego, rozpisuje stypendya hojne i szczyci się, że pomiędzy swymi laureatami nie przestaje miéć synów warstwy robotniczéj, co ze szkółki elementarnéj, idąc do coraz wyższych zakładów technicznych, w jego audytoryach i pracowniach dokończyli tego zawodowego wykształcenia, od którego przyszłość ekonomiczna Wielkiéj Brytanii zawisła.

M. E. Trepka.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Władysław Domański. „Wolność, Równość, Braterstwo“. Studyum krytyczne. Przekład z francuzkiego. Warszawa, Wende, 1899, in 8-o, str. 48.

Wyszło z druku studyum p. Władysława Domańskiego o znaczeniu haseł: wolność, równość, braterstwo. Jest to poważna praca naukowo-publicystyczna, w któréj autor stara się nas przekonać, że każde z wymienionych głośnych słów, poruszających w nowych czasach tłumy, jest w tém znaczeniu, w jakiém je używają apostołowie ludu, szumnym wyrazem, obliczonym na efekt i sprzyjającym głównie karyerze aferzystów, wyzyskujących dla swoich celów modną ideę i nastrój chwili.

Najpierw autor mówi o równości bezwzględnéj i, jako taką, zalicza ją do pojęć z dziedziny czystéj abstrakcyi. Przyrodzie żyjącéj właściwą jest według niego nierówność; na niéj opiéra się wielkie prawo Darwina o doskonaleniu się gatunków, które w stosunku do życia społeczeństw nosi nazwę teoryi arystokracyi naturalnéj. Motorami postępu są jednostki doskonalsze. Nierówności—mówi daléj p. Domański—wymaga nawet sprawiedliwość, która nie jest równością wszystkich, ale jednakową wolnością dla wszystkich. Równość wobec prawa i ciężarów społecznych jest tylko uszczupleniem w równéj mierze wolności.

Nie nowe są to myśli, co zresztą zastrzega i sam autor. Ważném jest jednak wypowiedzenie ich dzisiaj, kiedy już nie drobne szkoły — na które przed kilkudziesięciu laty nawet przenikliwi publicyści nie

zwracali uwagi, ale całe masy są pod wpływem doktryny socyalistycznéj. Jest rzeczą ważną dla reformatorów wiedziéć, w imię czego wojują. Dążność do bezwzględnéj równości jest zarazem dążnością do niwelacyi, wiodącéj do mierności. I jeśli można przyjąć zasadę równości za racyonalne hasło dla działalności społecznéj, to tylko takiéj równości, jaką autor przyjmuje za Chevalier'em—równości „ustosunkowania względnie do moralności, talentów, zasług i usług".

Druga część mówi o braterstwie. Nie znajduje go autor w rodzinie, którą uważa za instytucyę utylitarną. Tém więcéj niéma go w społeczeństwie, gdzie osobisty interes jest dźwignią bytu i sprężyną rozwoju. Zasada braterstwa, stosowana w życiu, stworzyłaby, według p. Domańskiego, wyzysk dobrych przez złych, zamiast istniejącego dziś wyzysku słabych przez silnych. Za jedyne trwałe uczucie, nieodłączne od życia społecznego, autor uważa stosunek, wypływający z wspólności interesów.

To się nazywa traktować rzeczy bez obłudy. Człowiek w istocie więcéj skłonny jest do popędów egoistycznych, niż do poświęceń. Słuszném tedy jest budowanie przyszłości na zasadach własnego interesu jednostek. Nie wynika wszakże stąd, że przyszłe społeczeństwa mają być pozbawione uczuć altruistycznych. Ideał braterstwa, jak każdy ideał etyczny, biorąc rzeczy ściśle — pozostanie zawsze utopią. Niechaj więc prawodawstwo, normując działalność ludzką, ma na względzie ideę własnego interesu jednostek. Nie przeszkodzi to idei braterstwa rozwijać się i oddalać ludzkość od uciekania się do przepisów prawa.

Za pierwszy warunek szczęścia ludzkości p. Domański uważa wolność. Nad państwem stoi władza. Zadaniem jéj jest ochranianie sprawiedliwości i oddawanie pewnych usług, leżących w interesie ogółu. Tutaj wolność jednostki wchodzi w kolizyę z władzą. W imię idei państwowéj i dobra społecznego władza zabiéra na swoją korzyść część wolności jednostek. Tutaj rodzi się pytanie, kto winien rządzić? Autor odpowiada—nie większość, lecz jakość—pierwsi w narodzie. Dziś, kiedy socyalizm zagraża zasadzie wolności, nauka jedna może z nim walczyć. Ludzkość—mówi autor—powinna przyzywać do steru rządów przedstawicieli nauki. Nie mówi nam tylko, do jakich uczonych zwrócić się należy, a przecież i socyalizm ma swoich uczonych przedstawicieli. Zresztą, czy uczoność jest umiejętnością rządzenia? A jeżelibyśmy odpowiedzieli nawet twierdząco, to czy mądrość polityczna daje gwarancyę sprawiedliwości? Na te pytania nie znajdujemy w książce

zadawalniającéj odpowiedzi. Pomijając jednak te drobiazgi, przyznać musimy, że praca p. Domańskiego, mająca na widoku postęp i wolność jednostki, jest cennym nabytkiem w naszéj literaturze naukowéj.

K. Gr-

Dr. E. Zivier — Geschichte des Bergregals in Schlesien bis zur Besitzergrefung des Landes durch Preussen. Kattowitz — Gebr. Böhm.—1898—IV. 370.

Mimo gruntownych praw Steinbacha i hr. Stienberga nad historyą górnictwa i praw górniczych na Szląsku — historya ta niezupełnie jest wyjaśnioną. Autor przyczynę téj niejasności upatruje w przeszłości Szląska, który pierwotnie część państwa Polskiego, w XII w. tworzy system państw niezależnych, następnie złączony węzłem lennym z Czechami, od XVI do XVIII w. stanowił część monarchii Habsburskiéj — dopóki nie nastąpiło „Besitzergreifung", jak się delikatnie wyraża, ze strony Prus. Autor bada więc historyę praw górniczych panującego na Szląsku, aż do obecnéj chwili, zaboru Pruskiego, z zamiarem wyjaśnienia kwestyi niejasnych w 6-ciu rozdziałach, a w końcu dzieła (str. 248—370) dołącza w wyciągach dokumenty historyi téj dotyczące.

Dla nas najbardziéj interesujące są dwa pierwsze rozdziały: początki górnictwa i historya prawa górniczego aż do przejścia Szląska pod zwierzchnictwo Czech. Przedewszystkiém zajmuje autora kwestya czy sztuka górnicza dostała się na Szląsk ze wschodu od Polski, czy z południa od Czech, czy też z zachodu od Niemiec. Jak wiadomo, Łabęcki, idąc za Herderem sądził, że górnictwa uczyli się Niemcy od Słowian; wielu uczonych, nawet niemieckich przypuszczało, że uczyli się go od Czechów; świeżo Koczanowicz wygłosił tę samą teoryę, którą nasz autor w pierwszym rozdziale stara się obalić. Argumenty jednak obu stron są prawie wyłącznie na lingwistyce oparte; czy „*saupe*" pochodzi od „zupy" a „*kubs*" od „kus", czy też sztolnia, szlachta, olbora i sztygar wzięte są z niemieckiego — to kwestyi ostatecznie rozwiązać nie może. Ważniejszym jest fakt, że Rzymianie prowadzili roboty górnicze w krajach z ludnością niemiecką i słowiańską; najprawdopodobniéj też od nich i Słowianie i Germanie uczyli się górnictwa i to o tyle o ile nie poznali go daleko wcześniéj. Powstanie umiejętnego górnictwa zdaje się być ściśle związane z istnieniem w społeczeństwie dość licznego stanu niewolników i wątpliwém jest czy w epokach organizacyi pierwotnéj górnictwo może wyjść po za sferę najpierwotniéjszéj metody

płóczkarstwa, zbierania rudy tylko z powierzchni ziemi i obrabiania jéj temi pierwotnemi sposobami, które są w użyciu u ludów afrykańskich.

Z kolei zajmuje autora pytanie skąd dostało się do Słowian — Czech i Polski — pojęcie praw górniczych panującego — regalii górniczych; czy z Niemiec? Jak chce Sternberg czy z prawa rzymskiego. Zivier sądzi, że do Czech dostało się ono z Niemiec. Co do Polski twierdzi, że wynikało ono z praw księcia do wszelkiéj ziemi niezajętéj. Początki górnictwa w Polsce sięgają czasów Chrobrego (Długosz pod 1025 r. o dotacyach kościołów), a w XII i XIII w. prawa panującego do bogactw górniczych są już zupełnie określone. W XIV w. prawa górnicze zostają skodyfikowane (1368 prawa górnicze Bochni i Wieliczki, 1374 Olkusza) i prawo 1374 r. uznaje wolność górniczą z zachowaniem zwierzchnich praw panującego i z zastrzeżeniem „olbory”. Dopiero *pacta Conventa* Batorego (1576) przelały na właściciela powierzchni ziemi prawo do jéj wnętrza.

Istnienie górnictwa na Szląsku stwierdzają dokumenta już w 1163 r.; niezawodnie istniało ono już wcześniéj. Prawo górnicze polskie było na Szląsku w użyciu do XIV, a w górnym Szląsku nawet do XV w. W r. 1263 roku Tomasz biskup Wrocławski pisząc o przybyciu legata, pisze, że przybył „*ad nos in Poloniam*”. Wpływ Niemców na górnictwo szląskie był większy niż w innych częściach Polski — prawa jednak do regalii górniczych książęta szląscy zdaniem Ziviera nie potrzebowali zapożyczyć od Hohenstaufów, bo w ogóle prawa książęce w Polsce były obszerniejsze od praw korony niemieckiéj.

Już w 1227 r. legaci papieża Honoryusza III sądzą spór między Henrykiem Brodatym a Wawrzyńcém (Laurentius) bis. wrocławskim o dziesięciny, między innemi o dziesięciny z górnictwa, przyczém okazuje się, że książe zobowiązał się płacić biskupowi dziesięcinę od dziesięciny, którą sam pobiérał. W Chełmińskich przepisach ziemskich (*Culmer Handfeste*) wydanych przez preceptora Zakonu Krzyżackiego Eberharda von Seyn dla ziemi Chełmińskiéj — przyznane są odkrywcy kopalni złota i właścicielowi ziemi te same prawa, „jakie są na Szląsku. Dowodzi to, że prawa górnicze szląskie już w XIII w. były dobrze znane po za granicami Szląska. Dwa kodeksa piśmienne tego prawa „Löwenberski” i Goldberski doszły do nas w odpisach XIV w. Oba opierają się na milczącém uznaniu prawa, panującego do wnętrza ziemi: w zasadzie niewolno jest dobywać nic z wnętrza ziemi bez zezwolenia księcia i jego „Magistra wody” (*Wassermeister*). Właściciel ziemi nie jest właścicielem jéj wnętrza, a tylko służy mu przed innemi prawo pierszeństwa. W Polsce panujący na własny rachunek prowadził kopalnie, na Szląsku wygłasza on prawo, że bez jego zezwolenia nikt, na-

wet na własnéj ziemi, górnictwa prowadzić nie może i w tém ogłoszeniu wyraźném praw panującego do wnętrza cudzéj ziemi Zivier dopatruje wpływu praw niemieckich, chociaż twierdzenie to stawia w formie pytania.

Prawo panującego do prowadzenia kopalni na własny rachunek Zivier uważa za pojęcie pierwiastkowe — prawo do dziesięciu z kopalni na cudzym gruncie w połączeniu z wolnością górniczą za pojęcie następcze. Nie zawsze zdaniem jego pojęcia te idą w historyi w tém samém następstwie czasu. Prawo do dochodów panująeego z kopalń na ziemi prywatnéj w Rzymie zjawiło się po prawie właściciela powierzchni do własności wnętrza ziemi. Jeśli regalie górnicze na Szląsku i w Polsce wyrobiły się pod wpływem niemieckim, to pierwotne pojęcie: że panujący jest właścicielem wnętrza ziemi leżało, podług Ziviera, w zasadniczych pojęciach polskich o prawach panującego. Powołując się na szereg autorów naszych —poczynając od Lelewela a kończąc na Piekosińskim — autor, z literaturą polską historyczną obeznany, utrzymuje, że jeszcze w XII i XIII w. „a nawet i w późniéjszych czasach prawie (?) wszystka ziemia i wszystkie grunty (*Sämmtlicher Grund und Boden*) znajdowały się w bezpośredniém posiadaniu (*Besitz*) księcia" i dla tego sądzi on, że i cała własność szlachecka w Polsce powstała drogą nadań książęcych, że książę w pierwotnéj Polsce był właścicielem, czy posiadaczem (*Besitzer*) całego terytoryum państwa (str. 38 i 39). Stąd też panujący w Polsce był pierwiastkowo jedynym i wyłącznym właścicielem skarbów wnętrza ziemi (str. 40).

— *tr* —

Bogusław Butrymowicz. „Za słońcem". Poezye. Kraków 1898. Nakładem i drukiem A. Koziańskiego-

Mamy przed sobą przed paru miesiącami wyszły z druku tom poezyi p. Butrymowicza i chcemy z wrażeniem otrzymaném z przeczytania tych poezyi podzielić się z czytelnikami. Sądzimy, że w takiego rodzaju sprawozdaniu idzie głównie o wykazanie ogólnych, charakterystycznych rysów omawianego dzieła. Poszczególne błędy można wymieniać, lecz niekoniecznie potrzeba, ogólny zaś rys, ogólne pojecie dać potrzeba koniecznie, przez pominięcie bowiem tego nie wypełnilibyśmy zadania sprawozdawcy-recenzenta.

Zbiorek wierszy „Za słońcem" zawiéra kilka cyklów poezyi nastrojowych i opisowych, jako téż i wiązankę zwykłych wierszyków (epigramy, myśli...). W cyklu p. t. „Promienie" poeta za przedmiot swego pienia bierze wiosnę, któréj zapewne jest wielkim wielbicielem. Są to

w znacznéj części wiersze nastrojowe i refleksyjne; opisowość zajmuje tu plan drugorzędny. Do udatniejszych zaliczyć potrzeba wiersz II. „Poranek wiosenny”, VI „Marzenie poranku” i VII, w którym poeta wielbi słońce i przeklina noc „gwiaździstym płaszczem otoczoną”, która mu zabiéra to słońce. Cykl „Cienie” jest jakby dalszym ciągiem „Promieni”. Tam była wiosna tu jesień. „Chłód się, lęk jakiś wielmoży”...

„I łkasz... a z ócz ci łzy płyną srebrne
Gorącą strugą — —
I chore oczy w strony nadniebne
Zwracasz i płaczesz i patrzysz długo,
Czyli nie zstąpi ztamtąd otucha —
. . . .
Czekasz—i oto wraca tęsknota“

za „słońcem”, za „jasnemi krajami”, „gdzie bogi światła wzniosły jutrzence z purpury tron”... Silnemi barwami skreślony XIV sonet, poświęcony „dniom szarawym, bezbarwnym, jesiennym”, które przygnębiająco działają na poetę; „Ból, tęsknota i gorycz i żałość” opanowują nim i tworzą „jedną, głuchą elegię jesieni — —”. Uwagę czytelnika zwrócić tu należy na oryginalną, nie pozbawioną powabu i melodyi, budowę V wiersza tegoż cyklu. Ze „strof lirycznych” wieje pesymizmem. Wiersz pisany z zapałem wielkim i przejęciem się.

„Czemu świat się raz nie skończy,
Kiedy dusz już runął skład,
Kiedy boleść dzika sączy,
Coraz gorszy w sercu jad?“.,.
. . . .
Tylko męka jedna zawsze — —
Wrzód za wrzodem wzbiera w niéj,
Tylko stopy coraz krwawsze
I powietrza coraz mniéj“.

„Dwie noce” to kilka kart „nastrojowych” w guście *modern* z dziejów miłości. W cyklu „Poezyi” poeta maluje swój stosunek do poezyi i odwrotnie. Poezya dla niego jest „nadziemskim widem”, które „albo w otchłań spycha, albo zbawia”. Ją posiąść jest jego marzeniem.

„Ust swoich i ciała mi wzbraniasz
Nie chcesz być moją—czego chcesz odemnie?“

Poeta czuje w sobie zapał ku poezyi, czuje że go jakaś siła niewidzialna ku niéj popycha; dąży więc ku temu, by ten „nadziemski wid” zakląć w konkretne formy. Na chwilę wydało się poecie, iż „ją” już

posiadł, iż ot stworzy już dzieło coby dorównało jego ideałowi, lecz „sen to był tylko...

„Czułem twe zbliżenie —
Szłaś a wraz z tobą cudu zwiastowanie
I miałem w duszy takie kołysanie,
Jakie w powietrzu czasem bardzo głuchem
Czyni jabłoni kwiat—słabym podmuchem
Puchu lecący w miękkie traw usłanie“.

Teraz więc jeszcze jéj nie zdobył, lecz nie wątpi że zdobędzie.

„ . . . . . Bądź zdrowa na teraz
Przyjdzie czas, że cię pozyszczę,
Wchłonę twe wdzięki—światła, tony, farby,
Jak kolor morza koncha ssie perłowa...
Mą niewolnicą będziesz—i bożyszczem!“

Cykl „Melodye"—zbiorek wierszy pogodnych, kilka obrazków natury.. Podania biblijne o „jabłku", i o Kainie i o Ablu dały poecie powód do wypowiedzenia w formie sonetów kilku myśli ogólno-ludzkich o męczarniach żywota, o niesprawiedliwości i t. p. Kończą zbiorek „epigramy" i „myśli", wśród których znajduje się kilka zabarwionych humorem i ironią — i nakoniec wiersz większych rozmiarów „Hymn do nadziei".

Ostatecznie winniśmy tu dodać, iż zbiorek ten zawiera téż dwa wiersze Lenau'a („Śmierć wiosny" i „Rozłąka"), które przy zachowaniu formy wiersza oryginalnego nader ściśle i wiernie oddają i treść jego.

Ogólne wnioski o tym zbiorze poezyi dadzą się zawrzéć w tych słowach. Widoczne są usiłowania autora o różnorodność formy i unikanie popadnięcia w szablonowość. Stara się téż autor o melodyjność wiersza i często udaje mu się otrzymać nader melodyjne ustępy. Co się zaś tyczy treści, to wiersze mające za przedmiot ogólno-ludzkie ideały stanowią małą cząstkę całego zbiorku, przeważają erotyki, aczkolwiek i te nie zajmują tu znów wiele miejsca. Natomiast dużo tu pieśni poświęconych zniechęceniu, tęsknocie, „stubarwnym marom" „bez śladu gdzieś rozwianym", zawodom i żalom... Czasami się poeta unosi i w barwach jaskrawych a silnych zaakcentowuje swoje poglądy. Ideały jednak poety nie występują w tych wierszach wyraźnie, jednolitą dążnością do pewnego ideału nie są wyraźnie określone. Poeta najczęściéj znajduje się w chwilach zwątpienia, nastrojony jest zwykle pesymistycznie, spoziéra na świat z po „za słońca" (jak to téż w tytule zaznaczył) i tęskni za niém, za jego promieniami. Gdy zajdzie słońce, które jest mu „wszystkiém—światłem, ciepłem, Bogiem", za którém

biegną jego oczy, jak za matką, kochanką, szczęściem i rozkoszą..." gdy zajdzie ono „A niebo w czepiec szary się obleka—I nocy czeka"— wówczas poeta zapada w smutek.

„Wróci—ja wiem, że wróci—jutro lub pojutrze,
„Zapłonie znów, jak lampa w błękitnym kościele,
„Lecz tych dni, tych nadziei już przeszło tak wiele,
„A istnienie o każdy upłyniony dzień krótsze..."

Zarzucić można poecie, że nie zawsze jest jasny w wyrażaniu swych uczuć i myśli—czy to przez rozkład słów, czy téż przez niezbyt udatny ich dobór. Ogólne jednak wrażenie czyni ów zbiorek względem autora, optymistyczne — należy mu się więc z tego powodu zachęta do dalszéj pracy. *Henr. U.*

Józef Stanisław Wierzbicki. „O brzasku". Nakładem księgarni Filipowicz-Dubowika w Mińsku gub., Gebethner i Wolff w Warszawie 1898 r.

Gdybyśmy chcieli w kilku słowach ująć charakterystykę talentu p. Wierzbickiego i jego nastroju, przyszłoby to nam z niemałą trudnością. Zatrąca on bowiem tyle różnodźwięcznych strun w swoich utworach, rzuca tyle plam różnobarwnych ze swéj palety, że niepodobna złożyć z nich artystycznéj całości. Uwielbienie natury, uduchowienie jéj przez roje istot skrzydlatych, elfów, sylfów, chochlików i rusałek, Ondyny i Nikse, poezya trubadurów i truwerów, prastare wierzenia i obrazy poetyczne ludów z nad Indu i Gangesu, odwieczna mitologia grecka, wreszcie smętne rozmyślania, nad znikomością tego, co ziemskie i ludzkie—wszystko to staje się źródłem natchnień dla p. Wierzbickiego.

Z dwunastu cyklów, na które podzielił autor swe poezye, zawarte w niniejszym zbiorku, wyróżniają się niektóre motywami i nastrojem. Pierwszy cykl, zatytułowany „O brzasku", składa się z kilkunastu obrazków, w których przeważa jeden wybitny motyw—opis natury, ale nie w różnorodnych jéj objawach; poezye te są właściwie rozwinięciem jednego tylko motywu, stanu natury w chwili, rozgraniczającéj noc i dzień—o brzasku. Poeta lubuje się w tym tajemniczym półśnie całéj przyrody, lubuje się w półcieniach, półgłosach, szeptach, drżeniach, półsłowach i niedomówieniach. To téż owe półcienie i półsłowa stanowią przeważną cechę jego poezyi. Niéma tu barw jaskrawych, dźwięków ostrych, wyrazów silnych, działających na wyobraźnię czytelnika i wywołujących potężne wrażenie — wszystko rozlewa się w owéj nieuchwytnéj, nieokreślonéj mgle poranka, przesłaniającéj wszystkie przedmioty jakąś mistyczną zasłoną. Cierpi na tém obrazowość tych

poezyi, z których żadna nie zdoła utkwić w wyobraźni czytelnika, przemówić do niéj poetycznym obrazem, niespodzianym zwrotem lub śmiałą przenośnią. Mgła — kwiaty drżą — rusałki i chochliki i elfy zaglądają ciekawie do ich kielichów—szepty tajemnicze—cisza —lekki wietrzyk zaledwie trąca lilie i róże — rój motyli uwija się bez szelestu nad kwiatami.

A daléj zjawiają się postacie przepięknéj poezyi średniowiecznéj rycerskiéj: Roland, Lancelot, Trystan i Izolda, Ginewra, Parcival i t. d. Kilka utworów z tego cyklu zasługują na wyróżnienie: „Na morzu" —na fali kołysze się ciało topielca, a fala zcicha szepce mu na ucho:

Że kędy wschód słońca
Jest skała daleka,
Gdzie matka płacząca
Z tęsknotą go czeka...

A inny utwór z tego cyklu „Taniec" z pewną nawet siłą wyrazu maluje piekielne tany szkieletów pod dźwięki „skocznéj lecz dzikiéj" muzyki. To samo da się powiedzieć i o dwu innych cyklach z tego zbiorku: „Na łonie natury" i „Echa jesienne", ten sam panuje w nich nastrój, natura maluje się temi samemi barwami.

W cyklu „Elegia" znajdujemy kilka drobnych, lecz wdzięcznych obrazków. „Stara komnata"—to dziadek zgrzybiały siedzi „w starém krześle" i ciekawie wypytuje wnuka: „Co tam słychać w świecie, mów!" a ten szepce mu „dzieje życia łez i burz" aż wśród tych smutnych opowieści:

Dziad pochylił dawno (!) głowę
I śni w starym grobie już.

„Sąsiadka"—to staruszka, co „na poddaszu w domostwie maleńkiém" „ślipa (!) nad igłą" po nocach, a wreszcie przenosi się do lepszéj krainy, „do dzieci—daleko". „Senne gwiazdy"—wreszcie, jest to piękny obraz nocnéj ciszy, kiedy to

Liść nie szemrze, wiatr nie dyszy,
Nie szeleści złota błoń...

I poeta sam wśród swéj błogiéj ciszy zapragnął być jéj cząstką i „pośród życia jazdy ukołysać tęskną skroń".

Utwory zawarte w cyklu „Z teki fakira", osnute są na tle bogatéj fantazyą poezyi indyjskiéj: widzimy więc tu Wiswamitrę na łonie uroczéj gór Nimfy, boskiego Krisznę, rozmiłowanego w pasterce imieniem Radha, wreszcie Lakhmi, boginią piękności, zjawienie się któréj wśród natury wlewa w nią nowy pierwiastek „wiosny, szczęścia, słońca..."

Wiersz z cyklu „Pod niebem greckiém" na tle obrazów zaczer-

pniętych z greckiéj mitologii, niczém wybitném się nie wyróżniają; ażeby wlać w zużyte formy mitologii klasycznéj nowego ducha, na to trzeba posiadać olbrzymi dar fantazyi i siły słowa, których p. Wierzbicki w swych poezyach nie zdradził.

Odmienny cokolwiek nastrój panuje w poezyach, objętych nagłówkiém „Z dziedziny prawd". Przedstawia nam tu p. Wierzbicki ducha ludzkiego, dręczonego odwiecznemi zagadkami natury i ludzkości, nie rozwiązalnemi tajemnicami bytu, przedstawia ironię życia i śmierci.

Oto wśród wesołéj i hucznéj biesiady zjawia się nowy gość, nieoczekiwany — śmierć, i jeden z biesiadników pada na czoło bez życia; oto dziecię z pustotą dziecinną przygląda się czaszce, w któréj uwiły gniazdo „szczebioczące ptaki"; oto ludzie na maskaradzie życia błąkają się „jak maski dziwne i milczące", aż „przychodzi śmierć i zdziera maskę z naszéj twarzy". Czém jest życie nasze? czém śmierć? — to tajemnica!

Niepoznawalny, co się w gwiazd przepaściach chowa
I promieniami uczuć w nas przyświeca,
Wypisał nam na sercach te dwa słowa:
Śmierć, tajemnica!

I daremnie duch ludzki sili się te tajniki rozwiązać: żyć—to znaczy

... Szukać i nie znaleźć rozwiązania
Zagadki bytu.

Jedna wiara mogłaby nam rozświecić te ciemnie — cóż, kiedy z kącika duszy daje się wciąż słyszeć szept przekory: „A może inaczej?!"

Wyczerpaliśmy wszystkie tematy poezyi p. Wierzbickiego. Trzeba mu przyznać wielką łatwość wierszowania, wiersz płynie mu gładko i potoczyście — pewne usterki wersyfikacyjne trafiają mu się dość rzadko. Jest nawet w tych utworach pewna myśl filozoficzna, jest ukochanie natury, zwłaszcza w stanie ciszy i spokoju, który tak przypada mu do jego usposobienia. Brak mu tylko silnéj obrazowości, brak męzkiéj energii wiersza i słowa. To gubienie się w półtonach, w których rozlewa się i myśl i obraz, co poeta zamierzył nakreślić, ujemnie wpływa na jego poezye, które swą jednobarwnością nużą czytelnika, a owe dreszcze tajemnicze, które stanowią jeden ze stałych, uporczywie powtarzających się co kilka wierszy efektów, mogą wywołać wrażenie nie zbyt dodatnie.

Mniéj mgieł, szeptów, mroków i drżeń, więcéj trochę męzkości i skupienia się, a p. Wierzbicki przy swéj zdolności wierszowania może tworzyć rzeczy o wiele piękniejsze i bardziéj wartościowe.

H. Galle.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— Od października r. b. wychodzi w Warszawie „*Światło*”, czasopismo miesięczne, poświęcone fotografii i wiadomościom z nią związanym, objętości od 30 do 40 arkuszy druku rocznie. Prócz artykułów objaśnianych ilustracyami w tekście, daje po za tekstem wzory reprodukcyi fotograficznych rozmaitego rodzaju. Trzy zeszyty, które się dotąd ukazały, mają treść interesującą a szatę zewnętrzną ozdobną. Redaktorem jest znany w kołach naukowych prof. J. J. Boguski.

— Dnia 3 października 1898 r. odbyło się posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. Um., na którém czł. N. Cybulski przedłożył tymczasowy komunikat p. A. Wróblewskiego o „Nowym białkowym składniku mléka”. Dotychczas były znane trzy proteinowe składniki mléka: sérnik, globulina mléczna i białko mléczne; autor odkrył w mléku jeszcze jedno ciałko białkowe, odznaczające się znaczną zawartością siarki oraz własnością opalizowania, jaką posiadają rozczyny, które téż dlatego zostało tymczasowo nazwanem opalizyną.

Na posiedzeniu wydziału filologicznego z dnia 10 października r. bież. czł. J. Bystroń mówił: „O pisowni i języku ksiąg ustaw polskich z XV w.”, opiérając się na materyale językowym, zawartym w czterech rękopisach: w tak zwanym kodeksie Świętosławowym, w kodeksie Działyńskich, Dzikowskim i Stradomskiego.

Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego z dnia 17 października podał członek prof. St. Smolka wiadomość o „Korespondencyi Stanisława Augusta z Piattolim”. W Paryżu, w rękach prywatnych, znajduje się zbiór oryginalnych biletów Stanisława Augusta, pisanych w latach 1790—1792 do ks. Scypiona Piattolego. Prelegent, który otrzymał odpisy tych biletów, widzi w nich cenny materyał do charakterystyki osobistego stosunku między królem a Piattolim; niewielka tylko stosunkowo część szczegółów odnosi się do historyi politycznéj, a mianowicie do sprawy żydowskiéj, która traktowała się w sejmie z końcem r. 1791 i z początkiem 1792. Dr. Feliks Koneczny zdał następnie sprawę z swéj pracy p. t. „Liturgia króla Jana III Wazy”. Autor występuje przeciw powszechnie przyjętemu mniemaniu, jakoby król szwedzki Jan III był katolikiem i jakoby dążył do stopniowe-

go przyrócenia katolicyzmu w swém państwie; twierdzi natomiast, że król ten sam ułożył nowe wyznanie wiary i chciał je narzucić krajowi

Dnia 7 listopada 1898 r. na posiedzeniu Wydziału matematyczno-przyrodniczego. Akad. Um. prof. T. Browicz odczytał rzecz p. t. „Obraz mikroskopowy komórki wątrobnéj po wstrzyknięciu do żyły szyjnéj roztworu hemoglobiny". Następnie prof. Ed. Janczewski przedstawił rezultaty swoich badań nad „Dwupostaciowością gruszek". Wreszcie prof. dr. N. Cybulski podał treść prac p. A. Wróblewskiego: „O soku wyciśniętym z drożdży" i p. W. Heinricha: „O wahaniach w natężeniu minimalnych wrażeń optycznych i akustycznych".

Na posiedzeniu wydziału filologicznego z dnia 14 listopada, streścił prof. K. Morawski pracę swoją p. t. „*De rhetoribus latinis observationes alterae*". Przedstawił w niéj i poparł dowodami retoryczny charakter czterdziestéj księgi Liwiusza, następnie określił rozwój niektórych frazesów retorycznych u historyków rzymskich, w opisach bitew, zwycięstw i klęsk.

Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego z dnia 21 listopada przedłożył dr. Stanisław Estreicher część pierwszą swojéj pracy p. t. „Początki prawa umownego ze szczególném uwzględnieniem rozwoju prawa w Niemczech". W części téj streścił i ocenił główne teorye rozwoju prawa umownego; następnie przeszedł do prawa umownego ludów pierwotnych i przedstawił warunki ukształtowania społecznego, od którego to prawo zależne; w końcu omówił powstanie kontraktu realnego i konsensualnego w prawie średniowieczném.

KRONIKA MIESIĘCZNA.



Nim te słowa dojdą do rąk czytelników naszych, w Warszawie na Krakowskiém-Przedmieściu odbędzie się uroczystość wielka, wzruszająca i rzadka. Tłumy uchylą w milczeniu czoła przed największym poetą polskim. Warszawie przybędzie pomnik, będący widomym symbolem najwspanialszéj twórczości, na jaką myśl polska zdobyła się na swych wyżynach, a krocie ludności nauczą się hołd oddawać temu, który stworzył formę, starczącą za wzór pokoleniom i tchnął w nią myśl czystą, prawą, szlachetną.

W Mickiewiczu czcimy wielkiego zdobywcę, który dla poezyi naszej podbił rozległą dziedzinę, odsłaniając przed nią nowe światy, a który równocześnie okrył ją blaskiem sławy.

Mistrz słowa, doczeka się hołdu, jaki mu w głębi serc niósł naród oddawna. Postać poety, wyzwoloną z osłon, jakiemi otoczyły ją doktryny polityczne i walki stronnictw, widzimy dzisiaj bez znikomych szat przemijającéj chwili; widzimy ją w blasku promieni wiekuistych,w jakim przejdzie do nieśmiertelności.

Obok pomników dla uczczenia przeszłości stawiają narody gmachy, w których kiełkować ma ziarno przyszłości. W Warszawie zaczną się niebawem roboty koło budowy naszéj szkoły politech-

nicznéj, a od ofiarności społeczeństwa będzie zależało, czy budynki te rozległością i urządzeniem odpowiadać mają wymaganiom nauki współczesnéj i potrzebom kraju.

Królestwo Polskie staje się krajem przemysłowym, wyraźna do niedawna przewaga produkcyi rolniczéj zanika stopniowo. Mimo niezaprzeczonego postępu w systemie gospodarowania, nie może rolnictwo dotrzymać kroku rozwojowi przemysłu, przybiérającego rozmiary, nieprzewidywane poprzednio. Od przyszłości naszych fabryk i kopalń zależy przyszła zamożność społeczeństwa, zależy przyszła dola ludu nie znajdującego już pomieszczenia na łanie rodzinnym i garnącego się tłumnie do wielkich ognisk przemysłowych.

Równocześnie atoli przechodzi przemysł nasz przez inne niezmiernie ważne przeobrażenie. Gałąź przyniesiona z zagranicy i zasadzona na naszéj glebie, puściła głęboko korzenie i wciąga niemi coraz więcéj soków miejscowych. Polszczenie przemysłu odbywa się stale choć nie równomiernie. Nie wszędzie zjawisko to przedstawia się jednakowo. W pewnéj tylko części zasługuje on w zupełności na nazwę polskiego. Dawać mu to miano można tylko tam, gdzie począwszy od kapitalisty a skończywszy na robotniku, cały świat fabryczny składa się z pierwiastków krajowych. Na ogromnym jednak obszarze kraju panują do dnia dzisiejszego stosunki takie, iż obok cudzoziemskiego kapitału mamy dziesiątki tysięcy polskich rąk roboczych.

Między przedsiębiorcą a robotnikiem istnieje atoli rozległa sfera pośrednia. Jest to świat pracowników z wyższém wykształceniem fachowém, pracowników, wkładających swą wiedzę w organizm fabryczny, stanowiących duszę produkcyi przemysłowéj.

Warstwa ta, do niedawna w części tylko złożona z krajowców, staje się coraz bardziéj polską. Napływ młodzieży naszéj z zakładów naukowych w cesarstwie i zagranicą powiększa liczbę kandydatów na posady, które przed ukazaniem się ustaw o cudzoziemcach oddawano bez wachania tym ostatnim. Dziś już atoli słyszéć się dają głosy, że, bez znacznego pomnożenia liczby techników polskich, nie zdołają oni opanować pozycyi, która im powinna przypaść w udziale. I nadejść może chwila, w któréj krajowcy nie będą w stanie zapełnić wakujących posad, a społeczeństwo będzie równocześnie produkowało prawników, szukających chleba nad Wołgą, lub nawet za Uralem, i lekarzy przymierających głodem w Warszawie.

Pamiętać trzeba i o tém, że i na téj dziedzinie istnieje współ-

zawodnictwo, z którém liczyć się trzeba. W Kijowie dzięki ofiarności miejscowego społeczeństwa, politechnika ma zapewnione pomieszczenie. W razie braku uzdolnionych fachowców w Królestwie, musieliby przedsiębiorcy nasi zasilać swe zakłady wychowańcami tamtéj szkoły.

Potrzebujemy więc zakładu naukowego, potrzebujemy budynków, w którychby się pomieścił wygodnie; gdy to się znajdzie, o byt jego troszczyć się nie trzeba, gdyż na utrzymanie przeznacza rząd sowitą sumę 261,000 tys. rubli rocznie. Na samą budowę przeznaczony jest dotychczas milion. Nie wątpimy, że skoro nie wystarcza to żadną miarą na przedsięwzięte dzieło, społeczeństwo brakującą sumę, acz bynajmniéj nie drobną, dołoży. Wszak ofiara ta płynie dla swoich.

Związana z kwestyą kształcenia młodzieży kwestya prac i studyów naukowych zaczęła właśnie témi dniami zajmować umysły wskutek polemiki o kasę Mianowskiego. Zarzucono téj instytucyi, że niektore działy nauki popiéra jednostronnie z uszczerbkiem działów innych, że ma szczególne względy dla medycyny, a pewną niechęć do rzeczy ojczystych, że kieruje się oschłym formalizmem tam, gdzie idzie o spełnianie zadań, które wymagają żywego przejęcia się dobrem ogółu.

Z polemiki, która się wywiązała, niepodobna nie wysnuć wniosku, że zarzuty te tchną pewném uprzedzeniem i podejrzliwością. Zarząd kasy wykazał cyframi, że znaczne sumy obrócił na wydawnictwo przysłów polskich, że „Wisłę" zasila datkami znacznemi, że część dzieł lekarskich wydana została ze specyalnego funduszu, który inaczéj użyty być nie może, a wreszcie — że to, co krytyka nazwała przesadną formalistyką, było tylko sumienném wykonywaniem przepisów ustawy, bez czego żadna instytucya publiczna pożytecznie działać i rozwijać się nie może.

Wyznajemy otwarcie, że w postępowaniu Kasy nie możemy się dopatrzéć tych ciężkich przewinień, o które ją oskarżano. Wielkich zasiłków, któreby się mogły równać z tém, co podobne instytucye w innych krajach wypłacają uczonym na kosztowne podróże, lub kosztowniejsze jeszcze poszukiwania archeologiczne w zagrzebanych miastach, nie dostarcza oczywiście nikomu nasza biédna kasa warszawska. Natomiast każdy, kto poprzestaje na małém, a posiada nieco cierpliwości i stosuje slę do wymagań, określonych ściśle ustawą — pieniędzy z niéj dostanie. I my wolelibyśmy, by w spisie

dzieł, które do chrztu trzymała, znajdowało się więcéj takich, które stanowią nowy szczebel w nieskończonéj drabinie, pnącéj się ku słońcu, i my wolelibyśmy, żeby patronat jéj, na tytule wyrażony, był dla cudzoziemców rękojmią, że książkę polską warto na ich język tłumaczyć i my wolelibyśmy, żeby kasa przy rozdawaniu zapomóg miała w czém wybiérać, żeby komitet był za każdym razem w rozpaczy, nie mogąc obdzielić wszestkich przedsięwzieć naukowych, z których każde roznieść może sławę nauki polskiéj na krańce świata. Ale pragnąc zawsze więcéj, niż mamy, nie zapomimy, równocześn;e, że kasa nie jest szkołą. Nie wychowuje ona uczonych, nie kieruje ich krokami, nie udziela im natchnienia, ale wierna swemu przeznaczeniu wspiera tych, którzy są, i takich jacy są. Nie nad tém biadać trzeba, że komitet czasem bywa w kłopocie, któremu z dwóch kandydatów przyznać zapomogę, ale nad tém, że tak rzadko bywa w tym kłopocie.

Niesłychanie mała jest nasza produkcya naukowa w porównaniu z miastami zagranicznemi. Nie mówimy już nawet o miastach uniwersyteckich. Są całe dziedziny wiedzy ludzkiéj, w których twórczość Warszawy nie może się równać miastom, nie mającym zresztą najmniejszéj pretensyi, by je wliczano między siedliska nauki; w zakresie np. nauk prawnych nie robi się u nas tak, jakby nic. Przypatrzmy się, jak to inaczej wygląda w takim Hamburgu, lub Frankfurcie nad Menem. Nie mamy ani prawdziwego zamiłowania, ani wytrwałości, by popracować samemu; nie mamy téż dostatecznego poszanowania dla pracy innych.

Nauka niemiecka stoi wysoko. Nie wyobrażajmy sobie jednak, że Niemcy zawdzięczają to wyłącznie téj grupie ludzi, którzy z głośnym tętentem co roku rydwan jéj posuwają naprzód. Grupa ta mniéj jest liczna, niżby się na pozór zdawało, a do życia samodzielnego, odosobnionego, niezasilanego sokami żywotnemi z dołu, nie byłaby zdolna. Wspaniały ten posąg stoi śmiało, bo czuje pod sobą silne podmurowanie z drobnych cegiełek. Temi cegiełkami są cisi pracownicy, mniéj może zdolni, niekiedy tylko mniéj śmiali w hipotezach, lub mniéj szczęśliwi w poszukiwaniach. Nie są to wyłącznie uczeni z zawodu. Na setki, na tysiące może liczyćby się dało między nimi miłośników nauki, dumnych, że im całe życie wolno spędzać w otoczeniu téj wielkiéj pani, a nieposiadających się ze szczęścia, gdy z ich ręki raczy przyjąć najdrobniejszy strzępek, który rzuca natychmiast między stos podobnych gałganków. Stosu tego

lada komu tykać nie wolno. Przyjdzie za chwilę mistrz i z szmatek tych powstanie szata wzorzysta.

Społeczeństwo niemieckie, francuzkie, angielskie, nie urąga takim ptakom niższego lotu. Rozumié ono, że bez tych nie byłoby tamtych. O ile więc może, zachęca jednostki do pracy naukowej. Na własną rękę próbuje chleba naukowego syn bogatych rodziców, któremu nie smakuje żaden zawód, wymagający karności i znoszenie cudzych zachcianek; z nim w parze oddaje się badaniom zbogacony przedsiębiorca, dość zamożny, by zadawalniać upodobania, dość jeszcze młody, by je miéć; oficer, który porzucił służbę, adwokat, któremu praktyka pozostawia dosyć wolnego czasu, są szeregowcami tej wielkiéj armii. Jeden bierze za przedmiot studyów archiwum swojéj parafii, drugi florę swego ogrodu, trzeci zjawiska meteorologiczne okolicy. W najbliższém ognisku życia naukowego nie lekceważą ich pracy. Pamiętają, że bez cegiełek murować nie można.

Tego powszechnego zajęcia się nauką jest u nas niesłychanie mało. Gdyby go więcéj było, wzrosłaby liczba tych, których kasa Mianowskiego wspieraćby nie mogła, ale z czasem pozyskałaby i takich, którzyby téj kasie przynosili chlubę.

Od lat kilku więcéj niż kiedykolwiek rozprawiano u nas o ważności pracy zbiorowéj, zorganizowanéj, jawnéj, o jéj dodatnim uzdrawiającym wpływie, o jéj pedagogiczném dla narodu znaczeniu. Dopiéro w chwili, gdy ludzie zabiérają się do roboty, zaznajamiają się z tysiącami trudności, wśród których wypadnie im pracować. Jedną z najważniejszych trudności jest u nas nieznajomość własnego kraju. W ciągu dni kilku można sobie pocztą sprowadzić więcéj materyałów dotyczących którejkolwiek prowincyi pruskiéj, niż się ich przez pół roku gromadzi dla Królestwa. Dane statystyczne istnieją. Znaléźć je można w biurach rządowych, w dyrekcyach wielkich instytucyi finansowych, w kantorach fabryk. Kto jednak potrzebuje ich szybko, uczuwa dotkliwie brak statystyki uporządkowanéj, wszechstronnéj, wyczerpującéj. Nie mamy pod ręką kolumn, któreby na każde zawołanie rozstrzygnęły wszelką kwestyę wątpliwą. Nie wiemy dokładnie, ile produkujemy i w jakim gatunku; nie wiemy skąd sprowadzamy, to czego nam brak, i dokąd wywozimy to, czego nie zużytkowujemy na miejscu. Nie mamy dokładnego przeglądu naszych długów, ani sum, któremi rozporządzamy poza granicami kraju, nie posiadamy jasnego, przejrzystego zestawienia podatków,— a cóż dopiéro mówić o statystyce życia gminnego, o statystyce sto-

warzyszeń, o tych wszystkich działach, bez ujęcia których w cyfry niéma prawidłowego kompletu statystyki.

Narzekania na te braki dały się uczuwać nieraz. By im zaradzić, wystąpił p. St. Kempner w sekcyi handlowéj Towarzystwa przemysłu i handlu z wnioskiem o założenie biura statystycznego, któreby zajmowało się gromadzeniem i ogłaszaniem materyałów statystycznych. Komisya wybrana w tym celu, ma nadać projektowi kształt konkretniejszy. W zasadzie spotkał się on z sympatyą powszechną. Przedewszystkiém atoli i w tym wypadku pamiętać trzeba, że początek jest trudny. Biuro takie nie może być ani biurem wzorowém, ani kosztowném, ani obsługiwaném przez liczny komplet urzędników. Będzie miało skromny zakres i nie zasypie odrazu Warszawy dziesiątkami tomów. Miejmyż więc trochę cierpliwości i nie wymagajmy od razu zbyt wiele.

*

* *

Za objaw zdrowy uważamy przedewszystkiém widoczną chęć sumiennego poznania własnego kraju, jego położenia obecnego, jego potrzeb. Nie może zdrowo rozumować o tém, czego nam potrzeba; kto nie wié, jakie czynniki wywołały stan dzisiejszy. Fantazye na temat przeszłości, to najpewniejsza rękojmia błędów i omyłek w teraźniejszości. Nie ten zabezpieczył się przeciw nim najskuteczniéj, kto najgłębiéj wniknął w oderwane teorye nauk społecznych i nauczył się śmiało operować definicyami, lecz ten kto wié, skąd pochodzą potrzeby, odczuwane przez kraj cały, kto zrozumiał, dlaczego nie mogły im zaradzić środki, jakie stosowano w przeszłości i kto nauczy się, co naśladować, a czego unikać należy.

Dlatego téż do dodatnich stron współczesnego życia umysłowego zaliczamy tę niekłamaną chęć poznania dziejów kraju. Śmiało twierdzimy, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy społeczeństwo nasze bardziéj postąpiło w téj mierze, niż nieraz w przeciągu lat kilkunastu dawniejszemi czasy. Nie tu pora wyliczać z bibliograficzną ścisłością tytuły wszystkich prac, które w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy wyszły z pod pras drukarskich, bądź jako oddzielne książki, bądź w czasopismach. Przypomnijmy sobie jednak, iż świeżo „Biblioteka Dzieł Wyborowych“ dała nam czterotomową historyę

Polski, że równocześnie ukazało się dzieło Tatomira, że niezadługo ukazać się ma takież studyum Augusta Sokołowskiego; nie zapominajmy, że w tymże czasie zjawił się szereg pamiętników bądź po raz pierwszy wydanych, bądź téż mało już znanych najmłodszemu pokoleniu czytelników. Publiczność nasza czytała w roku ubiegłym pamiętniki gen. Chłapowskiego· gen. Kołaczkowskiego, Leona Dembowskiego, Anny Potockiej, Franciszki Krasińskiéj, majora Raczyńskiego, Franciszka Karpińskiego; dodajmy do tego przedruk „Dziejów Ks. Warszawskiego“, dodajmy do tego prace takie, jak wychodzące obecnie pod tyt.: „Przed Burzą“ dzieje reform prawodawczych w Królestwie, a przyznamy, że społeczeństwu chęci uczenia się odmówić nie można.

Ale nauka historyi byłaby bezpłodna, gdyby równocześnie nie obchodziło nas żywo wszystko, co z dolą naszego społeczeństwa związane jest obecnie,

I pod tym względem śmiało stwierdzamy postęp. Minęły czasy, w których za wykształcenie polityczne uchodziła umiejętność sponiewierania Crispi'ego, litowania się nad Gambettą, uczenia rozumu Gladstone'a, czasy, w których za niepospolitego męża stanu uchodził ten, kto, nie wyjeżdżając z Warszawy, potrafił wywróżyć przesilenie gabinetowe w Grecyi lub Argentynie. Dziś inna nastała moda. Zamiast o uroczystościach zaręczynowych na wyspach Fidzi dzienniki nasze zajmują się coraz częściéj budżetami miast w Królestwie; zamiast przyszłym ustrojem społeczeństw na wyspie wiecznéj szczęśliwości—sądami gminnemi, zamiast debatami w Kortezach sprawą wynagrodzenia za propinacyę i ochronę leśną. Zmieniły się tematy rozmów na poważnych męzkich zebraniach. Romantycy dawnéj szkoły nudzą się na nich—prawda!

Gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystko, co za postęp uważaćby można, nie pominęlibyśmy pewnych kiełkujących objawów umiejętności organizowania się przy wspólnéj pracy, Komitet mickiewiczowski zdał egzamin z téj tak rzadkiéj u nas cnoty—celująco. Dowiódł, że są u nas jeszcze ludzie, umiejący pracować cicho, zgodnie, z wyraźną świadomością celu i z umiejętnością zaskarbienia sobie zaufania ogółu.

Gdybyśmy się nie lękali, że zapędzimy się zadaleko, mielibyśmy ochotę podzielić się z czytelnikami jeszcze jednem spostrzeżeniem; zdaje nam się chwilami, że dostrzegamy przebłyski cnoty,

o której, jako żywo, kroniki tego kraju nigdy dotąd nie pisały. Cnotą tą jest poszanowanie cudzego zdania. Zdarza nam się niekiedy wpadać na domysł, iż ktoś, kto się z nami w zdaniu nie zgadza, może jeszcze mimo to nie być skończonym łotrem.

Czy to złudzenie, czy naprawdę zmiana na lepsze? W dniach świątecznych—w okresie święta rodzinnego, święta dusz dziecięcych, pełnych wiary w bliźnich, niech i nam wolno będzie mieć wiarę, że to naprawdę krok ku lepszemu.



Tadeusz Smarzewski.



Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktorowie: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

O G Ł O S Z E N I A.

Prospekt na 1899 rok.

„GAZETA POLSKA"

Dziennik bolityczny, społeczny i literacki wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

W szeregu ulepszeń, jakie zaprowadziliśmy w wydawnictwie „Gazety Polskiéj" wybitne miejsce zajmuje powiąkszenie objętości naszego

Bezpłatnego tygodniowego Dodatku do Gazety.

Każdy prenumerator „Gazety Polskiéj" otrzymuje bezpłatnie **co tydzień książkę** czyli rocznie

52 tomy książek darmo.

Ten **tom** tygodniowy rozsyłany jest **bezpłatnie** wszystkim prenumeratorom, zarówno w Warszawie, jak i na prowincyi. Obejmuje **najmniéj** dziesięć arkuszy druku, i ma za treść co tydzień inny **utwór wybitny,** bądź oryginalny, bądź tłómaczony.

Bezpłatny
coroczny
52 tomy
Darmo.
dodatek.

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy IV kwartału otrzymali prenumeratorzy „Gazety Polskiéj" dzieła następujące: St. Kozłowskiego nowy dramat p. t. *Tabowyci*; T. T. Jeża powieść trzytomową p. t. *W zaraniu*; E. Goncourta powieść p. t. *Bracia Zemganno*; T. Padalicy *Powieści Ukraińskie*; E. Rostanda słynne dzieło *Cyrano de Bergerac* w przekładzie Maryi Konopnickiéj i Wł. Zagórskiego; jeszcze do końca kwartału dostaną 5 tomów, a mianowicie Ireny Mrozowieckiéj powieść *W płytkim prądzie*; Norweskiego pisarza J. Lie *O Zachodzie*, Andersena tom *Bajek* i Kl. z Tańskich Hofmanowéj *Krystynę*.

Bezpłatny
coroczny
52 tomy
Darmo.
dodatek.

W r. 1899 do szeregu 52 tomów dodatku bezpłatnego wejdą: dzieła *oryginalne* polskie, przekłady znakomitych dzieł nowych *zagranicznych* i *biblioteka arcydzieł* literatury wszystkich wieków i narodów.

A dostaje prenumerator nasz te 52 tomy corocznie **naprawdę** darmo, bez żadnych dopłat, bez zwrotów kosztów opakowania czy przesyłki. Śmiało też powiedzieć możemy, że **na takich warunkach nikt nigdy jeszcze książek nie dostawał.**

Wyboru książek dokonywa Redakcya przy współudziale p. p.

Zygmunta Glogera, Kaz. Kaszewskiego i Ign. Matuszewskiego.

Od Nowego Roku „Gazeta" drukować się będzie na maszynie pospiesznéj rotacyjnéj odbijającéj 10 tys. egzemplarzy na godzinę, co daje rękojmię wczesnéj i regularnéj wysyłki „Gazety" zarówno na miasto w Warszawie, jak na prowincyę.

Redaktor i Wydawca **Jan Gadomski.**

CENA „GAZETY POLSKIÉJ" wraz z bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym:
W Warszawie: Rocznie 9,60; półrocznie 4,80; kwartalnie 2,40; miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domów. **Na prowincyi:** Rocznie rub. 12; półrocznie rub. 6. Kwartalnie rub. 3.

Wielkie rozpowszechnienie „Gazety Polskiéj" zaleca ją jako pismo, w którem najkorzystniéj jest umieszczać **ogłoszenia.**

Adres: Warszawa, Warecka 14.

Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum".

1. *Józ. Bohd. Zaleski.* **Przenajświętsza Rodzina.** Warsz, nakł. Jana Fiszera (1898), str. 37.
2. *A. Schopenhauer.* **Miłość.** Tłumaczenie *A. W.* Warsz. nakł. Hieronima Cohna, 1898, str. 58.
3. **Kalendarz** Rzymsko-Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu na rok 1899, 8-o, str. 250+18 kart. nlb. ogłoszeń (cena 40 kop. bez przesyłki).
4. **Encyklopedya Rolnicza** wydana staraniem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Zesz. LXXX (str. 529—608).
5. **Recenzya** wydania dzieł Juliusza Słowackiego przez D-ra H. Biegeleisena. Napisał dr. *Wiktor Hahn.* Lwów, nakł. autora, 1898, 8-o, str. 15.
6. *Władysław Karoli.* **Przyszłość** (poemat). Warsz. księg. Jana Fiszera, 1899, str. 68.
7. *Ks. D. B.* **Rys średniowiecznej Oświaty.** Warsz. nakł. autora, 1898, 8-o str. 187 i III.
8. **Mickiewicz** jako leksykograf przez *G. Korbuta,* (Warsz.) 8-o, str. 5.
9. **Indeks** do Kwartalnika historycznego (1887—1896). Lwów, nakł. Towarzystwa historycznego, 1898, 8-o, str. 313.
10. *Juliusz hr. Ostrowski.* **Księga herbowa** rodów polskich. Zesz. IV. Warsz. 1898, skład gł. w księg. Bolcewicza, 4-o, str. 57—80 tekstu i rysunków Nr. 511—750.
11. **Album biograficzne** zasłużonych Polaków i Polek. Zesz. II. Warsz. nakł. „Kuryera Niedzielnego", folio, str. 41—76 z rysunkami.
12. *Ks. Jan Pawelski T. J.* **Program nowej polskiej poezyi.** Krak., nakł. redakcyi „Przeglądu Powszechnego", 1898, 8-o, str. 31.
13. **Słownik apologetyczny** Wiary Katolickiej, podług D-ra Jana Jaugey'a, opracowany staraniem *X. Wł. Szcześniaka* mag. teol. i grona współpracowników. Warsz. druk St. Niemiery synów, 1898, zeszyt XIII (ostatni), str. 721—931.
14. **Wojna Polsko-Ruska** 1831 r. Opracował *A. K. Puzyrewski* gen. lejt. Zeszyty 15 do 19. Warsz. nakł. Maurycego Orgelbranda, 1898 (str. 321—384, z planami).
15. *Jan Iwański.* **Sonety.** Warsz. druk. P. Laskauer i W. Babicki, 1899, 8-o, str. 47.
16. *O filozofię Hoene-Wrońskiego* polemika z powodu książki P. S. Dicksteina. Warsz. nakł. „Niwy", 1898, 8-o, str. 62.
17. *Dr. Marcin Ernst.* **O końcu swiata i kometach.** Lwów, nakł. Towarzystwa Wydawniczego, Warsz. w księg. Sadowskiego, 1899, 8-o, str. 98.
18. *Dr. L. Fürst.* **Z życia kobiety.** Hygiena okresu dojrzałości kobiecéj, przetłomaczył *H. T.* Warsz. Nakł. księg. Dubowskiego, 1899, str. 135.
19. **Niemoc** i rzeżączka. Studyum anatomiczno-kliniczne, napisał *Dr. M. Misiewicz.* Warsz. nakł. redakcyi „Rocznika klinicz. urol. i syfil.", 1899, 8-o, str. 17.
20. *S. Orgelbranda* **Encyklopedya** Powszechna z ilustracyami i mapami. Tom III, zesz. 49—60.
21. **Otwock,** jako miejscowość lecznicza. Napisał Dr. *Władysław Wroński.* Warsz. skł. gł. w księg. Wendego, 1898, 8-o, str. 30.
22. *Plato v. Reussnera* **Samouczek** Polsko-Francuzki. Zeszyty IV—XIV.
23. *Tegoż* **Samouczek** polsko-ruski. Zeszyty XX—XXIII.
24. **O podatku rentowym** napisał *Zygmunt Gargas.* Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1898, 8-o, str. 84.
25. *Lucyan Rydel.* **Poezye I.** Z rysunkami St. Wyspiańskiego. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1899, str. 86.
26. **Rocznik Akademii** Umiejętności w Krakowie 1897/8; 8-o, str. 141.
27. **Biblioteka** dzieł wyborowych: № 50 Stella; Tarłówna *Adama Krechowieckjego,* z przedmową T. Jeske-Choińskiego;— № 51 Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej. Opracował *G. Krahmer* w tłomaczeniu Włodzim. Trąmbczyńskiego; №№ 52, 53. 54 i 58 Dzieje Narodu Polskiego z przedmową *Władysława Smoleńskiego.*— № 55 Wilk, psy i ludzie; W puszczy (Nowele) *Adolfa Dygasińskiego* z przedmową T. Jeske-Choińskiego; — № 56 i № 57 Przygody Huck'a *Marka Twain'a* z przedmową J. A. Święcickiego;— № 59 Pamiętniki *Franciszka Karpińskiego,* z przedmową Piotra Chmielowskiego;— № 60 i 61 Barani Kożuszek, opowiadanie historyczne z końca XVIII wieku *J. I. Kraszewskiego,* z przedmową T. Jeske-Choińskiego, t. I i II;— № 62 Straszny Dziadunio, powieść *Maryi Rodziewiczównej,* z przedmową Adama Pługa; — № 63 Przygody Cyrana de Bergerac *Ludwika Gallet,* z przedmową J. A. Święcickiego.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.